



*Jennifer E. Smith*

**SERCE**

**W**

**CHMURACH**

BUKOWY LAS

# Smith Jennifer

## Serce w chmurach

przełożyła Beata Hrycak

Zbiegi okoliczności i dziwne przypadki odgrywają wielką rolę w tej dowcipnej powieści o związkach rodzinnych, drugich szansach, jakie daje nam życie, a zwłaszcza o młodszej pierwszej miłości. Rozgrywająca się w ciągu zaledwie 24 godzin historia Hadley i Olivera przekonuje, że prawdziwa miłość może nas spotkać w najmniej spodziewanym momencie i miejscu, że strzały Amora znajdują drogę do ludzkich serc nawet w nowoczesnym świecie, w którym tak łatwo spóźnić się na samolot i tak trudno zauważyć to, co najważniejsze.



*Dla Kelly i Errola*

„Ach, bywają w życiu dni istotnie warte życia  
i warte śmierci”\*.  
Karol Dickens *Nasz wspólny przyjaciel*

\* Wszystkie cytaty z wyjątkiem fragmentu na s. 198 pochodzą z powieści Karola Dickensa *Nasz wspólny przyjaciel* w przekładzie T. J. Dehnela, Warszawa 1971.

## PROLOG

Wszystko mogłoby potoczyć się na wiele różnych sposobów.

Wyobraź sobie, co by było, gdyby nie zapomniała książki. Nie musiałaby pędzić z powrotem do domu, podczas gdy mama czekała w samochodzie z włączonym silnikiem, wypuszczającym obłok spalin w skwarze późnego popołudnia.

Albo i jeszcze wcześniej: wyobraź sobie, co by było, gdyby nie zwlekała z przymiarką sukienki, co pozwoliłoby jej zawczasu zauważyć, że ramiączka są za długie, a mama nie musiałaby wyciągać starego przybornika do szycia i zamieniać kuchennego blatu w stół operacyjny, by ratować na ostatnią chwilę nieszczęsny i nijaki pas fioletowego jedwabiu.

Albo później: co by było, gdyby nie zacięła się kartką papieru w trakcie drukowania biletu, gdyby nie zgubiła ładowarki do komórki, gdyby na ekspresowej drodze na lotnisko nie panował tłok. Gdyby nie przeoczyły z mamą zjazdu albo gdyby nie grzebała w torbie w poszukiwaniu ćwierćdolarówek na opłatę za przejazd, monety wturlały się bowiem pod siedzenie, podczas gdy kierowcy za nimi wściekle naciskali klaksony.

Gdyby kółko od walizki nie było zwichrowane.

Gdyby odrobinę szybciej biegła do wyjścia.

Choć może nie miałyby to znaczenia.

Może zbiór poślizgów i opóźnień owego dnia nie odgrywał tu żadnej roli i gdyby nie któraś z tych rzeczy, przyczyniłoby się do tego coś innego: pogoda nad Atlantykiem, deszcz w Londynie, burzowe chmury, które wisiały na niebie akurat o godzinę za długo, zanim udały się w swoją stronę. Hadley nie bardzo wierzy w takie rzeczy jak przeznaczenie czy opatrność, ale też nigdy specjalnie nie wierzyła w punktualność przewozów lotniczych.

Kto w ogóle słyszał o samolocie odlatującym o właściwej godzinie?

Nigdy w życiu nie spóźniła się na samolot. Ani razu.

Kiedy tego wieczoru dociera wreszcie do bramki, zastaje obsługę lotniska zamykającą wyjścia i wyłączającą komputery. Zegar nad nimi wskazuje 18:48, a tuż za oknem stoi samolot niczym masywna forteca z metalu. Z min ludzi dookoła jasno wynika, że nikt więcej już do niego nie wsiądzie.

Spóźniła się cztery minuty, co, jeśli się zastanowić, wcale nie wydaje się dużo. To tyle, ile przerwa na reklamy, pauza między szkolnymi zajęciami, ugotowanie posiłku w kuchence mikrofalowej. Cztery minuty to tyle co nic. Codziennie na każdym lotnisku ludzie zdążają na swój samolot w ostatniej chwili, dysząc ciężko podczas upychania bagaży w schowku, a następnie opadając na fotele z westchnieniem ulgi, gdy samolot wzbija się w powietrze.

Jednak nie Hadley Sullivan, która pozwala plecakowi zsunąć się z ramienia i stoi przy oknie, patrząc, jak maszyna odrywa się od harmonijkowego rękawa, jak obracają się skrzydła, gdy samolot kieruje się na pas startowy

bez niej na pokładzie. Za oceanem ojciec wznosi ostatni toast, a obsługa hotelu w białych rękawiczkach poleruje srebra na jutrzejszą wieczorną uroczystość. Za jej plecami chłopak z biletem na miejsce 18C na następny lot do Londynu zajada obtoczonego w cukrze pudrze pączka, nie zważając na biały pył sypiący się na niebieską koszulę.

Hadley przymyka na chwilę oczy, a gdy otwiera je ponownie, samolotu już nie ma.

Kto by pomyślał, że cztery minuty mogą wszystko odmienić?

## **ROZDZIAŁ 1**

**18:56 CZASU WSCHODNIOAMERYKAŃSKIEGO**

**23:56 CZASU GREENWICH**

Lotniska to izby tortur, gdy cierpi się na klaustrofobię.

Nie chodzi tylko o majaczącą groźbę rychłej podróży -upchanie w fotel na wzór sardynek w puszcze, a następnie wystrzelenie w powietrze w wąskiej metalowej tubie -lecz także o same terminale, tłok, wir i rozedrganie, płasający, przyprawiający o zawrót głowy szum, ruch i gwar, gorączkę i zgiełk, a na domiar złego odgrozdzenie całego tego zamieszania szybami niczym jakiegoś monstrualnego mrowiska.

To tylko jedna z wielu rzeczy, o których Hadley stara się nie myśleć, stojąc bezradnie przed stanowiskiem sprzedaży biletów. Światelko za oknem już zniknęło i teraz jej samolot leci gdzieś nad Atlantykiem, a ona czuje, jak coś w niej puszcza niczym uchodzące z balonu powietrze. Częściowo za sprawą zbliżającego się nieuchronnie lotu, częściowo z powodu samego faktu przebywania na lotnisku, lecz przede wszystkim -przede wszystkim - wskutek uświadomienia sobie, że spóźni się na ślub, na który z początku nie chciała na-

wet jechać. To niefortunne zrządzenie losu sprawia, że chce jej się płakać.

Obsługa bramki lotniska zebrała się po przeciwnej stronie kontuaru i spogląda na nią z marsem na czole oraz wielkim zniecierpliwieniem. Monitor za plecami pracowników wyświetla już informacje o następnym locie z lotniska JFK na Heathrow, do którego pozostały jeszcze ponad trzy godziny, i szybko staje się oczywiste, że jedyne, co przeszkadza pracownikom zakończyć dyżur, to stercząca przed nimi Hadley.

- Przepraszam - mówi kobieta z obsługi, w jej głosie wyraźnie słychać tłumione westchnienie. - Nie możemy zrobić nic poza próbą umieszczenia cię w następnym samolocie.

Hadley ponuro kiwa głową. Przez ostatnich kilka tygodni marzyła w duchu, by właśnie coś takiego się zdarzyło, choć trzeba przyznać, że kreowane przez nią scenariusze były nieco bardziej dramatyczne: masowy strajk linii lotniczych, potężna burza gradowa, zwałający z nóg atak grypy albo nawet odry uniemożliwiające jej podróż. Same doskonałe powody, które przeszkodziłyby jej w towarzyszeniu ojcu w drodze kościelną nawą do ołtarza, gdzie miał poślubić kobietę, której wcześniej nawet nie widziała na oczy.

Czterominutowe spóźnienie na samolot wydaje się jednak odrobinę zbyt dogodne, może nawet ciut podejrzane, i Hadley wcale nie jest przekonana, czy jej rodzice - obydwój - zrozumieją, że to nie była jej wina. Przypuszcza wręcz, że mogłoby znaleźć się na nader krótkiej liście rzeczy, co do których byliby zgodni.

Opuszczenie próby przed weselem i wylot do Londynu rano w dniu ślubu były jej własnymi pomysłami.



Hadley nie widziała ojca od ponad roku i nie miała pewności, czy zdoła wysiedzieć w jednym pomieszczeniu z wszystkimi ważnymi w jego życiu ludźmi - przyjaciółmi, znajomymi z pracy, odnaleźć się w tym małym świątku, który zbudował wokół siebie za oceanem - podczas gdy oni będą wznosić toasty za jego zdrowie i szczęście, za początek nowej drogi. Gdyby to od niej zależało, wcale nie pojechałaby na ślub, to jednak okazało się nie podlegać żadnym dyskusjom.

- On nadal jest twoim tatą - przypominała jej nieustannie mama, tak jakby Hadley mogła o tym zapomnieć. - Jeśli nie pojedziesz, będziesz później żałowała. Wiem, że trudno to sobie wyobrazić, gdy ma się siedemnaście lat, ale zaufaj mi. Pewnego dnia zrozumiesz.

Hadley bardzo wątpi.

Stewardesa stuka teraz w klawiaturę komputera z dziką zapalczywością, wali w klawisze i strzela z gumy do żucia.

- Masz szczęście - mówi, podnosząc ręce w nieco teatralnym geście. - Mogę wpisać cię na 22:24. Miejsce 18A. Przy oknie.

Hadley wręcz boi się zadać to pytanie, ale zbiera się na odwagę:

- O której przylatuje na miejsce?

- 9:54 - odpowiada stewardesa. - Jutro rano. Hadley widzi oczami wyobraźni delikatną kaligrafię

na grubym papierze zaproszenia w kolorze kości słoniowej, które stało na jej toalecie od kilku miesięcy. Ceremonia rozpoczyna się w południe, co oznacza, że jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem - lot, a potem odprawa celna, taksówka i brak korków na ulicach, wszystko

idealnie zaaranżowane w czasie - wciąż ma szansę zdążyć. Ale ledwo, ledwo.

- Odprawa rozpocznie się przy tej bramce o 21:45 -informuje kobieta z obsługi, podając bilet starannie oprawiony w poręczną okładkę. - Życzę udanego lotu.

Hadley przesuwa się w stronę okien i lustruje wzrokiem rzędy posępnych szarych krzeseł, w większości zajętych, z pozostałych obić wyłazi na szwach żółte wypełnienie, jak z ukochanych, często przytulanych pluszowych misiów. Stawia plecak na podręcznej walizce i przekopuje kieszenie w poszukiwaniu telefonu, następnie przewija na ekranie listę kontaktów i szuka numeru taty. Wpisała go po prostu jako „Profesora”, a obdarzyła go tym mianem mniej więcej półtora roku temu, wkrótce po ogłoszeniu, że ojciec nie wraca do Connecticut i słowo „tato” stało się nieprzyjemnym wspomnieniem przy każdym otwarciu telefonu.

Serce zaczyna jej bić szybciej, gdy czeka na połączenie. Choć ojciec wciąż dzwoni do niej dość często, ona do tej pory wybierała jego numer zaledwie kilka razy. Tam jest prawie północ i kiedy tato wreszcie się zgłasza, jego głos brzmi ochryple, spowolniony sennością albo alkoholem, albo jednym i drugim.

- Hadley?

- Nie zdążyłam na samolot - informuje, przybierając lakoniczny ton, który ostatnio przychodzi jej w tak naturalny sposób podczas rozmów z ojcem i jest skutkiem ubocznym ogólnej dezaprobaty dla jego osoby.

-Co?

Wzdycha i powtarza:

- Nie zdążyłam na samolot.

W tle słyszy szept Charlotte i coś się w niej gotuje, następuje wybuch gniewu. Pomimo przesłodzonych e-maili, jakie ta kobieta wysyła jej od czasu oświadczyn taty - zawierających opisy ich planów weselnych oraz zdjęcia z podróży do Paryża i prośby o zaangażowanie Hadley w ich sprawy, podpisywanych nadgorliwym „uściski i całusy” (jak gdyby nie wystarczyły same uściski albo same całusy) - dokładnie rok i dziewięćdziesiąt sześć dni temu Hadley stwierdziła, że jej nienawidzi i żeby zredukować tę niechęć, potrzeba będzie czegoś znacznie więcej niż prośba, by została druzną na ich ślubie.

- No a załapałaś się na następny? - pyta tato.

- Tak, ale przylatuje dopiero przed dziesiątą.

- Jutro?

- Nie, dzisiaj. Lecę kometą. Tato pomija tę złośliwość.

- To za późno. Za krótko przed ceremonią. Nie będę mógł cię odebrać - mówi i słysząc stłumiony głos, gdy zakrywa słuchawkę i szepcze coś do Charlotte. - Chyba wyślemy po ciebie ciocię Marilyn.

- Kto to jest ciocia Marilyn?

- Ciotka Charlotte.

- Mam siedemnaście lat - przypomina Hadley. - Jestem absolutnie pewna, że poradzę sobie ze złapaniem taksówki i dotarciem do kościoła.

- No nie wiem - powątpiewa tato. - To twoja pierwsza wizyta w Londynie... - Milknie, po czym chrząka. - Myślisz, że twoja mama nie będzie się denerwować?

- Mamy tu nie ma - odpowiada Hadley. - Przypuszczam, że była obecna na pierwszym ślubie.

Po drugiej stronie słuchawki zapada cisza.

- Wszystko w porządku, tato. Spotkamy się jutro w kościele. Miejmy nadzieję, że nie spóźnię się za bardzo.

- Dobrze - mówi cicho. - Nie mogę się ciebie doczekać.

- Aha - odpowiada, nie potrafiąc zdobyć się na odwdzięczenie tym samym. - Do jutra.

Dopiero po rozłączeniu się zdaje sobie sprawę, że nawet nie zapytała, jak wypadła próba przed ślubem. Nie jest pewna, czy chce to wiedzieć.

Przez dłuższą chwilę stoi jak słup soli, wciąż ściskając w rękę telefon, starając się nie myśleć o tym wszystkim, co czeka ją po drugiej stronie oceanu. Aromat masła z pobliskiego stoiska z preclami przyprawia ją o lekkie mdłości i Hadley ma przemożną ochotę usiąść, lecz poczekalnia pęka w szwach od pasażerów, którzy napłynęli z innych części terminalu. Jest świąteczny weekend 4 lipca, mapy pogody na ekranach telewizorów pokazują kłębiące się układy chmur burzowych przysyłające większą część Środkowego Zachodu. Ludzie zajmują pozycje, wysuwając roszczenia terytorialne, jak gdyby planowali zamieszkać tu na stałe. Na pustych krzesłach przycupnęły walizki, rodziny koczują w kątach, zatłuszczone torby z McDonalda poniewierają się na podłodze. Gdy Hadley przestępuje nad śpiącym na plecaku mężczyzną, jasno zdaje sobie sprawę z bliskości sufitu oraz naporu ścian, obecności wezbranego tłumu dookoła i musi sobie przypominać o konieczności oddychania.

Kiedy dostrzega puste krzesło, śpieszy w jego stronę, manewrując walizką w morzu butów i starając się nie myśleć, jak okropnie pogniecie się ta idiotyczna fioletowa sukienka, nim Hadley dotrze jutro rano na miejsce. Plan zakładał kilka wolnych godzin, by przyszykować się

w hotelu przed uroczystością, teraz jednak będzie musiała gnać na oślep prosto do kościoła. Spośród wszystkich strapień akurat to nie plasowało się zbyt wysoko na liście Hadley, mimo wszystko dość zabawnie było wyobrażać sobie przerażenie przyjaciół Charlotte: w ich mniemaniu brak czasu na ułożenie fryzury bez wątpienia zalicza się do straszliwych katastrof.

Hadley jest całkowicie przekonana, że „żał” to zbyt delikatne słowo na opisanie uczuć związanych ze zgodą na zostanie druhną, ale w przeciwnym razie wykończyłyby ją niezliczone e-maile Charlotte i nieustanne błagania taty, nie mówiąc już o zaskakującym poparciu dla tego pomysłu ze strony mamy.

- Wiem, że obecnie nie jest twoją ulubioną osobą na świecie - powiedziała mama - i z pewnością również nie moją. Ale czy naprawdę masz ochotę przeglądać pewnego dnia album ze ślubnymi zdjęciami, może już w towarzystwie własnych dzieci, i żałować, że w tym nie uczestniczyłaś?

Prawdę mówiąc, Hadley wcale nie uważa, by miało jej to kiedykolwiek przeszkadzać, ale rozumie, o co wszystkim chodzi, i uszczęśliwienie ich po prostu wydawało się łatwiejsze. Nawet jeśli oznaczało to konieczność zdzierzenia lakieru do włosów, niewygodnych obcasów oraz sesji zdjęciowej po ceremonii. Gdy pozostała część gości weselnych - zbiór trzydziestokilkuletnich przyjaciół Charlotte - dowiedziała się o dołączeniu do nich amerykańskiej nastolatki, Hadley natychmiast została powitana lawiną wykrzykników w krążącym wśród znajomych łańcuszku e-maili. I choć nigdy nie poznała Charlotte osobiście, a przez ostatnie półtora roku dokła-

dała starań, by tak pozostało, znała teraz preferencje tej kobiety w sprawie najdrobniejszych szczegółów wesela - w kwestiach tak ważkich jak włożenie delikatnych sandałów czy może zakrytych pantofli na obcasie, włączenie czy niewłączenie do bukietów gipsówki oraz, co najgorsze i najbardziej przerażające, upodobania bieliźniane na wieczór paniński. Liczba e-maili, jaką mógł wywołać fakt zaślubin, była doprawdy oszałamiająca. Hadley wiedziała, że niektóre z tych kobiet są współpracowniczkami Charlotte z uniwersyteckiej galerii sztuki w Oksfordzie, ale to cud, że którakolwiek z nich znajdowała czas na pracę zawodową. Hadley miała spotkać się z nimi w hotelu nazajutrz rano, teraz jednak zanosilo się na to, że będą musiały dopiąć sukienki, podkreślić oczy i ułożyć włosy bez jej towarzystwa.

Okna lotniska zdążyły już całkowicie pociemnieć i poza świetlnymi punkcikami obrysującymi kontury samolotów w szybach odbijał się jedynie zamazany obraz poczekalni. Hadley widzi też własne odbicie, jasne włosy i wielkie oczy, wygląda na wymęczoną i pomiętą, jakby miała już podróż za sobą. Wciska się na siedzenie między starszym mężczyzną wymachującym gazetą tak energicznie, że odnosi się wrażenie, iż papier zaraz wzbije się w powietrze i odfrunie, a kobietą w średnim wieku w golfie ozdobionym wyhaftowanym kotem, robiącą na drutach coś, co wciąż może przybrać dowolną formę.

„Jeszcze trzy godziny”, myśli Hadley, tuląc plecak, po czym uświadamia sobie, że nie ma sensu odliczać minut do czegoś, czego człowiek się boi. Znacznie lepiej byłoby powiedzieć sobie: jeszcze dwa dni. Jeszcze dwa dni i znów znajdzie się w domu. Jeszcze dwa dni i będzie mo-

gła udawać, że to nigdy się nie zdarzyło. Jeszcze dwa dni i będzie po weekendzie, którego boi się od tak dawna, że wydaje się, jakby upłynęły całe wieki.

Poprawia plecak na kolanach, o ułamek sekundy za późno zdając sobie sprawę, że przez cały czas był niezapięty i teraz kilka rzeczy wysypuje się na podłogę. Hadley podnosi najpierw błyszczący do ust, potem plotkarskie czasopismo, gdy jednak schyla się po ciężką czarną książkę, którą dostała od ojca, chłopak siedzący po drugiej stronie sięga po nią pierwszy.

Zerka w przelocie na okładkę, po czym podaje tom Hadley, która dostrzega w jego oczach błysk uznania. Dziewczyna potrzebuje chwili, by zrozumieć, że chłopak musiał zaliczyć ją do tych ludzi, którzy czytują na lotnisku Dickensa, i o mały włos nie prostuje tego błędu. Prawdę mówiąc, ma tę książkę od wieków i nigdy nawet do niej nie zajrzała. Zamiast tego uśmiecha się z wdzięcznością i odwraca z premedytacją w stronę okien, na wypadek gdyby przyszło mu do głowy zagać rozmowę.

Hadley nie ma teraz najmniejszej ochoty na konwersację, nawet z kimś tak uroczym jak ten chłopak. W gruncie rzeczy wcale nie ma ochoty tutaj być. Dzień, który ją czeka, jest jak coś, co żyje i oddycha, co pędzi w jej stronę z zastraszającą prędkością i wydaje się jedynie kwestią czasu, kiedy powali ją na ziemię. Strach, jaki odczuwa na myśl o wejściu na pokład samolotu - nie wspominając o wylądowaniu w Londynie - jest doznaniem fizycznym. Sprawia, że dziewczyna wierci się na krześle, podryguje nogą i trzęsą jej się ręce.

Mężczyzna obok głośno wyciera nos, po czym trzaska gazetą i powraca do lektury, a Hadley ma nadzieję, że nie

będzie siedziała obok niego w samolocie. Siedem godzin to szmat czasu, zbyt długi, by pozostawiać go przypadkowi. Przecież nie oczekuje się od nikogo, że wybierze się w podróż samochodem z nieznanym, a tymczasem ile razy ona sama leciała do Chicago albo Denver czy na Florydę obok kompletnie obcej osoby, łokieć przy łokciu, bok przy boku, przemierzając w jej towarzystwie cały kraj? Tak to już jest z lataniem: można rozmawiać z kimś kilka godzin i nigdy nie poznać imienia rozmówcy, zwierzyć się z najgłębszych tajemnic i nie zobaczyć tej osoby już nigdy w życiu.

Kiedy mężczyzna wyciąga szyję, by przeczytać jakiś artykuł, jego ramię ociera się o rękę Hadley, a wtedy ona zrywa się gwałtownie z miejsca i zarzuca plecak na jedno ramie. Wokół niej wciąż kłębią się ludzie. Dziewczyna spogląda tęsknie w stronę okna, marząc o znalezieniu się na zewnątrz. Nie jest pewna, czy wysiedzi tu kolejne trzy godziny, lecz myśl o wleczeniu walizki przez tłum całkiem ją zniechęca. Powoli przysuwa bagaż bliżej pustego miejsca, by wyglądało na zajęte, a następnie zwraca się do kobiety w golfie z wyhaftowanym kotem.

- Czy zechciałaby pani popilnować przez minutkę mojej torby? - pyta, a kobieta zastyga z drutami w rękach i marszczy czoło.

- Nie wolno tego robić - mówi znacząco.

- Na chwilę - wyjaśnia Hadley, ale kobieta tylko lekko kręci głową, jakby za żadne skarby nie potrafiła znieść wplątania w scenariusz, jaki mógłby się z tego rozwinąć.

- Ja popilnuję - deklaruje chłopak z przeciwka i Hadley patrzy na niego - patrzy na serio - po raz pierwszy. Ma odrobinę za długie ciemne włosy, okruszki na koszu-



li, ale jest w nim zarazem coś intrygującego. Może akcent, z pewnością brytyjski, albo drżenie warg, gdy próbuje powstrzymać uśmiech. Nieoczekiwanie zamiera jej serce, kiedy chłopak na nią spogląda, a jego wzrok przeskakuje z Hadley na kobietę, której usta zacisnęły się w wąską linię dezaprobaty.

- To wbrew przepisom - burczy kobieta pod nosem, przenosząc spojrzenie na dwóch zwalistych strażników stojących przed barem przekąskowym.

Hadley zerka ponownie na chłopaka, który uśmiecha się do niej współczująco.

- Mniejsza o to - mówi dziewczyna. - Wezmę ją ze sobą. W każdym razie dziękuję.

Zaczyna zbierać rzeczy, wciska książkę pod pachę i przerzuca plecak na drugie ramię. Kobieta tylko nieznacznie odsuwa nogi, gdy Hadley manewruje obok walizką. Na końcu poczekalni szarobura wykładzina na podłodze ustępuje miejsca linoleum, walizka traci równowagę na gumowej listwie oddzielającej te dwie powierzchnie. Kolebie się na jednym kółku, potem na drugim, a gdy Hadley usiłuje ją ustabilizować, spod pachy wysuwa się jej książka. Pochyla się, by znów ją podnieść, a wtedy na podłodze ląduje jeszcze bluza.

„To chyba jakieś żarty”, myśli Hadley, zdmuchując z twarzy kosmyk włosów. Ale zanim udaje się jej pozbiierać wszystkie rzeczy i znów wyciąga rękę po walizkę, bagaż dziwnym trafem znika. Odwraca się błyskawicznie i zdumiona widzi stojącego obok chłopaka z torbą przewieszoną przez ramię. Jej wzrok wędruje ku rączce walizki, którą on ściska w dłoni.

- Co robisz? - pyta Hadley, mrugając powiekami.

- Wyglądałaś tak, jakbyś potrzebowała pomocy. Hadley gapi się na niego w milczeniu.

- A w ten sposób wszystko jest absolutnie zgodne z prawem - dodaje, szczerząc w uśmiechu zęby.

Dziewczyna unosi brwi, on lekko się prostuje i sprawia wrażenie nieco mniej pewnego siebie. Przez głowę Hadley przemyka myśl, że może chłopak zamierza zwędzić jej walizkę, ale jeśli tak, nie jest to dobrze zaplanowany napad: w środku znajdują się tylko buty i sukienka. W dodatku byłaby naprawdę szczęśliwa, gdyby je ukradziono.

Stoi tak przez dłuższą chwilę, zastanawiając się, jak tu zdobyć bagażowego. Wokół przewalają się tłumy, plecak ciąży na ramionach, a w oczach chłopaka dostrzega chyba samotność, jak gdyby ostatnią rzeczą, której by sobie w tej chwili życzył, było odprawienie go z kwitkiem. To zaś Hadley potrafi zrozumieć, więc po chwili kiwa głową na znak zgody, chłopak stawia walizkę na kółkach i ruszają korytarzem.

## **ROZDZIAŁ 2**

**19:12 CZASU WSCHODNIOAMERYKAŃSKIEGO**

**00:12 CZASU GREENWICH**

Przez głośnik ogłaszają, że w samolocie brakuje pasażera, a Hadley nie może opędzić się od pomysłu, który cichaczem zaczął kiełkować w jej głowie: a gdyby tak ona czmychnęła stąd tuż przed swoim lotem? Jednak idący przed nią chłopak jakby czytał w jej myślach - ogląda się, by sprawdzić, czy ona nadal tam jest. Hadley uzmysławia sobie, że akurat dziś cieszy się z towarzystwa, choć jest ono zupełnie niespodziewane.

Mijają rząd okien z widokiem na asfaltową płytę, na której samoloty stoją w szeregu niczym ruchome platformy na parady, i Hadley czuje, jak serce zaczyna bić jej szybciej na myśl o rychłej konieczności wejścia na pokład jednego z nich. Spośród wszystkich ciasnych miejsc na świecie, nieskończonych zakamarków i kątów, żadne nie przyprawia jej o większe drżenie niż wewnątrz samolotu.

Po raz pierwszy zdarzyło się to w zeszłym roku: ten otępiający niepokój, ta obezwładniająca panika, kiedy żołądek podjeżdża do gardła, a serce tłucze się jak oszalałe. To było w Aspen, za oknem gęsto sypał śnieg, a w sąsiednim pokoju tato rozmawiał przez telefon. W hotelowej

łazience ogarnęło ją nagle wrażenie, że ściany znajdują się zbyt blisko i cały czas się do siebie przybliżają, pomału suną w jej stronę z niewzruszoną stanowczością lodowca. Stała tam, próbując oddychać miarowo, serce wybijało w uszach rytm tak głośno, że niemal zagłuszało przytłumiony głos taty za ścianą.

- Tak - mówił - i do wieczora ma spaść kolejnych piętnaście centymetrów, więc jutro warunki powinny być idealne.

Byli w Aspen całe dwa dni, starając się ze wszystkich sił udawać, że te ferie wiosenne nie różnią się od poprzednich. Co rano wstawali wcześnie, by wjechać na górę, zanim na stokach zrobi się zbyt tłoczno, potem, wróciwszy do domku, siadali w milczeniu z kubkami gorącej czekolady, a wieczorami grali w gry planszowe przed kominkiem. Prawda była jednak taka, że tak długo nie poruszali tematu nieobecności mamy, iż stał się jedyną rzeczą, o której każde z nich potrafiło myśleć.

Poza tym Hadley nie była głupia. Człowiek nie pakuje się ot tak, nie wyjeżdża na semestr do Oksfordu i nie naucza całymi dniami poezji, a potem ni z tego, ni z owego nie stwierdza, że chce rozwodu bez żadnej istotnej przyczyny. I choć mama nie pisnęła o tym ani słowa - prawdę mówiąc, niemal całkowicie przestała mówić o tacie - Hadley wiedziała, że powodem musi być inna kobieta.

Planowała zapytać go o to wprost na wyjeździe narciarskim, wysiąść z samolotu, wymierzyć w niego oskarżycielski palec i zażądać wyjaśnień, dlaczego nie wraca do domu. Kiedy jednak udała się do stanowiska odbioru bagażu i zastała go czekającego, wyglądał zupełnie inaczej, miał ryżawą brodę, która nie pasowała do ciemnych włosów,

i uśmiech tak szeroki, że widać było korony na zębach. Minęło zaledwie sześć miesięcy, lecz w tym czasie stał się prawie zupełnie obcy i dopiero kiedy pochylił się, by ją uściskać, pachnący papierosami i wodą kolońską, szepcząc jej do ucha chropawym głosem, jak bardzo się za nią stęsknił, na powrót był sobą. I z jakiegoś powodu wydawało się to jeszcze gorsze. W końcu to nie zmiany łamią człowiekowi serce, tylko to, co dobrze znane.

Jednak stchórzyła i spędziła dwa dni na obserwacji i wyczekiwaniu, usiłując czytać z jego twarzy jak z mapy, szukając wskazówek wyjaśniających, dlaczego ich rodzina tak zniemacka się rozpadła. Kiedy zeszłej jesieni wyjeżdżał do Anglii, wszystkich ogarnęła ekscytacja. Wcześniej był profesorem niewielkiej przeciętnej uczelni w Connecticut, zatem propozycja pracy w Oksfordzie - szczytującym się jednym z najlepszych wydziałów literatury na świecie - była nie do odrzucenia. Ale Hadley miała właśnie zaczynać ostatnią klasę, mama nie mogła porzucić sklepika z tapetami na bite cztery miesiące, postanowiono więc, że one zostaną w domu do Bożego Narodzenia, a na święta przyjadą do Anglii na kilkutygodniowe zwiedzanie, po czym wszyscy razem wrócą do Stanów.

Do tego oczywiście nigdy nie doszło.

Mama oznajmiła zwyczajnie, że nastąpiła zmiana planów i spędzą święta w domu dziadków w Maine. Hadley na wpół wierzyła, że kiedy dotrą na miejsce, tato zrobi jej niespodziankę i jednak się zjawi, ale w Wigilię Bożego Narodzenia zastała tam tylko babcię i dziadka oraz furę prezentów tak wielką, że utwierdziła ją w przekonaniu, iż wszyscy starali się zrekompensować w ten sposób brak czegoś innego.

Przez wiele dni poprzedzających święta podsluchiwała pełne napięcia rozmowy telefoniczne rodziców i przez przewody wentylacyjne ich starego domu słyszała płacz mamy, lecz dopiero kiedy wracały samochodem z Maine, mama oświadczyła wreszcie, że rozstają się z tatą i że on zostaje w Oksfordzie na kolejny semestr.

- Na początku będzie to tylko separacja - powiedziała, przenosząc wzrok z drogi na miejsce, gdzie siedziała otępiąła Hadley, przyswajając nowiny jedna po drugiej - najpierw „Mama i tato się rozwodzą”, a potem „Tato nie wraca do domu”.

- Dzieli was ocean - powiedziała cicho. - Czy można odseparować się jeszcze bardziej?

- Prawna - odparła mama z westchnieniem. - Zamierzamy przeprowadzić separację prawną.

- Nie powinniście się najpierw spotkać, zanim zdecydujecie się na coś takiego?

- Och, kochanie - rzekła mama, odrywając rękę od kierownicy i delikatnie klepiąc ją w kolano. - Myślę, że to już postanowione.

Tak więc ledwie dwa miesiące później Hadley stała w hotelowej łazience w Aspen ze szczoteczką do zębów w ręku, a głos taty niósł się z sąsiedniego pokoju. Chwilę wcześniej była pewna, że to mama dzwoni kontrolnie, i ta myśl dodała jej otuchy. Potem jednak usłyszała, jak tato wymawia inne imię - Charlotte - po czym znów zniżył głos.

- Nie, w porządku - powiedział. - Jest teraz w kłopot. Hadley nagle zmroziło, zastanawiała się, kiedy to jej

tato zamienił się w mężczyznę, który nazywa łazienkę kłopotem, szepcze przez telefon do kobiet z zagranicy, zabiera córkę na narty, jakby miało to coś oznaczać, było

jakąś obietnicą, a potem wraca do swego nowego życia, jak gdyby nigdy nic.

Przysunęła się o krok do drzwi, podłoga ziębiła ją w bose stopy.

- Wiem - mówił teraz łagodnym głosem. - Ja też za tobą tęsknię, kochanie.

„Oczywiście”, pomyślała Hadley, zamykając oczy. „Oczywiście”.

To, że miała rację, nie pomagało. Czy ten fakt kiedykolwiek zmienił coś na lepsze? Czuła, jak kiełkuje w niej maleńkie ziarenko urazy. Było jak pestka wiśni, małe, twarde i paskudne, zawierało gorycz, która, była tego pewna, nigdy nie zniknie.

Cofnęła się, czując, że gardło się ściska, a pierś faluje. Obserwowała w lustrze, jak rumieniec oblewa jej policzki, wzrok zamglił się od duchoty panującej w ciasnym pomieszczeniu. Zaciśnęła palce na krawędzi umywalki, patrząc, jak bieleją jej kostki, i zmuszając się do odczekania, aż ojciec skończy rozmowę.

- Co się stało? - zapytał, gdy wyłoniła się wreszcie z łazienki, minęła go bez słowa, a następnie runęła na łóżko. - Dobrze się czujesz?

- Dobrze - rzuciła szorstko.

Jednak następnego dnia sytuacja się powtórzyła.

Gdy rano zjeżdżali windą do hotelowego holu, zgrzani już pod warstwami strojów narciarskich, kabiną mocno szarpnęło, a po chwili gwałtownie stanęła. Byli w niej tylko we dwoje, wymienili skonsternowane spojrzenia, po czym tato wzruszył ramionami i wcisnął przycisk alarmowy.

- Cholerny głupi dźwig.

Hadley popatrzyła na niego z rozdrażnieniem.

- Nie chodzi ci przypadkiem o cholerną głupią windę? -Co?
- Nic - mruknęła i zaczęła dźgać na chybił trafił w guziki, zapalając jeden po drugim, czuła w środku wzbierającą panikę.
- Nie sądzę, by to coś pomogło... - zaczął tato, gdy wtem najwyraźniej zauważył, że coś jest nie w porządku. - Dobrze się czujesz?
- Hadley szarpnęła kołnierz kurtki narciarskiej i rozpięła zamek.
- Nie - odparła przy wtórze szalonego łomotania serca. - Tak. Nie wiem. Chcę stąd wyjść.
- Wkrótce tu będą - rzekł tato. - Nic nie wskóramy, póki...
- Nie, tato, teraz - powiedziała, wpadając w lekki popłoch. Po raz pierwszy od przyjazdu do Aspen nazwała go tatą. Aż do tego momentu starannie unikała zwracania się do niego w jakikolwiek osobowy sposób.
- Omiótł wzrokiem ciasną windę.
- Masz napad paniki? - zapytał, sam sprawiając wrażenie lekko spanikowanego. - Zdarzyło się to już kiedyś? Czy twoja mama...
- Hadley pokręciła głową. Nie wiedziała, co się dzieje. Jedyne, czego była pewna, to to, że musi się stamtąd natychmiast wydostać.
- Hej - rzekł tato, chwytając ją za ramiona i zmuszając do kontaktu wzrokowego. - Będą tu za chwilę, okej? Popatrz na mnie. Nie myśl o tym, gdzie się znajdujemy.
- Okej - wymamrotała, zaciskając zęby.
- Dobrze. Pomyśl o jakimś innym miejscu. O otwartej przestrzeni.



Próbowała uspokoić rozgorączkowany umysł, przywołać jakieś kojące wspomnienia, lecz mózg odmówił współpracy. Twarz swędziała od gorąca, trudno było o skupienie.

- Wyobraź sobie, że jesteś na plaży. Albo niebo! Wyobraź sobie niebo, dobrze? Pomyśl, jakie jest ogromne, jak nie widać jego końca.

Hadley zacisnęła powieki i zmusiła się, by ujrzeć bezkresny, nieprzebrany błękit, który zakłócała jedynie przelotna chmurka. Jego głębię, ogrom tak przepastny, że nie sposób było określić, gdzie się kończy. Poczowała, jak puls zwalnia, a oddech się wyrównuje, rozwarła spocone dłonie. Gdy ponownie otworzyła oczy, ujrzała twarz taty na wysokości swojego wzroku, jego zatroskane spojrzenie. Wpatrywali się w siebie nieskończenie długo, a Hadley zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy od przyjazdu pozwoliła sobie spojrzeć mu prosto w oczy.

Po chwili winda zatrzęsa się i ruszyła, Hadley odetchnęła. Zjeżdżali na dół w milczeniu, oboje wstrząśnięci, pragnący za wszelką cenę wyjść na dwór i stanąć pod nieogarnioną połacią zachodniego nieba.

Teraz, w samym środku zatłoczonego terminalu, Hadley odrywa wzrok od okien, od samolotów rozstawionych wachlarzem na pasach startowych jak nakręcane zabawki. Znów ściska się jej żołądek. Wyobrażanie sobie nieba nie pomaga tylko w sytuacji, gdy znajduje się kilometr ponad ziemią, skąd jedyna droga ucieczki prowadzi w dół.

Odwraca się i widzi czekającego na nią chłopaka, z ręką wciąż obejmującą uchwyt walizki. Uśmiecha się, kiedy Hadley się z nim równa, a potem wypada na tłoczny korytarz, ona zaś śpieszy, by nadążyć za jego długimi krokami. Dziewczyna tak bardzo się koncentruje, by nie spuścić z oka jego niebieskiej koszuli, że gdy chłopak przystaje, omal na niego nie wpada. Jest wyższy od niej przynajmniej o piętnaście centymetrów i musi pochylać głowę, by z nią rozmawiać.

- Nawet nie zapytałem, dokąd się wybierasz.

- Do Londynu - odpowiada, a on wybucha śmiechem.

- Nie, mam na myśli teraz. Dokąd idziesz?

- Aha - mówi Hadley, drapiąc się w czoło. - Właściwie nie wiem. Może coś zjeść? Nie miałam ochoty wiecznie tam tkwić.

Nie jest to do końca prawdą. Szła do toalety, ale nie potrafiła zdobyć się na powiedzenie mu tego. Nie była w stanie znieść myśli o chłopaku czekającym grzecznie pod drzwiami, podczas gdy ona stoi w kolejce do ubikacji.

- Okej - mówi on, spoglądając na nią, ciemne włosy opadają mu na czoło. Kiedy się uśmiecha, Hadley zauważa, że ma dołeczek tylko z jednej strony i jest w tym coś takiego, co dodaje mu łobuzerskiego uroku. - A więc dokąd?

Dziewczyna wspina się na palce i obraca w kółko, by zorientować się w wyborze barów, smętnego zbiorowiska stoisk z pizzą i hamburgerami. Nie jest pewna, czy chłopak zamierza jej towarzyszyć, a ta ewentualność przyprawia ją o lekką histerię. Hadley czuje wręcz, jak on czeka obok, całe jej ciało się napina, gdy usiłuje wymyślić, która możliwość wiąże się z najmniejszym prawdopodobieństwem-

stwem upaćkania jedzeniem całej buzi, na wypadek gdyby on postanowił jednak zjeść coś razem z nią.

Po chwili trwającej wieczność wskazuje na delikatesy kilka bramek dalej, on zaś usłużnie kieruje się w tamtą stronę, ciągnąc jej czerwoną walizkę. Kiedy docierają na miejsce, poprawia sobie torbę na ramieniu i lustruje menu spod przymrużonych powiek.

- Dobry pomysł - komentuje. - Żarcie w samolocie będzie do bani.

- Dokąd lecisz? - pyta Hadley, gdy ustawiają się w kolejce.

- Też do Londynu.

- Serio? Jakie masz miejsce?

Chłopak sięga do tylnej kieszeni dzinsów i wyjmuje bilet, złożony na pół i naddarty w rogu.

- Osiemnaście C.

- Ja mam osiemnaście A - informuje, a on się uśmiecha.

- Prawie obok.

Hadley wskazuje ruchem głowy na pokrowiec na ubranie, który wciąż spoczywa na jego ramieniu, przytrzymywany palcem zagiętym na uchwycie wieszaka.

- Lecisz na ślub?

Chłopak waha się, następnie zadziera brodę, jakby chciał skinąć głową.

- Ja też - mówi Hadley. - Ale byłby numer, gdybyśmy wybierali się na ten sam, co?

- Mało prawdopodobne - odpowiada, obrzucając ją osobliwym spojrzeniem, a jej z miejsca robi się głupio. Jasne, że nie na ten sam. Hadley ma nadzieję, że on nie myśli, że ona uważa Londyn za jakąś zapadłą dziurę, gdzie wszyscy wszystkich znają. Hadley nigdy dotąd nie

wyjeżdżała z kraju, ale ma dość oleju w głowie, by wiedzieć, że Londyn jest przeogromny. W jej skromnym doświadczeniu miejsce to jawi się jako wystarczająco duże, by zgubić się na amen.

Chłopak sprawia wrażenie, jakby miał zamiar coś jeszcze dodać, potem się odwraca i wskazuje na menu.

- Już wiesz, co byś chciała?

„Czy wiem, co bym chciała?“, дума Hadley.

Chciałaby wrócić do domu.

Chciałaby, żeby dom był taki jak dawniej.

Chciałaby pojechać dokądkolwiek, byle nie na ślub własnego ojca.

Chciałaby znaleźć się gdziekolwiek, byle nie na tym lotnisku.

Chciałaby wiedzieć, jak on ma na imię. Po chwili podnosi wzrok.

- Jeszcze nie - mówi. - Zastanawiam się.

## **ROZDZIAŁ 3**

**19:32 CZASU WSCHODNIOAMERYKAŃSKIEGO**

**00:32 CZASU GREENWICH**

Pomimo zamówienia kanapki z indykiem bez majonezu Hadley zauważa białą breję wyciekającą na skórkę chleba, gdy niesie jedzenie do stolika, i na ten widok skręca się jej żołądek. Rozważa w myślach, czy lepiej byłoby przemęczyć się i zjeść kanapkę, czy zeskrobać sos i ryzykować zrobienie z siebie idiotki. W końcu jednak decyduje się na wariant idiotki i nie zwraca uwagi na uniesioną brew chłopaka, gdy przygotowuje swoją kolację ze skrupulatnością naukowca przeprowadzającego eksperyment biologiczny. Marszczy nos, odkładając na bok sałatę i pomidora i usuwając białe kleksy klejące się do każdego elementu rozczłonkowanej kanapki.

- Niezła robota - przyznaje chłopak, obracając w ustach kęs pieczonej wołowiny, a Hadley rzeczowo kiwa głową.

- Mam lęk przed majonezem, dlatego przez lata doszłam do sporej wprawy.

- Masz lęk przed majonezem? Ponownie kiwa głową.

- Jest na liście moich trzech lub czterech największych fobii.
- Jakie są pozostałe? - pyta chłopak, szczerząc w uśmiechu zęby. - To znaczy, co jest ewentualnie gorsze od majonezu?
- Dentyści - odpowiada. - Pająki. Piekarniki.
- Piekarniki? Rozumiem, że nie przepadasz za gotowaniem.
- I ciasne pomieszczenia - dodaje nieco ciszej. Chłopak przekrzywia na bok głowę.
- Więc co robisz w samolocie? Hadley wzrusza ramionami.
- Zaciskam zęby i staram się być dobrej myśli.
- Nie najgorsza taktyka - stwierdza ze śmiechem. -Działa?

Dziewczyna nie odpowiada, owładnięta nagłym przyływem paniki. Gdy zapomina się na chwilę, jest jeszcze gorzej, ponieważ lęk nigdy nie omieszka powrócić ze zdwojoną siłą, jak jakiś obłąkany bumerang.

- No cóż - mówi chłopak, opierając łokcie o blat stołu - klaustrofobia to nic w porównaniu z majonezofobią, a zobacz, jak świetnie sobie z nią radzisz. - Ruchem głowy wskazuje na plastikowy nóż w jej ręku, oblepiony majonezem i okruszkami chleba. Hadley uśmiecha się z wdzięcznością.

Kiedy jedzą, ich wzrok wędruje w stronę telewizora w rogu baru, gdzie na okrągło wyświetlana jest najnowsza prognoza pogody. Hadley stara się skupiać na kanapce, ale nie potrafi się oprzeć i raz po raz zerka z ukosa na swego towarzysza. Wtedy jej żołądek wykonuje gwałtowne podskoki, całkowicie niezwiązane z widokiem resztek majonezu wciąż znajdującego się w kanapce.

Miała dotychczas tylko jednego chłopaka, Mitchella Kelly'ego: wysportowanego, nieskomplikowanego i nieskończenie nudnego. Chodzili ze sobą przez większą część zeszłego roku - ostatniej klasy gimnazjum. Choć uwielbiała oglądać go na boisku piłkarskim (gdy machał do niej z bocznej linii) i choć zawsze cieszyła się, spotykając go na szkolnych korytarzach (unosił ją wtedy w powietrzu, obejmując ramionami), i choć wypłakiwała się przed wszystkimi przyjaciółkami, kiedy zerwał z nią zaledwie cztery miesiące temu, ich krótki związek wydawał się teraz najbardziej rażącym błędem na świecie.

To nieprawdopodobne, że podobał jej się ktoś taki jak Mitchell, skoro istnieją tacy chłopcy jak ten, wysoki i tyczkowaty, z potarganymi włosami i niesamowitymi zielonymi oczami oraz kapką musztardy na brodzie, jedyną drobną skazą, która w jakiś sposób dopełnia całości obrazu.

Czy to możliwe nie znać w ogóle swojego typu - nie wiedzieć nawet, że ma się jakiś typ - póki ów się znenacka nie objawi?

Hadley miętosi pod stołem serwetkę. Dociera do niej, że w myślach nazywa chłopaka po prostu Brytolem, więc pochyla się, rozsypując okruszki z kanapek, i pyta go, jak ma na imię.

- No tak - mówi chłopak, puszczając do niej oko. - Zdaje się, że od tego tradycyjnie się zaczyna. Nazywam się Oliver.

- Tak jak Twist?

- No proszę - uśmiecha się szeroko. - A podobno Amerykanie są kiepsko wyedukowani.

Hadley mruży oczy z udawanym gniewem.

- Ale śmieszne. - A ty?

- Hadley.

- Hadley - powtarza i kiwa głową. - Ładnie. Dziewczyna wie, że on mówi tylko o jej imieniu, ale mimo to z jakiegoś niewyjaśnionego powodu czuje się mile połączona.

Może to przez ten akcent albo sposób, w jaki na nią patrzy w tej chwili - z żywym zainteresowaniem. W każdym razie jest w nim coś, co przyprawia ją o szybsze bicie serca, jak zawsze, gdy jest czymś zaskoczona. Być może chodzi właśnie o to, o niecodzienną całość sytuacji. Zużyła tyle energii, panicznie bojąc się tej podróży, że nie była przygotowana na ewentualność, iż wyniknie z niej coś pozytywnego, coś nieoczekiwanego.

- Nie jesz korniszona? - pyta chłopak, pochylając się do przodu, a Hadley kręci głową i podsuwa mu talerz. On zjada ogórek w dwóch kęsach i prostuje się na krześle. - Byłaś już kiedyś w Londynie?

- Nigdy - odpowiada, nieco zbyt zapalczywie. On się śmieje.

- Nie taki diabeł straszny.

- Nie, z pewnością nie - odpowiada, przygryzając wargę. - Mieszkasz tam?

- Dorastałem.

- A gdzie mieszkasz teraz?

- Wygląda na to, że w Connecticut - mówi. - Studiuję na Yale.

Hadley nie potrafi ukryć zaskoczenia.

- Naprawdę?

- A co, nie wyglądam na porządnego studenta?



- Nie w tym rzecz, tylko że to tak blisko.

- Blisko czego?

Wyrwały się jej te słowa i czuje teraz falę gorąca na twarzy.

- Miejsca, gdzie mieszkam - wyjaśnia i szybko mówi dalej: - Przez ten twój akcent sądziłam, że jesteś...

- Londyńskim lumpem?

Hadley prędko potrząsa głową, teraz już całkowicie speszona, lecz on znów wybucha śmiechem.

- Wyglupiam się. Skończyłem pierwszy rok.

- Jak to się stało, że nie pojechałeś do domu na lato?

- Podoba mi się tutaj - stwierdza i wzrusza ramionami. - A w dodatku dostałem letnie stypendium naukowe, więc wypada mi siedzieć na miejscu.

- Jakie prowadzisz badania?

- Siedzę proces fermentacyjny majonezu.

- Akurat - śmieje się Hadley, a Oliver marszczy czoło.

- Serio. To bardzo ważna rzecz. Wiedziałaś, że dwadzieścia cztery procent całego majonezu jest zaprawione lodami waniliowymi?

- To rzeczywiście brzmi poważnie - mówi Hadley. - Ale co studiujesz naprawdę?

Jakiś mężczyzna wpada z impetem na oparcie krzesła Olivera, po czym odchodzi, nie przepaszając, a chłopak uśmiecha się od ucha do ucha.

- Skutki przeludnienia amerykańskich lotnisk.

- Gadasz głupoty - kwituje Hadley, potrząsając głową. Spogląda w stronę zatłoczonego korytarza. - Ale jeśli mógłbyś zrobić coś z tymi tłumami, nie miałabym nic przeciwko temu. Nie cierpię lotnisk.

- Naprawdę? - dziwi się Oliver. - Ja uwielbiam.

Przez chwilę jest przekonana, że on nadal się z nią przekomarza, potem jednak zdaje sobie sprawę, że mówi absolutnie serio.

- Lubię to poczucie, że nie jest się ani tu, ani tam. A kiedy się czeka, nie można być w żadnym innym miejscu. Jest się jakby... w zawieszeniu.

- Wszystko byłoby w porządku - mówi Hadley, bawiąc się zawleczką na puszcze z napojem - gdyby nie te tłumy.

Chłopak ogląda się przez ramię.

- Nie zawsze jest tak źle.

- Dla mnie zawsze. - Dziewczyna rzuca okiem na monitory wyświetlające godziny odlotów i przylotów, wiele zielonych napisów mruga, sygnalizując opóźnienia lub loty odwołane.

- Mamy jeszcze trochę czasu - mówi Oliver i Hadley wzdycha.

- Wiem, ale nie zdążyłam na wcześniejszy samolot, więc czuję się tak, jakbym dostała wyrok w zawiasach.

- Miałaś lecieć poprzednim? Kiwa głową.

- O której ślub?

- W południe - odpowiada i się krzywi.

- Trudno będzie zdążyć.

- Tak słyszałam. A o której ten twój? Chłopak spuszcza wzrok.

- Mam być w kościele o drugiej.

- To nie ma obaw.

- Tak - odpowiada. - Pewnie nie ma.

Siedzą w milczeniu, oboje mają wzrok wlepiony w blat stołu, póki z kieszeni Olivera nie dobiega stłumiony dźwięk telefonu. Wyjmuje aparat i wpatruje się weń

intensywnie. Komórka wciąż dzwoni, aż wreszcie chłopak podejmuje decyzję i raptownie wstaje.

- Powinienem odebrać - mówi, odchodząc od stołu. -Przepraszam.

Hadley macha ręką.

- Nie ma sprawy - zapewnia. - Idź.

Patrzy, jak Oliver się oddala, torując sobie drogę z telefonem przy uchu w nabitej ludźmi hali. Idzie z pochyloną głową, jest skulony, ramiona opuszczone, szyja zgięta i wszystko to sprawia, że wygląda teraz jak jakaś inna, mniej stabilna wersja tego samego Olivera, z którym przed chwilą rozmawiała. Hadley zastanawia się, kóż może znajdować się na drugim końcu linii. Przychodzi jej do głowy, że może to jego dziewczyna, jakaś piękna i błyskotliwa studentka Yale, która nosi modne okulary, dwurzędową kurtkę i nie jest tak niepozobierana, by spóźnić się o kilka minut na samolot.

Hadley jest zaskoczona, jak szybko odsuwa od siebie tę myśl.

Zerka na własny telefon, uzmysławiając sobie, że powinna zadzwonić do mamy i powiadomić ją o zmianie lotu. Jednak żołądek szamocze się na wspomnienie ich wcześniejszego rozstania, drogi na lotnisko w głuchym milczeniu i bezdusznej gadki, jaką zafundowała mamie w hali odlotów. Wie, że ma skłonność do chlapania ozorem - tato zawsze żartował, że urodziła się bez filtra - no, ale jak można oczekiwać od niej całkowicie racjonalnego zachowania w dniu, którego lękała się od miesięcy?

Obudziła się rano cała spięta, bolały ją kark i ramiona, tępy ból pulsował w tyle głowy. Nie chodziło o sam ślub czy też fakt, że wkrótce będzie zmuszona poznać Char-

lotte, której istnienie starała się wyprzeć, zużywając na to mnóstwo energii. Chodziło o to, że ten weekend będzie oznaczał oficjalny rozpad ich rodziny.

Hadley wie, że to nie jest film Disneya. Rodzice już się nie zejdą. Prawda jest taka, że ona już nawet tego nie pragnie. Tato jest wyraźnie szczęśliwy, a mama także wydaje się ogólnie zadowolona. Od ponad roku spotyka się z Harrisonem Doyle'em, dentystą z ich miasta. Mimo wszystko ten ślub stawia kropkę na końcu zdania, które nie powinno się jeszcze kończyć, a Hadley nie ma pewności, czy jest gotowa, by być tego świadkiem.

W końcu jednak nie miała tak naprawdę wyboru.

- On nadal jest twoim ojcem - powtarza wciąż mama. - Oczywiście, nie jest doskonały, ale to dla niego ważne, żebyś tam była. Przecież to tylko jeden dzień. Nie prosi

o wiele.

Tymczasem Hadley wydawało się, że i owszem, że wszystko jest jedną wielką prośbą: prosi ją o wybaczenie, o więcej wspólnie spędzanego czasu, o danie szansy Charlotte. Prosi i prosi, i prosi, a sam nigdy nic nie dał. Miała ochotę chwycić mamę za ramiona, potrząsnąć nią

i wlać jej trochę oleju do głowy. Zawiódł ich zaufanie, złamał mamie serce i zniszczył ich rodzinę. A teraz żeni się z tamtą kobietą, jak gdyby nigdy nic. Jak gdyby było nieporównywalnie łatwiej rozpocząć wszystko kompletnie od nowa, niż postarać się wrócić do poprzedniego stanu.

Mama jednak uparcie twierdziła, że tak jest lepiej. Dla całej trójki.

- Wiem, że trudno w to uwierzyć - mówiła o całej sprawie nieznośnie zrównoważonym tonem - ale tak jest najlepiej. Naprawdę. Zrozumiesz, gdy będziesz starsza.

Hadley jest zupełnie pewna, że rozumie już teraz, i podejrzewa, że problem polega na tym, iż nie dotarło to jeszcze w pełni do mamy. Zawsze najpierw jest cios, a potem ból, dotkliwa świadomość. Przez pierwszych kilka tygodni po Bożym Narodzeniu Hadley spędzała w łóżku bezsenne noce, nasłuchując płaczu mamy. Przez kilka dni mama wcale nie chciała rozmawiać o tacie, a potem, przez kilka kolejnych nie mówiła o niczym innym, w koło Macieju. Aż wreszcie pewnego dnia, jakieś półtora miesiąca później, otrząsnęła się nagle i bez fanfar, pogodzona z losem, czego Hadley nie pojmuje do dziś.

Blizny jednak pozostały. Harrison już trzykrotnie prosił mamę o rękę, za każdym razem w coraz to bardziej wymyślny sposób - romantyczny piknik, pierścionek w kieliszku szampana i wreszcie kwartet smyczkowy w parku - lecz ona uparcie odmawia, a Hadley jest przekonana, że postępuje tak dlatego, że jeszcze się nie pozbierała po rozstaniu z tatą. Nie można przeżyć tak wielkiego zerwania i wyjść z niego bez szwanku.

Tak więc rano, gdy jedynie podróż przez ocean dzieliła ją od spotkania źródła ich wszystkich problemów, Hadley obudziła się w podłym nastroju. Gdyby wszystko poszło gładko, mogło skończyć się na kilku sarkastycznych uwagach oraz sporadycznym gderaniu w drodze na lotnisko. Tymczasem pojawiła się wiadomość od Charlotte z przypomnieniem, o której trzeba zjawić się w hotelu, żeby się przyszykować, a dźwięk jej urywanego brytyjskiego akcentu podzielał Hadley na nerwy, co oznaczało, że reszta dnia jest już stracona.

Później, jakżeby inaczej, walizka nie chciała się zamknąć, mama nie zgodziła się na kryształowe kolczyki,

które Hadley planowała założyć na ślub, po czym osiemdziesiąt pięć razy zadała pytanie, czy aby na pewno wzięła paszport. Przypaliła się grzanka, dżem kapnął na bluzę, a kiedy Hadley pojechała samochodem do drogerii po małą buteleczkę szamponu, zaczął padać deszcz i zepsuła się jedna z wycieraczek. Dziewczyna wylądowała więc na stacji benzynowej, gdzie sterczała przez prawie czterdzieści pięć minut za facetem, który nie potrafił sam sprawdzić poziomu oleju. A przez cały ten czas wskazówki zegara gnały naprzód, zbliżając się do momentu wyjazdu na lotnisko. Kiedy więc przestąpiła próg i rzuciła klucze na kuchenny stół, nie miała nastroju do odpowiadania na osiemdziesiąte szóste pytanie o paszport.

- Tak - warknęła. - Mam.

- Tylko pytam - powiedziała mama, unosząc niewinnie brew, a Hadley rzuciła jej zbuntowane spojrzenie.

- Na pewno nie chcesz wprowadzić mnie na pokład samolotu?

- Co to ma znaczyć?

- A może powinnaś towarzyszyć mi aż do samego Londynu, by mieć pewność, że naprawdę tam polecę.

W głosie mamy zabrzmiała ostrzegawcza nuta:

- Hadley.

- Dlaczego tylko ja muszę oglądać, jak żeni się z tą kobietą? Nie rozumiem, dlaczego w ogóle muszę jechać, a tym bardziej sama.

Mama zacisnęła usta i zrobiła minę, która niewątpliwie wyrażała jej rozczarowanie, ale Hadley było już teraz wszystko jedno.

Potem przez całą drogę na lotnisko uporczywie milczały, po raz enty wracając w myślach do kłótni trwają-

cych już od wielu tygodni. A nim zatrzymały się przed halą odlotów, każda cząsteczka Hadley zdawała się drżeć, napędzana jakąś nerwową energią.

Mama wyłączyła silnik, lecz żadna z nich się nie poruszyła.

- Będzie dobrze - powiedziała mama po chwili łagodnym głosem. - Naprawdę.

Hadley obróciła do niej twarz.

- On się żeni, mamó. Jak może być dobrze?

- Po prostu uważam, że twoja obecność tam jest ważna...

- Tak, wiem - przerwała ostro. - Już mówiłaś.

- Będzie dobrze - powtórzyła mama.

Hadley chwyciła bluzę i odpięła pas bezpieczeństwa.

- W takim razie, jeśli coś się stanie, to będzie twoja wina.

- Na przykład co? - spytała ze znużeniem mama, a Hadley - gotując się z gniewu, który sprawiał, że czuła się jednocześnie niezłomna i niesłychanie krucha - z impetem pchnęła drzwi.

- Na przykład rozbije się samolot albo coś w tym stylu - powiedziała, nie wiedząc nawet, dlaczego to mówi, wyjąwszy fakt, że była rozgoryczona, poirytowana i wystraszona, a czy wtedy nie mówi się właśnie takich rzeczy? - Wówczas będziesz musiała uporać się ze stratą nas obojga.

Wpatrywały się w siebie, okropne, nieodwracalne słowa wyrosły między nimi jak ceglany mur i po chwili Hadley wysiadła z samochodu, zarzuciła plecak na ramię, a następnie chwyciła walizkę z tylnego siedzenia.

- Hadley - odezwała się mama, wyskakując z drugiej strony i patrząc na nią przez maskę samochodu. - Tylko nie...

- Zadzwoń do ciebie, gdy dolecę - burknęła Hadley, zmierzając już w stronę terminalu. Przez cały czas czuła na sobie wzrok mamy, lecz jakiś dziwny impuls, jakieś błędne poczucie dumy nie pozwoliło jej ponownie się odwrócić.

Teraz, siedząc w małym barze na lotnisku, trzyma kciuk nad przyciskiem telefonu. Bierze głęboki oddech i naciska, serce łomocze w głuchych odstępach między sygnałami.

Wypowiedziane wcześniej słowa wciąż rozbrzmiewają jej w uszach. Z natury nie jest przesądna, ale to, że tuż przed lotem tak bezmyślnie odwołała się do możliwości katastrofy, wystarcza, by zrobiło jej się słabo. Myśli o samolocie, którym miała polecieć, teraz już kawał drogi stąd nad oceanem, i czuje ostre ukłucie żalu, mając nadzieję, że nie zadarła z losem.

Jakaś jej część czuje ulgę, gdy włącza się poczta głosowa. Podczas nagrywania wiadomości o zmianie lotu, zauważa nadchodzącego Olivera. Przez chwilę wydaje się jej, że dostrzega w jego twarzy coś znajomego, ten sam dręczący niepokój, który sama czuje w tej chwili. Kiedy jednak chłopak spostrzega, że na niego patrzy, następuje w nim jakaś zmiana i wraca do poprzedniego stanu. Znowu wygląda beztrosko, niemal radośnie, jego oczy rozjaśnia niewymuszony uśmiech.

Hadley milknie w połowie zdania. Oliver wskazuje na jej telefon, chwytając za torbę, a następnie energicznie pokazuje kciukiem bramkę. Ona otwiera usta, by powiedzieć, że potrzebuje jeszcze chwili, ale jego już nie ma, dziewczyna kończy więc w pośpiechu nagrywanie wiadomości.



- No to zadzwonię, gdy wyląduje jutro rano - mówi do telefonu lekko drżącym głosem. - I mam... przepraszam za to, co wcześniej, okej? Nie chciałam.

Później, kiedy zmierza w kierunku bramki, lustruje wzrokiem całą halę w poszukiwaniu niebieskiej koszuli Olivera, ale jego ani widu, ani słyhu. Zamiast czekać na niego pośród tłumu nerwowych podróżnych, dziewczyna zatacza koło i zawraca do toalety, a następnie myszkuje w sklepach z pamiątkami, księgarniach i kioskach z gazetami, włącząc się niespokojnie po terminalu, aż wreszcie nadchodzi czas odprawy.

Ustawivszy się w kolejce, uświadamia sobie, że jest zbyt zmęczona, by się denerwować. Odnosi wrażenie, że spędziła tu już kilka dni, a czeka ją jeszcze tak wiele nerwów: ciasnota kabiny, uczucie paniki, które pojawia się, gdy nie ma drogi ucieczki. Do tego ślub i przyjęcie weselne, poznanie Charlotte i pierwsze od ponad roku spotkanie z tatą. W tej chwili marzy jednak wyłącznie o założeniu na uszy słuchawek, zamknięciu oczu i zaśnięciu. Wydaje się niemal cudem, że można zwyczajnie oderwać się od ziemi i przekolebać na drugą stronę oceanu bez najmniejszego wysiłku.

Kiedy nadchodzi jej kolej okazania biletu, steward uśmiecha się spod wąsa.

- Strach przed lataniem?

Hadley zmusza się do rozluźnienia dłoni, którą zacisnęła kurczowo na rączce walizki, aż pobieleły jej kostki. Smutno się uśmiecha.

- Strach przed wylądowaniem - odpowiada, ale mimo to wchodzi na pokład samolotu.

## **ROZDZIAŁ 4**

**21:58 CZASU WSCHODNIOAMERYKAŃSKIEGO**

**2:58 CZASU GREENWICH**

Zanim Oliver pojawia się na początku przejścia, Hadley siedzi już przy oknie z zapiętym pasem i plecakiem upchniętym bezpiecznie w schowku bagażowym nad głową. Ostatnich siedem minut spędziła na udawaniu, że nie interesuje się jego przybyciem, liczyła z okna samoloty i przyglądała się deseniowi na oparciu fotela przed nią. Tak naprawdę właśnie na niego czekała i gdy chłopak staje obok, Hadley oblewa się rumieńcem bez żadnego konkretnego powodu poza tym, że on wyłania się zniemacka i pochyla nad nią z tym swoim wykrzywionym uśmiechem. To powoduje, że dziewczynę przeszywa nieznany prąd i bezwiednie nachodzi ją myśl, czy on czuje to samo.

- Zgubiłaś mi się - mówi chłopak, a ona zdobywa się na skinienie głową, zadowolona, że ją odnalazł.

Oliver podnosi torbę ponad głowę, wkłada ją do schowka, po czym rzuca się na środkowy fotel obok Hadley, niezgrabnie układając przed sobą zbyt długie nogi i lokując resztę ciała pomiędzy bezlitosnymi poręczami. Dziewczyna zerka na niego, serce jej łomocze od tej nagłej bliskości, od swobody, z jaką usadowił się tak blisko niej.

- Zostanę tu tylko przez chwilę - wyjaśnia, opierając się w fotelu. - Zanim ktoś przyjdzie.

Hadley zdaje sobie sprawę, że jakaś jej częśćka już układa opowieść na pożytek przyjaciół: o tym, jak poznała w samolocie uroczego kolesia z boskim akcentem i jak gadali ze sobą przez całą podróż. Tymczasem inna częśćka, ta bardziej praktyczna, denerwuje się przylotem do Londynu na ślub taty nazajutrz rano po nieprzespanej nocy. Bo niby jak miałyby zasnąć, mając go obok siebie? Jego łokieć ociera się o jej rękę, kolana prawie się stykają. W dodatku on pachnie oszałamiająco cudownie chłopcęcią mieszaniną zapachu dezodorantu i szamponu.

Oliver wyjmując z kieszeni kilka rzeczy, przeczesuje stos drobnych, aż wreszcie znajduje cukierek zawinięty w oblepiony kłaczkami papierek, który najpierw proponuje jej, a potem sam wrzuca go sobie do ust.

- Czy to coś jest bardzo stare? - pyta ona, marszcząc nos.

- Stare jak świat. Jestem pewien, że wygrzebałem go z misy na cukierki podczas ostatniego pobytu w domu.

- Niech zgadnę - mówi ona. - To część badań nad skutkami upływu czasu na zachowanie się cukru.

Chłopak uśmiecha się od ucha do ucha.

- Coś w tym stylu.

- A co naprawdę studiujesz?

- To ściśle tajne - odpowiada ze śmiertelnie poważną miną. - A ty wyglądasz na sympatyczną, dlatego nie chcę być zmuszony do pozbawienia cię życia.

- O rany, dzięki - mówi Hadley. - Możesz przynajmniej zdradzić, jaki masz przedmiot kierunkowy? Czy to też tajne?

- Chyba psychologię - mówi. - Chociaż wciąż próbuję to ustalić.  
- Aha - mówi Hadley. - A więc stąd ta cała socjotechnika. Oliver parska śmiechem.

- Dla ciebie socjotechnika, dla mnie praca badawcza.  
- Skoro jestem poddawana analizie, powinnam chyba bardziej uważać na słowa.

- To prawda - przyznaje. - Obserwuję cię. -No i?  
Uśmiecha się z ukosa.

- Za wcześnie na wnioski.  
Za jego plecami starsza kobieta zatrzymuje się przy ich rzędzie foteli i mrużąc oczy, patrzy na swój bilet. Ma na sobie kwiecistą sukienkę, a jej białe włosy są tak delikatne, że prześwituje przez nie skóra. Ręka drży jej odrobinę, gdy kobieta wskazuje na numer umieszczony ponad ich głowami.

- Zdaje się, że siedzi pan na moim miejscu - oznajmia, miętosząc kciukiem brzeg biletu, a Oliver zrywa się z fotela tak szybko, że uderza głową w pokrętła od klimatyzacji.

- Przepraszam - mówi, próbując usunąć się z drogi, jego ruchy na niewiele się zdają w tak ciasnej przestrzeni.

- Usiadłem tu tylko na chwilę.  
Kobieta bacznie mu się przygląda, następnie przenosi wzrok na Hadley, a wtedy oboje niemal widzą, jak świta jej w głowie pewien pomysł, jak marszczą się kąciki jej załzawionych oczu.

- Och - mówi starsza pani, cicho klaszcząc w dłonie.  
- Nie wiedziałam, że jesteście razem. - Opuszcza torebkę na siedzenie z brzegu. - Zostańcie na swoich miejscach. Mnie będzie tutaj w sam raz.

Oliver ma taką minę, jakby próbował zdusić śmiech, lecz Hadley zamartwia się, że właśnie pozbawił się wygodnego miejsca, bo kto chce spędzić bite siedem godzin przykuty do środkowego fotela? Kiedy jednak kobieta ostrożnie siada na szorstkiej tapicerce, Oliver uśmiecha się do Hadley uspokajająco, natomiast ona, chcąc nie chcąc, odczuwa pewną ulgę. Prawda jest bowiem taka, że teraz, kiedy on jest obok, nie potrafi sobie wyobrazić innej sytuacji. Teraz, kiedy on jest obok, Hadley boi się, że podróż na drugi kraniec oceanu z kimś siedzącym pomiędzy nimi przypominałaby tortury.

- A więc - odzywa się staruszka, przekopując torebkę i wyciągając ze środka piankowe zatyczki do uszu - jak się poznaliście?

Wymieniają szybkie spojrzenie.

- Proszę wierzyć lub nie - mówi Oliver - ale na lotnisku.

- Cudownie! - wykrzykuje starsza pani z wyrazem autentycznego zachwytu na twarzy. - A jak do tego doszło?

-Hmm... - zaczyna Oliver, lekko prostując się na siedzeniu - właściwie tak, że zachowałem się dość szarmancko i zaproponowałem pomoc przy ciągnięciu walizki. Potem zaczęliśmy rozmawiać i tak jakoś wyszło...

Hadley uśmiecha się szeroko.

-I od tamtej pory nie rozstaje się z moją walizką.

- Postąpiłby tak każdy prawdziwy dżentelmen -stwierdza Oliver z przesadną skromnością.

- Zwłaszcza ten wyjątkowo szarmancki.

Starsza kobieta wydaje się ukontentowana tym wyjaśnieniem, a zmarszczki na jej twarzy układają się w skomplikowaną mapę.

-1 oboje trafiliście tutaj. Oliver szczyrzy zęby.

- Trafiliśmy.

Hadley czuje się zaskoczona siłą pragnienia, które wzbiera w niej w tym momencie: chciałaby, żeby to wszystko było prawdą, każde słowo. Było czymś więcej niż jedną z wielu historii. Żeby było ich wspólną historią.

Ale wtedy on znów odwraca się w jej stronę i czar pryska. Oczy dosłownie świecą mu się z rozbawienia, gdy sprawdza, czy ten żart bawi także Hadley. Dziewczyna zdobywa się na blady uśmiech, on zaś zwraca się ponownie ku staruszce, która wdała się w opowieść o tym, jak poznała swojego męża.

„Takie rzeczy się nie zdarzają”, myśli Hadley. O nie. Nie w jej życiu.

- ...nasz najmłodszy ma czterdzieści dwa lata - ciągnie starsza pani. Kiedy mówi, skóra na jej szyi zwisa w luźnych fałdach, które trzęsą się jak galareta, a wtedy Hadley odruchowo dotyka dłonią własnej szyi, przesuwając po niej kciukiem i palcem. - A w sierpniu miną pięćdziesiąt dwa lata, od kiedy jesteśmy razem.

- Ho, ho - mówi Oliver. - Niesamowite.

- Nie nazwałabym tego niesamowitym - odpowiada kobieta, mrugając powiekami. - To łatwe, gdy trafi się na właściwą osobę.

W przejściu między fotelami nie ma teraz nikogo prócz stewardes, które maszerują tam i z powrotem, sprawdzając pasy. Starsza pani wyjmując z torebki butelkę wody, po czym otwiera pomarszczoną dłoń, na której leży tabletkę nasenna.

- Kiedy ma się już z górki - mówi - pięćdziesiąt dwa lata mogą przelecieć jak pięćdziesiąt dwie minuty. - Odchyła w tył głowę i łyka pigułkę. - Kiedy z kolei jest się młodym i zakochanym, siedmiogodzinny lot może sprawiać wrażenie wieczności.

Oliver klepie się w kolana wciśnięte w oparcie fotela z przodu.

- Miejmy nadzieję, że nie - żartuje, ale kobieta tylko się uśmiecha.

- Nie mam wątpliwości - mówi, wtykając do ucha żółtą zatyczkę, a następnie powtarzając ten sam ruch z drugiej strony. - Życzę miłego lotu.

- My również - odpowiada Hadley, lecz głowa staruszki zdążyła już opaść na bok i nagle rozległo się pochrapywanie.

Podłoga samolotu zaczyna wibrować, gdy silniki z dudnieniem budzą się do życia. Jedna ze stewardes przypomina przez głośnik o zakazie palenia i konieczności pozostania na miejscach, póki kapitan nie wyłączy napisu: *Zapiąć pasy*. Inna pokazuje, jak wkłada się kamizelkę ratunkową i używa maski tlenowej, jej słowa brzmią tak monotonicznie, mechanicznie i beznamiętnie, że zdecydowana większość pasażerów ignoruje ją, przeglądając gazety i czasopisma, otwierając książki i wyłączając telefony komórkowe.

Hadley wyjmując z kieszeni fotela z przodu zaalaminowane instrukcje bezpieczeństwa i ze zmarszczonym czołem studiuje schematyczne wizerunki mężczyzn i kobiet, którzy wydają się osobliwie zachwyceni wyskakiwaniem ze schematycznych samolotów. Obok niej Oliver dusi się ze śmiechu, Hadley podnosi na niego wzrok.

-Co?

- W życiu nie widziałem, by ktokolwiek czytał te instrukcje.

- No to masz szczęście, że siedzisz obok mnie - mówi.

- Tak w ogóle? Dziewczyna uśmiecha się.

- Zwłaszcza w razie niebezpieczeństwa.

- Jasne - mówi on. - Czuję się nieprawdopodobnie bezpiecznie. Nie mogę się doczekać, kiedy takie chuchro jak ty, metr pięćdziesiąt w kapeluszu, wywlecze mnie stąd, gdy podczas lądowania awaryjnego stolik rąbnie mnie w głowę i pozbawi przytomności.

Hadley rzędzie mina.

- Nawet tak nie żartuj.

- Przepraszam - Oliver bije się w piersi i przysuwa bliżej. Kładzie rękę na jej kolanie, a gest ten jest tak odruchowy, że chłopak chyba nie zdaje sobie sprawy z tego, co zrobił, póki Hadley nie spojrzy ze zdziwieniem na jego dłoń, grzejącą jej nagą skórę. On cofa rękę jak oparzony, sprawia wrażenie nieco zaszokowanego, a następnie kręci głową. - Lot będzie spokojny. Nie to miałem na myśli.

- W porządku - odzywa się cicho Hadley. - Zwykle nie jestem aż tak przesądna.

Za oknem widać, jak kilku mężczyzn w odblaskowych kamizelkach okrąża potężny samolot. Dziewczyna wychyla się, by ich obserwować. Starsza pani na końcu rzędu kasła przez sen, oboje odwracają się w jej stronę, ona jednak znów spokojnie drzemie, a jej powieki lekko drgają.

- Pięćdziesiąt dwa lata - mówi Oliver i cichutko gwizdże. - Imponujące.



- Ja chyba w ogóle nie wierzę w małżeństwo - oznajmia Hadley, on zaś robi zaskoczoną minę.

- Nie jedziesz przypadkiem na ślub?

- Owszem - potwierdza skinieniem głowy. - Ale tak uważam.

On patrzy na nią osłupiały.

- Nie powinno się robić tyle szumu, ciągnąć wszystkich przez pół świata, żeby byli świadkami czyjejs miłości. Jeśli chce się z kimś dzielić życie, w porządku, ale to sprawa dwojga ludzi i na tym powinno się poprzestać. Po co takie wielkie halo? Po co się obnosić?

Oliver przesuwając ręką po brodzie, najwyraźniej niezupełnie pewien, co o tym myśleć.

- Wygląda na to, że nie wierzysz w ceremonię zaślubin - stwierdza wreszcie. - A nie w małżeństwo.

- W tej chwili nie jestem zagorzałą zwolenniczką ani jednego, ani drugiego.

- Sam nie wiem - zastanawia się. - Mnie wydaje się to dość przyjemne.

- Nie jest przyjemne - upiera się Hadley. - Wszystko na pokaz. Nie potrzeba niczego udowadniać, jeśli jest się pewnym swojej decyzji. Wszystko to powinno być dużo prostsze. Powinno coś znaczyć.

- Myślę, że znaczy - stwierdza cicho Oliver. - To przyrzeczenie.

- Pewnie tak - odpowiada Hadley, nie potrafiąc powstrzymać westchnienia. - Ale nie wszyscy tego przyrzeczenia dotrzymują. - Ogląda się na nadal smacznie śpiącą starszą panią. - Nie każdy dociąga do pięćdziesięciu dwóch lat, a jeśli tak, to nieistotne, że kiedyś stało się przed wszystkimi i składało przysięgę. Ważne jest to, że

przez te wszystkie lata miało się u swego boku kogoś, na kogo można było liczyć. Nawet gdy cała reszta układała się do bani.

Chłopak się śmieje.

- Małżeństwo: kiedy cała reszta jest do bani.

- Serio - mówi z naciskiem Hadley. - Bo inaczej skąd wiadomo, że to coś znaczy? Jeśli nie masz obok siebie kogoś, kto potrzyzyma cię za rękę w ciężkich chwilach?

- A więc do tego się wszystko sprowadza? - upewnia się Oliver. - Żadnego ślubu, żadnego małżeństwa, tylko ktoś, kto potrzyzyma cię za rękę, gdy wszystko idzie źle?

- Do tego - potwierdza Hadley skinieniem głowy. Chłopak w zadumie kręci głową.

- Czyj to ślub? Twojego byłego chłopaka? Hadley nie wytrzymuje i parska śmiechem.

- Że co? - dopytuje się Oliver.

- Mój były chłopak spędza większość czasu na grach wideo, a resztę na rozwożeniu pizzy. Śmiesznie wyobrazić go sobie w roli pana młodego.

- Sądziłem, że jesteś ciut za młoda jak na kobietę wzgardzoną.

- Mam siedemnaście lat - odpowiada Hadley z oburzeniem, on zaś podnosi ręce w geście kapitulacji.

Samolot zaczyna odsuwać się od rękawa, Oliver pochyla się mocniej, by wyrzeć przez okno. Wszędzie jak okiem sięgnąć błyszczą światła, niczym odbicie gwiazd tworzących wielkie gwiazdozbiory pasów startowych, gdzie dziesiątki maszyn stoją nieruchomo, czekając na swoją kolej. Hadley trzyma dłonie splecione na kolanach i nabiera powietrza.

- No więc - mówi Oliver, znów opierając się w fotelu. - Wygląda na to, że wskoczyliśmy od razu na głęboką wodę?

- Co masz na myśli?
  - Dyskusja na temat definicji prawdziwej miłości to coś, do czego dochodzi się zwykle po mniej więcej trzech miesiącach, a nie trzech godzinach.
  - Według niej - Hadley wskazuje brodą na prawo od Olivera - trzy godziny to prawie jak trzy lata.
  - No tak, jeśli jest się zakochanym.
  - Fakt. Nas to zatem nie dotyczy.
  - Nie - Oliver zgadza się z uśmiechem na ustach. - Nas nie dotyczy. Godzina to godzina. I wszystko robimy od końca.
  - To znaczy?
  - Znam twoje poglądy na instytucję małżeństwa, ale nie omówiliśmy jeszcze naprawdę istotnych kwestii, na przykład jaki jest twój ulubiony kolor i ulubione jedzenie.
  - Niebieski i meksykańskie. On kiwa głową z aprobatą.
  - Całkiem nieźle. W moim wypadku zielony i curry.
  - Curry? - Hadley się krzywi. - Naprawdę?
  - Hej. Żadnego oceniania. Co dalej?
- Światła w kabinie przygasają na czas startu, silniki pod pokładem zwiększają obroty i Hadley zamyka oczy, tylko na chwilę.
- Co: co dalej?
  - Ulubione zwierzę?
  - Nie wiem - odpowiada, otwierając oczy. - Pies? Oliver potrząsa głową.
  - Zbyt oklepane. Spróbuj jeszcze raz.
  - No to słoń.
  - Serio?
- Hadley przytakuje ruchem głowy.

- Skąd ten słoń?

- Kiedy byłam mała, nie mogłam zasnąć bez takiego zmalretowanego pluszowego słonika - wyjaśnia, nie mając pojęcia, dlaczego przypomniała sobie o tym akurat teraz. Może dlatego, że wkrótce znów zobaczy się z tatą, albo po prostu dlatego, że samolot szykuje się do startu, wywołując dziecięcą tęsknotę za starą przytulanką.

- Nie jestem przekonany, czy można uznać tę odpowiedź.

- Najwyraźniej nie poznałeś nigdy Słonia. Chłopak się śmieje.

- Wymyśliłaś to imię całkiem sama?

- No pewnie - odpowiada, uśmiechając się na to wspomnienie. Miał czarne szklane oczy, miękkie oklapnięte uszy i pleciony sznurek zamiast ogona. Sprawiał, że przy nim wszystko wyglądało lepiej. Od przymusu jedzenia warzyw i noszenia gryzących rajstop, po uderzenie się w palec u nogi i leżenie w łóżku z bolącym gardłem. Słoń był antidotum na wszystko. Z czasem zgubił jedno oko i stracił prawie cały ogon, ale to w niego się wyplakiwało, kichało, na nim się siedziało, a za każdym razem, kiedy Hadley była czymś zdenerwowana czy zmartwiona, tato po prostu kładł jej rękę na głowie i prowadził na górę.

- Czas poradzić się słonia - oznajmiał i jakimś cudem to zawsze pomagało. Dopiero teraz przyszła jej do głowy myśl, że to bardziej zasługa taty niż małego słonika.

Oliver patrzy na nią z rozbawieniem.

- Nadal nie jestem przekonany, czy taka odpowiedź się liczy.

- No dobrze - mówi Hadley. - A jakie jest twoje ulubione zwierzę?

- Amerykański orzeł. Dziewczyna się śmieje.  
- Nie wierzę.  
- Mnie nie wierzysz?- pyta, kładąc rękę na sercu. -Czy to coś złego uwielbiać zwierzę, które jest przy okazji symbolem wolności?  
- Teraz zwyczajnie się ze mnie nabijasz.  
- Może odrobinę - przyznaje, szczerząc się od ucha do ucha. - Ale działa?  
- Chodzi o to, żebym szybciej nałożyła ci kaganiec?  
- Nie - odpowiada spokojnie Oliver. - O odwrócenie twojej uwagi.  
- Od czego?  
- Od klaustrofobii.  
Hadley uśmiecha się do niego z wdzięcznością.  
- Trochę działa - przyznaje. - Choć gorzej będzie, gdy wzbijemy się w powietrze.  
- Jak to? - pyta chłopak. - Tam jest mnóstwo otwartej przestrzeni.  
- Za to nie ma drogi ucieczki.  
- Aha, więc szukasz drogi ucieczki. Hadley potakuje.  
- Zawsze.  
- To widać - stwierdza Oliver i wzdycha dramatycznie. - Dziewczyny często tak robią.  
Hadley parska krótkim śmiechem i znów zamyka oczy, kiedy samolot zaczyna nabierać prędkości, prując po pasie startowym w narastającym hałasie. Wciska ich w fotele, gdy pęd przewyższa siłę grawitacji, dziób samolotu podnosi się - czemu towarzyszy ostatni podskok kół - i szybują w górę niczym gigantyczny metalowy ptak.

Hadley zaciska rękę na poręczy fotela. Pną się coraz wyżej na nocnym niebie, światła w dole są coraz bardziej rozmyte, tworząc siatkę pikseli. Wraz ze wzrostem ciśnienia uszy Hadley się odykają. Przyciska czoło do szyby, drżąc ze strachu przed chwilą, w której przebiją się przez kłęby nisko wiszących chmur i zniknie ziemia pod nimi, kiedy będzie ich otaczać jedynie wielkie, bezkresne niebo.

Za oknem oddalają się zarysy parkingu i zabudowań, wszystko się zaciera. Hadley obserwuje, jak świat się przeobraża i rozmazuje, zyskując nowe kształty. Patrzy na latarnie uliczne jarzące się pomarańczowożółtym światłem, na długie wstęgi autostrady. Poprawia się w fotelu, czuje chłód pleksi na czole, gdy z całej siły stara się ogarnąć całość spojrzeniem. Boi się nie tyle latania, ile błędzenia w przestworzach. Na razie jednak są wciąż wystarczająco nisko, by widzieć oświetlone okna budynków. No i jest przy niej Oliver, który trzyma chmury na dystans.

## **ROZDZIAŁ. 5**

### **22:36 CZASU WSCHODNIOAMERYKAŃSKIEGO**

### **3:36 CZASU GREENWICH**

Znajdowali się w powietrzu zaledwie kilka minut, gdy Oliver najwyraźniej uznał, że można już bezpiecznie z nią rozmawiać. Na dźwięk jego głosu tuż przy swoim uchu Hadley czuje, jak coś jej w środku puszcza, i stopniowo, palec za palcem, rozluźnia zaciśnięte dłonie.

- Leciałem kiedyś do Kalifornii czwartego lipca. Dziewczyna odwraca głowę, tylko odrobinę.

- Noc była bezchmurna, można było oglądać po drodze fajerwerki, niewielkie rozbłyski w dole, w każdym mijanym mieście.

Hadley znów pochyla się ku oknu, serce jej łomocze, gdy wpatruje się w pustkę poniżej, w absolutną nicość. Zamyka oczy i usiłuje sobie wyobrazić fajerwerki.

- Gdyby człowiek nie wiedział, co to takiego, prawdopodobnie mógłby się wystraszyć, ale z góry wyglądały ładnie, takie ciche i filigranowe. I pomyśleć tylko, że to te same wybuchające z hukiem sztuczne ognie, które ogląda się z ziemi. - Przerwał na chwilę. - Przypuszczam, że wszystko jest kwestią perspektywy.

Hadley obraca się i lustruje jego twarz.

- To ma mi niby pomóc? - pyta, aczkolwiek wcale nie nieuprzejmie. Po prostu stara się doszukać w tej historii morału.

- Nie, w zasadzie nie - odpowiada chłopak z zakłopotaniem. - Znow próbowałem odwrócić twoją uwagę.

Ona się uśmiecha.

- Dzięki. Masz coś jeszcze w zanadrzu?

- Mnóstwo. Mógłbym zagadać cię na śmierć.

- Przez siedem godzin?

- Podejmuję to wyzwanie - deklaruje Oliver. Samolot wyrównał już lot i kiedy Hadley zaczyna

kręcić się w głowie, próbuje skupić wzrok na siedzeniu przed sobą, zajmowanym przez mężczyznę o wielkich uszach i przerzedzających się na czubku głowy włosach - nie na tyle, by można go nazwać łysym, ale wystarczająco, by zapowiadać łysinę. To jak czytanie mapy przyszłości. Hadley zastanawia się, czy każdy nosi takie znaki, ukryte wskazówki, jak zmieni się z upływem lat. Czy na przykład ktoś się domyślał, że starsza pani na fotelu z brzegu przestanie kiedyś patrzeć na świat skrzącymi się niebieskimi oczami i zamiast tego będzie oglądać wszystko przez przezroczystą mgiełkę? Albo że siedzący po przekątnej mężczyzna będzie musiał przytrzymywać jedną rękę drugą, by uspokoić drżenie?

Ale tak naprawdę Hadley myśli o ojcu.

Zastanawia się, czy on się jakoś zmienił.

Powietrze w samolocie jest suche i stęchłe, drażni nos, dziewczyna zamyka więc piekące oczy i oddycha przez usta, jak gdyby znajdowała się pod wodą, co nietrudno sobie wyobrazić, gdy sunie się przez przepastne nocne niebo. Mruga powiekami i otwiera oczy, gwałtownie wy-



ciąga rękę i spuszcza plastikową roletę w oknie. Oliver zerka na nią z uniesionymi brwiami, ale milczy.

Nachodzi ją nagle i niepożądane wspomnienie lotu odbytego z ojcem wiele lat temu, choć nie jest pewna, ile dokładnie. Pamięta, jak w roztargnieniu bawił się roletą, to opuszczając ją, to podciągając w górę, wciąż na nowo, tam i z powrotem, aż pasażerowie po drugiej stronie przejścia spoglądali na niego ze zmarszczonymi brwiami i zaciśniętymi ustami. Kiedy napis nakazujący zapięcie pasów wreszcie zgasł, ojciec zerwał się z miejsca, pocałował Hadley w czoło, po czym dał susa do przejścia między fotelami. Przez dwie godziny krążył wąskim korytarzem między pierwszą klasą a toaletami, zatrzymując się raz po raz, by pochylić się nad córką i zapytać, co porabia, jak się miewa, co czyta, a potem znów kręcił się tam i z powrotem, jak ktoś niecierpliwie oczekujący autobusu na przystanku.

Czy zawsze był taki niespokojny? Trudno stwierdzić na sto procent.

Hadley odwraca się teraz do Olivera.

- Tato często przyjeżdża do ciebie w odwiedziny? -pyta, a on patrzy na nią lekko wystraszony. Ona odwzajemnia spojrzenie, równie zaskoczona swoim pytaniem. Chciała zapytać o rodziców. Czy rodzice często przyjeżdżają w odwiedziny? Słowo „tato” po prostu jej się wymknęło.

Oliver chrząka i opuszcza ręce na kolana, skręcając luźną końcówkę pasa w ciasne zawiniątko.

- Prawdę mówiąc, tylko mama - odpowiada. - Przywiozła mnie tu na początku roku. Nie mogła znieść myśli, że wysyła mnie na studia do Ameryki i nawet nie pościeli mi łóżka.

- Urocze - kwituje Hadley, starając się nie myśleć o własnej mamie, o kłótni w drodze na lotnisko. - Wydaje się przesympatyczna.

Czeka, aż Oliver powie coś więcej albo może zapyta o jej rodzinę, ponieważ wydaje się to naturalną kontynuacją rozmowy dwojga ludzi, niemających dokąd uciec i dysponujących kilkoma godzinami wolnego czasu. Tymczasem chłopak w milczeniu wodzi palcem po wyszytym na oparciu fotela napisie: *Po zajęciu miejsca zapiąć pasy.*

Ciemny ekran telewizora nad ich głowami rozjaśnia się i zapowiadają film. Animowany, o rodzinie kaczek, który już widziała, a kiedy Oliver wydaje jęk, Hadley ma zamiar wszystko odszczekać. Potem jednak wierci się na siedzeniu i przygląda mu się krytycznie.

- Kaczki są w porządku - mówi, on zaś przewraca oczami.

- Gadające?

Hadley uśmiecha się radośnie. -1 jeszcze śpiewają.

- Nic nie mów. Już to widziałaś? Dziewczyna podnosi dwa palce.

- Dwa razy.

- Wiesz, że ten film jest przeznaczony dla pięciolatek, prawda?

- Wypraszam sobie: od pięciu do ośmiu lat.

- A ty masz ile, przypomnisz?

- Wystarczająco dużo, by docenić naszych płetwonogich przyjaciół.

- Jesteś jak Szalony Kapelusznik - stwierdza, śmiejąc się na przekór sobie.

- Zaraz, zaraz - mówi Hadley, patrząc na niego z udawanym przerażeniem. - Czy to nawiązanie do... kreskówki?

- Nie, bystrzaku. To nawiązanie do słynnego dzieła literackiego Lewisa Carrolla. No i znowu widać, ile jest warte amerykańskie wykształcenie.

- Ej - obrusza się dziewczyna, lekko szturchając go palcem w pierś, gestem tak naturalnym, że czyni go bezwiednie, a potem jest już za późno. Chłopak się do niej uśmiecha, wyraźnie rozbawiony. - Zdaje się, że wybrałeś amerykańską uczelnię.

- To prawda - przyznaje Oliver - ale mogę uzupełnić jej braki bogactwem mojej brytyjskiej inteligencji i uroku.

- Jasne - pokpiwa Hadley. - Uroku... Kiedy będzie mi dane go doświadczyć?

Podnoszą mu się kąciki ust.

- Czy pewien koleś nie pomógł ci wcześniej nieść walizki?

- A, tak - odpowiada, stukając się palcem w brodę. - Tamten koleś... Był super. Ciekawe, gdzie się podział?

- **1** właśnie to badam - mówi chłopak z uśmiechem. - Tego lata.

- Znacząco?

- Rozdwojenie jaźni u osiemnastolatków płci męskiej.

- Oczywiście. Jedyłą rzeczą bardziej przerażającą niż majonez.

Ku zaskoczeniu Hadley koło jej twarzy pojawia się mucha i dziewczyna bezskutecznie próbuje ją odgonić. Chwilę później owad znów bzyczy gdzieś w pobliżu, kręcąc wokół ich głów doprowadzając do furii piruety, niczym niestrudzona łyżwiarka figurowa.

- Ciekawe, czy wykupiła bilet - zastanawia się Oliver.  
- Pewnie podróżuje na gapę.  
- Biedna kobitka nie ma pojęcia, że wylądaje w zupełnie innym kraju.  
- Tak, gdzie wszyscy tak dziwnie mówią. Oliver macha ręką, by przegnać muchę.

- Myślisz, że wydaje się jej, że pędzi lotem błyskawicy? - pyta Hadley. - Tak jak wtedy, kiedy idzie się ruchomym chodnikiem? Pewnie nie posiada się z radości, że osiąga tak świetny czas.

- Nie uczyłaś się nigdy fizyki? - pyta Oliver, przewracając oczami. - Tu działa teoria względności. Ona lata w odniesieniu do samolotu, nie w odniesieniu do ziemi.

- Okej, mądralo.  
- To dla niej taki sam dzień z owadziego życia jak każdy inny.  
- Z tym wyjątkiem, że jest w drodze do Londynu.  
- Tak - przyznaje Oliver, nieznacznie marszcząc czoło. - Z tym jednym wyjątkiem.

W słabo oświetlonym przejściu zjawia się jedna ze stewardes, kilkadziesiąt słuchawek zwisa z jej ramienia niczym sznurowadła. Pochyla się nad starszą panią na skraju rzędu i scenicznym szeptem pyta: „Życzą sobie państwo słuchawki?”, a oni oboje kręcą przecząco głowami.

- Nie trzeba, dziękuję - mówi Oliver, a gdy stewardesa przechodzi do następnego rzędu, chłopak wyciąga z kieszeni własne słuchawki, odłączając je od iPoda. Hadley sięga pod fotel do plecaka i grzebie w nim w poszukiwaniu swoich.

- Nie chciałam przegapić kaczek - żartuje, lecz on nie słucha. Z zainteresowaniem przygląda się stosowi

książek i czasopism, które Hadley położyła sobie na kolanach, gdy nurkowała w plecaku.

- A więc czytasz trochę porządnej literatury - mówi, biorąc do ręki podniszczony egzemplarz *Naszego wspólnego przyjaciela*. Przerzuca kartki ostrożnie, niemal z nabożnością. - Uwielbiam Dickensa.

- Ja też - zwierza się Hadley. - Ale tego nie czytałam.

- A powinnaś - zachwala Oliver. - To jedna z najlepszych.

- Tak słyszałam.

- Ktoś z pewnością ją czytał. Spójrz na te zagięte kartki.

- To książka mojego taty - wyjaśnia z lekkim marsem na czole. - Dał mi ją.

Oliver podnosi wzrok, a następnie zamyka książkę. - No i?

- I wiozę ją do Londynu, żeby mu oddać.

- Nie przeczytawszy?

- Nie przeczytawszy.

- Chyba sprawa jest bardziej skomplikowana, niż się z pozoru wydaje. Hadley kiwa głową.

- Masz rację.

Tato dał jej tę książkę podczas wypadu na narty, kiedy widzieli się po raz ostatni. W drodze powrotnej stali obok kolejki do stanowiska kontroli bezpieczeństwa na lotnisku, gdy ojciec sięgnął do torby i wyjął stamtąd gruby czarny tom o pożółkłych i wyświechtanych stronicach, z oślimi uszami przypominającymi brakujące elementy układanki.

- Pomyślałem, że mogłaby ci się spodobać - powiedział z uśmiechem zabarwionym desperacją. Od czasu

podsluchania jego rozmowy telefonicznej z Charlotte, od czasu kiedy wreszcie zdołała poskładać wszystko do kupy, prawie z nim nie rozmawiała. Jedyne, o czym potrafiła myśleć, to powrót do domu, gdzie można zwinąć się w kłębek na kanapie, położyć mamie głowę na kolanach i wypłakać wszystkie powstrzymywane dotąd łzy. Pragnęła tylko jednego: płakać, płakać i płakać tak długo, aż zabraknie powodów do płaczu.

Ale oto stał przed nią tata, z obco wyglądającą brodą, w nowej tweedowej marynarce, z sercem zakotwiczonym gdzieś po drugiej stronie oceanu, z ręką uginającą się pod ciężarem wyciągniętej w jej stronę książki.

- Nie martw się - rzekł z bladym uśmiechem. - To nie poezja.

Hadley sięgnęła wreszcie po książkę, spoglądając na okładkę. Nie było obwoluty, tylko litery wytłoczone na czarnym tle: *Nasz wspólny przyjaciel*.

- Teraz jest trudno - powiedział, głos łamał mu się odrobinę. - Nieczęsto mam okazję polecać ci książki. Ale pewne tytuły są zbyt ważne, by w tym wszystkim przepaść. - Machnął odruchowo ręką, definiując w ten sposób, czym dokładnie jest owo „wszystko”.

- Dzięki - powiedziała Hadley, zagarniając książkę ramieniem. Przycisnęła ją do siebie, żeby uniknąć przytulenia się do ojca. To, że nie pozostało im nic więcej - tylko ten niezręczny, z góry umówiony wypadek narciarski i to okropne milczenie - wydawało się wprost nie do zniesienia, a w Hadley wzbierało poczucie niesprawiedliwości zaistniałej sytuacji. Cała ta historia to jego wina, a jednak nienawiść do ojca była najgorszym rodzajem miłości, pełną udręki tęsknotą, pragnieniem przyprawiającym ją

o kołatanie serca i skierowanym pod niewłaściwy adres. Nie potrafiła zbagatelizować niepokojącego wrażenia, że stanowią teraz dwa różne elementy dwóch różnych układanek i już nic nie może sprawić, by znów do siebie pasowali.

- Przyjedź wkrótce w odwiedziny, dobrze? - poprosił, rzucając się ku niej, by ją uściskać, ona tylko skinęła głową przyciśnięta do jego piersi i się odsunęła. Wiedziała jednak, że nigdy do tego nie dojdzie. Nie miała najmniejszego zamiaru składać mu wizyty. Nawet gdyby była otwarta na ten pomysł, na co mama i tato mieli nadzieję, logika tego przedsięwzięcia wydawała się jej absolutnie nie do przyjęcia. Co niby miała robić, spędzać Boże Narodzenie tam, a Wielkanoc tu? Widywać się z ojcem co drugie ferie oraz przez tydzień każdego lata, żeby rzucić okiem na fragmenty jego nowego życia, wycinki świata, do którego ona nie należy? I przez cały czas tracić chwile z życia mamy - własnej mamy, która niczym sobie nie zasłużyła na spędzanie świąt w samotności.

W ten sposób żyć się nie da, uważała Hadley. Może gdyby było więcej czasu albo gdyby czas był bardziej rozciągliwy. Gdyby mogła być w dwóch miejscach naraz, wieść dwa równoległe życia albo - jeszcze prościej - gdyby tato po prostu wrócił do domu. Ponieważ jeśli o nią chodzi, nie istnieje żaden stan przejściowy: Hadley chce mieć wszystko albo nic, wbrew logice, wbrew rozumowi, mimo że coś w środku podpowiada jej, że „nic” byłoby zbyt trudne do zniesienia, a „wszystko” jest nieosiągalne.

Po powrocie z nart upchnęła książkę na półce, nie minęło jednak wiele czasu, a przełożyła ją gdzie indziej,

na spód stosu innych książek leżących na rogu biurka, a potem z kolei w pobliże parapetu okiennego. Ciężkie tomisko przeskakiwało w jej pokoju z miejsca na miejsce jak pchełka, aż wreszcie zaległo na dnie szafy, gdzie spoczywało do tego poranka. A teraz wertuje je Oliver, jego palce napotykaają strony nieotwierane od miesięcy.

- To jego ślub - informuje cicho Hadley. - Mojego taty. Oliver kiwa głową.

-Aha. -No.

- Domyślam się, że nie jest to prezent ślubny.

- Nie. Raczej pewien gest. A może protest.

- Dickensowski protest - mówi chłopak. - Interesujące.

- Coś w tym rodzaju.

On wciąż leniwie kartkuje powieść, zatrzymując się od czasu do czasu, by przeczytać kilka wersów.

- Może powinnaś się jeszcze zastanowić.

- Zawsze mogę wypożyczyć z biblioteki.

- Miałem na myśli także inne powody.

- Wiem - mówi dziewczyna, ponownie spoglądając na książkę. Gdy on wertuje strony, Hadley miga coś przed oczami, a wtedy bez zastanowienia chwyta go za nadgarstek. - Zaczekaj, stop.

On odrywa ręce od książki, ona bierze ją z jego kolan.

- Wydawało mi się, że coś zauważyłam - mówi, cofając się o kilka kartek i mrużąc przy tym oczy. Wstrzymuje oddech, gdy dostrzega zdanie podkreślone nierówną kreską, wyblakłym atramentem. Żadnego komentarza na marginesie, żadnego zagiętego rogu kartki dla zwrócenia uwagi. Tylko pojedynczy wers, skryty głęboko w książce, podkreślony chwiejnym pociągnięciem pióra.



Nawet po upływie tak długiego czasu, nawet po tym wszystkim, co mu powiedziała i czego jeszcze nie powiedziała, pomimo zamiaru zwrócenia książki (ponieważ w ten sposób przekazuje się jasny komunikat, a nie przez podkreślenie jakiegoś cytatu w starej powieści), serce Hadley wciąż trzepocze na myśl, że być może przez cały ten czas rozmijała się z czymś ważnym. A teraz jest to napisane czarno na białym i gapi się na nią z książkowej stronicy.

Oliver się przygląda, a na jego twarzy maluje się wielki znak zapytania. Hadley odczytuje więc zaznaczone słowa na głos, przesuwając palcem wzdłuż kreski, którą zapewne narysował jej ojciec:

*- Czy lepiej jest mieć kiedyś coś dobrego i utracić, czy też nie mieć nigdy?*

Gdy dziewczyna podnosi głowę, ich oczy spotykają się na króciutką chwilę, po czym oboje umykają wzrokiem w bok. Na ekranie w górze tańczą kaczki, rozbryzgując wodę przy brzegach sadzawki, ich małego szczęśliwego domku. Hadley znów się pochyla, by przeczytać to zdanie jeszcze raz, tym razem w milczeniu, a następnie zatrząskuje książkę i wpycha ją z powrotem do plecaka.

## ROZDZIAŁ 6

**00:43 CZASU WSCHODNIOAMERYKAŃSKIEGO**

**5:43 CZASU GREENWICH**

Hadley śpi: unosi się w przestworzach, marzy. W odległych zakątkach umysłu - cały czas aktywnych, mimo że reszta ciała jest bezwładna z wyczerpania - znajduje się na pokładzie innego samolotu. Tego, na który nie zdążyła, tego trzy godziny bliżej ojca. Siedzi obok mężczyzny w średnim wieku. Drgają mu wąsy, kicha i miota się całą drogę przez Atlantyk, nie odzywając się do niej słowem. Narasta w niej niepokój, przyciska rękę do szyby, gdzie za taflą szkła nie ma nic prócz pustki, całkowitej pustki.

Otwiera oczy, zupełnie przytomna. Widzi twarz Olivera w odległości ledwie kilkunastu centymetrów od własnej, czujną i opanowaną, o nieprzeniknionym wyrazie. Przestraszona Hadley podnosi rękę do serca, a wtedy dociera do niej, że opiera głowę na jego ramieniu.

- Przepraszam - mamrocze i się odsuwa. W samolocie jest teraz niemal zupełnie ciemno. Wydaje się, że wszyscy pasażerowie zasnęli. Zgasły nawet ekrany telewizorów, Hadley oswobadza zdrętwiały nadgarstek wciśnięty dotąd między nich i mrużąc oczy, spogląda na zegarek,

wciąż bezużytecznie nastawiony na czas nowojorski. Przeczesuje palcami włosy, po czym zerka z ukosa na koszulę Olivera, czując ulgę, że nie widać na niej żadnych śladów śliny, zwłaszcza że on podaje jej serwetkę.

- A to po co?

On wskazuje ruchem głowy na serwetkę, a gdy Hadley patrzy jeszcze raz, zauważa, że narysował tam kaczkę z filmu.

- To twoja typowa technika? - pyta. - Pióro na serwetce?

Chłopak się uśmiecha.

- Dorysowałem jej czapkę z daszkiem i adidasy, żeby wyglądała bardziej amerykańsko.

- Cóż za dbałość o szczegóły. Choć u nas mówi się zwykle „tenisówki” - wyjaśnia, a końcówkę zdania pochłania ziewnięcie. Chowa serwetkę na samym wierzchu podręcznego plecaka.

- Nie sypiasz w samolotach? Oliver wzrusza ramionami.

- Zazwyczaj sypiam.

- Ale nie tym razem? Potrząsa głową.

- Wygląda na to, że nie.

- Przepraszam - mówi, lecz on zbywa to machnięciem ręki.

- Sprawiałaś wrażenie spokojnej.

- Nie czuję się spokojna - oponuje. - Ale chyba dobrze, że się teraz zdrzemnęłam, bo przynajmniej nie zrobię tego w trakcie jutrzejszej uroczystości.

Oliver sprawdza godzinę.

- Chciałaś powiedzieć: dzisiejszej.

- Rzeczywiście - odpowiada i wykrzywia twarz. - Jestem druhną.  
- To miło.  
- Chyba że spóźnię się na ślub.  
- Pozostaje jeszcze wesele.  
- To prawda - przyznaje i znów ziewa. - Już nie mogę się doczekać siedzenia sama jak palec i przyglądania się, jak mój tato tańczy z kobietą, której nie widziałam na oczy.  
- Nie poznałaś jej? - pyta Oliver, a słowa urywają się raptownie na końcu zdania za sprawą brytyjskiego akcentu.  
-Nie.  
- No, no. Rozumiem, że nie jesteście sobie zbyt bliscy?  
- Ja i tato? Byliśmy.  
- A potem?  
- A potem twój głupi kraj pożarł go w całości. Oliver parska krótkim, niepewnym śmiechem.  
- Pojechał do Oksfordu wykładać przez jeden semestr - wyjaśnia Hadley. - I już nie wrócił.  
- Kiedy?  
- Prawie dwa lata temu.  
- I wtedy poznał tę kobietę?  
- Bingo.  
Oliver kręci głową.  
- Okropne.  
- No - potwierdza Hadley, ale słowo to znaczy o wiele za mało, by oddać choćby w przybliżeniu okropność tej sytuacji dawniej i dziś. Mimo że już z tysiąc razy opowiadała dłuższą wersję tej historii różnym osobom, ma przeczucie, że Oliver zrozumie ją lepiej niż ktokolwiek inny. Świadczy o tym sposób, w jaki na nią patrzy, jego oczy wywiercają w jej sercu małą zgrabną dziurkę. Wie, że to tylko iluzja. Złudzenie

bliskości, fałszywa intymność wyciszonego i przyciemnionego wnętrza samolotu, lecz wcale jej to nie przeszkadza. Przynajmniej przez chwilę wydaje się prawdziwe.

- Musiałaś być zdruzgotana - mówi chłopak. - I twoja mama także.

- Z początku, owszem. Prawie nie wstawała z łóżka. Ale mam wrażenie, że pozbierała się szybciej ode mnie.

- Jak? - pyta Oliver. - Jak można się po czymś takim pozbierać?

- Nie wiem - odpowiada zgodnie z prawdą Hadley. - Ona naprawdę wierzy, że tak jest lepiej. Że tak miało się to rozegrać. Ona ma kogoś nowego i on ma kogoś nowego, i oboje są teraz szczęśliwsi. Tylko ja nie piszczę z radości. Zwłaszcza mając przed sobą perspektywę poznania tej jego nowej.

- Choć nie jest już z niej taka nówka.

- Zwłaszcza dlatego. Przez to robi się dziesięć razy bardziej boleśnie i niezręcznie, a tego mi bynajmniej nie potrzeba. Ciągle wyobrażam sobie, jak pojawiając się na weselu sama jak palec i wszyscy się na mnie gapią. Melo-dramatyczna amerykańska córka, która odmawia poznania nowej macochy. - Hadley marszczy nos. - Macocha. Boże!

Oliver ściąga brwi.

- Uważam, że to odważne. - Co?

- Że jedziesz. Stawiasz temu czoło. Robisz krok naprzód. To odważne.

- Wcale tak nie myślę.

- Ponieważ tkwisz w tym po uszy, ale się przekonasz. Hadley obserwuje go z uwagą.

- A ty?

- Co: ja?

- Przypuszczam, że nawet w połowie nie boisz się swojego spotkania tak, jak boję się ja.

- Nie bądź taka pewna - odpowiada sztywno. Siedział dotąd tuż obok, zwrócony w jej stronę, teraz jednak odsuwa się, leciutko, ale wystarczająco, by zauważyła.

Gdy on się cofa, Hadley pochyla się do przodu, jak gdyby łączyła ich jakaś niewidzialna siła. Ostatecznie ślub ojca nie jest dla niej szczególnie radosnym tematem i powiedziała mu o tym wprost, tak czy nie?

- Zobaczysz się w domu z rodzicami? Chłopak potakuje.

- Fajnie - kwituje Hadley. - Jesteście ze sobą blisko? On otwiera usta, po czym je zamyka, a w tej samej

chwili w przejściu pojawia się wózek z napojami. Puszki wydają dźwięczne odgłosy, stukają jedna o drugą, butelki brzęczą. Minąwszy ich rząd, stewardesa wciska hamulec, blokuje wózek, a następnie odwraca się do nich plecami i zaczyna przyjmować zamówienia.

Wszystko dzieje się błyskawicznie, tak że Hadley prawie tego nie zauważa: Oliver sięga do kieszeni dzinsów po monetę i szybkim ruchem nadgarstka wyrzuca ją w stronę przejścia. Następnie pochyla się nad śpiącą staruszką, chwyta monetę lewą ręką, a prawą wykrada coś z wózka. W zamkniętej dłoni ukrywa dwie miniaturowe buteleczki Jacka Danielsa. Wciska je do kieszeni wraz z monetą, niemal w tym samym momencie, gdy stewardesa obraca się w ich stronę.

- Podać coś? - pyta, omiatając wzrokiem zboląłą minę Hadley, zaróżowione policzki Olivera oraz starszą panią wciąż pochrapującą energicznie na skraju rzędu.

- Nie, dziękuję - wykrztusza Hadley.

- Ja również - dodaje Oliver. - Ale na zdrowie. Kiedy stewardesa odchodzi, a wózek oddala się na bezpieczną odległość, Hadley gapi się na swego towarzysza podróży z otwartymi ustami. On wyjmuje buteleczki z kieszeni, podaje jej jedną i wzruszając ramionami, odkręca drugą.

- Przepraszam - mówi. - Pomyślałem, że jeśli mamy się wywnętrzać na temat naszych rodzin, kapka whisky nie zawadzi.

Hadley wybałusza oczy na buteleczkę w rękę.

- Masz zamiar to odpracować czy jak? Oliver się uśmiecha.

- Dziesięć lat ciężkich robót?

- Myślałam raczej o czymś w rodzaju zmywania garów - żartuje, podając mu butelkę. - Albo dźwigania bagaży.

- Przypuszczam, że i tak mnie do tego zmusisz - stwierdza. - Nie przejmuj się, przy wysiadaniu zostawię dychę na siedzeniu. Nie chciałem robić zamieszania, mimo że skończyłem osiemnastkę i do tego znajdujemy się pewnie już bliżej Londynu niż Nowego Jorku. Lubisz whisky?

Hadley kręci przecząco głową.

- Próbowłaś? - Nie.

- No to spróbuj - proponuje, znów podsuwając buteleczkę. - Tylko łyczek.

Dziewczyna odkręca butelkę i przykłada ją do ust, krzywiąc się natychmiast, gdy zapach dociera do nozdrzy, ostry, dymny i zdecydowanie za mocny. Trunek

pali gardło, Hadley zanosi się kaszlem, oczy jej łzawią, zakręca butelkę i oddaje ją Oliverowi.

- Jakbym lizała ognisko - oznajmia, robiąc zde gustowaną minę. - Ohyda.

Oliver śmieje się, opróżniając buteleczkę.

- No dobra, wlałeś już w siebie swoją whisky - stwierdza. - Czy to znaczy, że będziemy teraz rozmawiać o twojej rodzinie?

- Dlaczego cię ona interesuje?

- A dlaczego miałyby mnie nie interesować? Chłopak wzdycha, a wydobyty dźwięk brzmi niemal jak jęk.

- No to się przyjrzyjmy - odzywa się wreszcie. - Mam trzech starszych braci...

- Wszyscy mieszkają nadal w Anglii?

- Tak jest. Trzech starszych braci, którzy nadal mieszkają w Anglii - powtarza, odkręcając drugą buteleczkę. - Co jeszcze? Tato nie był zachwycony, gdy wybrałem Yale zamiast Oksfordu, ale mama się cieszyła, ponieważ też kończyła uniwersytet w Stanach.

- Dlatego nie przyjechał z tobą na rozpoczęcie roku? Oliver patrzy na nią z miną cierpiętnika, jakby wolał znaleźć się wszędzie, byle nie w tym samolocie, po czym dopija whisky.

- Zadajesz strasznie dużo pytań.

- Powiedziałam ci, że mój tato zostawił nas dla innej kobiety i że nie widziałam się z nim od ponad roku - mówi Hadley. - Wyluzuj. Jestem absolutnie pewna, że żaden dramat rodzinny tego nie przebiję.

- O tym mi nie mówiłaś - zauważa. - Że tak długo się nie widzieliście. Myślałem, że chodzi tylko o nią.



Teraz Hadley wierci się na siedzeniu.

- Rozmawiamy przez telefon - wyjaśnia - ale wciąż jestem zbyt wściekła, by się z nim spotkać.

- On o tym wie?

- Że jestem wściekła? Oliver kiwa głową.

- No pewnie - odpowiada. - Ale nie rozmawiamy teraz o mnie, pamiętasz?

- Po prostu to ciekawe - mówi chłopak - że opowiadasz o tym tak otwarcie. U mnie w rodzinie wszyscy się ciągle na coś złością, ale nikt nie piśnie ani słówka.

- Może byłoby lepiej, gdybyście sobie trochę pofolgowali.

- Może.

Hadley uświadamia sobie, że rozmawiają szeptem, pochylając się ku sobie w cieniu rzucanym przez żółtą lampkę do czytania zapaloną przez siedzącego przed nimi mężczyznę. Wydaje się, jakby byli sami, jakby mogli równie dobrze siedzieć gdzieś na ławce w parku albo w restauracji wiele kilometrów niżej, ze stopami wspartymi mocno o stały grunt. Ona jest na tyle blisko, by dostrzec drobną bliznę nad jego okiem, cień zarostu na żuchwie, zdumiewająco długie rzęsy. Nie mając wcale takiego zamiaru, odsuwa się od niego raptownie, on natomiast wydaje się zaskoczony tym nagłym ruchem.

- Przepraszam - mówi chłopak, prostując się i zdejmując rękę z poręczy. - Zapomniałem, że masz klaustrofobię. Pewnie ledwo żyjesz.

- Nie - zaprzecza dziewczyna. - W gruncie rzeczy nie jest źle.

Oliver wskazuje brodą okno z opuszczoną roletą.

- Nadal uważam, że pomogłoby ci wyjrzenie na zewnątrz. Bez okien nawet mnie wydaje się tu ciasno.

- To sztuczka mojego taty - zauważa Hadley. - Kiedy taki napad zdarzył mi się po raz pierwszy, kazał mi wyobrazić sobie niebo. Jednak to działa tylko wtedy, gdy niebo jest nade mną.

- No tak - przyznaje Oliver. - Ma to sens.

Oboje milkną, wbijając wzrok w swoje dłonie, między nimi zalega cisza.

- Kiedyś bałem się ciemności - odzywa się po chwili Oliver. - I nie tylko we wczesnym dzieciństwie. Trwało to prawie do jedenastego roku życia.

Hadley spogląda na niego, nie wiedząc, co powiedzieć. Jego twarz wydaje się teraz bardziej chłopcęca, mniej kanciasta, oczy bardziej okrągłe. Odczuwa nagłą pokusę położenia mu dłoni na rękę, ale się pohamowuje.

- Bracia potwornie mi dokuczali, gasząc światło za każdym razem, gdy wchodziłem do pokoju, a potem ryczeli ze śmiechu. Tato tego wręcz nie znosił. Nie miał dla mnie absolutnie żadnego współczucia. Pamiętam, jak w środku nocy wszedłem do sypialni rodziców, a on powiedział, żebym przestał się mazgać. Albo opowiadał historie o potworach w szafie, żeby mnie jeszcze bardziej nastraszyć. Miał zawsze tylko jedną radę: „Dorośnij”. Cud-miód, prawda?

- Rodzice nie zawsze mają we wszystkim rację - mówi Hadley. - Czasem potrzeba trochę czasu, żeby się w tym połapać.

- Ale potem którejś nocy - ciągnie Oliver - przebudziłem się, a on włączał właśnie obok mojego łóżka nocną lampkę. Jestem pewien, że myślał, że śpię, bo inaczej za

żadne skarby nie dałby się przyłapać, lecz ja się nie odzywałem, obserwowałem tylko, jak wkłada wtyczkę do gniazdka i zapala lampkę, i zobaczyłem mały krąg niebieskiego światła.

Hadley się uśmiecha.

- A jednak zrozumiał.

- Na swój sposób, jak przypuszczam. Musiał przecież kupić ją wcześniej, prawda? Mógł dać mi ją po powrocie ze sklepu albo podłączyć, zanim położyłem się do łóżka. Ale nie, musiał to zrobić, kiedy nikt nie widział. - Oliver odwraca się w jej stronę, a na jego twarzy maluje się głęboki smutek. - Nie wiem, dlaczego ci to opowiedziałem.

- Ponieważ zapytałam - odpowiada z prostotą. Chłopak wzdycha, rwie mu się oddech, Hadley widzi,

że ma zaczerwienione policzki. Fotel z przodu podskakuje, gdy siedzący przed nimi mężczyzna poprawia pod szyją poduszkę w kształcie półkola. W kabinie jest cicho, słychać tylko szum klimatyzacji, szelest przewracanych kartek, sporadyczne sapnięcia oraz odgłosy wiercenia się pasażerów, starających się przetrwać ostatnie godziny przed lądowaniem. Od czasu do czasu turbulencje delikatnie kołyszą samolotem jak statkiem podczas sztormu. Hadley znów rozmyśla o mamie, o tych okropieństwach, których jej nagadała. Spogląda na plecak u stóp i nie po raz pierwszy żałuje, że nie znajduje się w tej chwili w jakimś innym miejscu niż nad Atlantykiem, ponieważ mogłaby znów spróbować dodzwonić się do domu. Obok niej Oliver trze oczy.

- Mam fenomenalny pomysł - oznajmia. - Może porozmawiamy o czymś innym zamiast o rodzicach?

Hadley kiwa głową na znak zgody.

- Zdecydowanie.

Jednak żadne z nich się nie odzywa. Upływa minuta, potem kolejna, a gdy milczenie zaczyna ciążyć, oboje wybuchają śmiechem.

- Obawiam się, że będziemy musieli rozmawiać o pogodzie, jeśli nie wymyślisz ciekawszego tematu - mówi chłopak, a ona unosi brwi.

-Ja?

Oliver potakuje. -Ty.

- Dobra - mówi ona, kuląc się przed wypowiedzeniem tych słów, lecz pytanie nabrzmiewa w niej już od kilku godzin i nie pozostaje nic innego, jak wreszcie je zadać.

- Masz dziewczynę?

Policzki Olivera czerwienieją, a uśmiech, który Hadley dostrzega, gdy chłopak chowa głowę, jest nieznośnie tajemniczy. Hadley dochodzi do wniosku, że ten uśmiech oznacza jedną z dwóch rzeczy. Obawia się, że może wynikać z litości, służyć zarówno złagodzeniu niezręczności pytania, jak i mającej nadejść odpowiedzi. Coś jednak każe jej myśleć, że tak zupełnie przypadkiem oznacza coś miłszego, jakieś porozumienie, przypieczętowanie niewypowiedzianej zgody, że coś się dzieje, że może jest to początek czegoś między nimi.

Po dłuższej chwili Oliver zaprzecza:

- Dziewczyny brak.

Słyszając to, Hadley ma wrażenie, że otworzyły się jakieś drzwi, lecz gdy to wreszcie nastąpiło, nie bardzo wie, co zrobić.

- Jak to?

On wzrusza ramionami.

- Chyba nie spotkałem dotąd nikogo, z kim chciałbym spędzić pięćdziesiąt dwa lata.

- W Yale są pewnie miliony dziewczyn.

- Prawdopodobnie bliżej pięciu lub sześciu tysięcy.

- Głównie Amerykanki, prawda?

Oliver uśmiecha się, następnie pochyla w jej stronę i delikatnie trąca ją ramieniem.

- Podobają mi się Amerykanki - mówi. - Choć z żadną jeszcze nie chodziłem.

- To nie należy do twoich letnich badań? Chłopak potrząsa przecząco głową.

- Nie, chyba że dziewczyna akurat czuje lęk przed majonezem, co, jak wiesz, znakomicie współgra z moim programem badawczym.

- Jasne - mówi Hadley, szczerząc w uśmiechu zęby. -A w liceum miałaś dziewczynę?

- W szkole średniej, tak. Była fajna. Bardzo lubiła gry wideo i rozwożenie pizzy.

- Bardzo śmieszne - komentuje Hadley.

- No cóż, chyba nie wszystkim nam dane jest przeżywać wielką miłość w tak młodym wieku.

- I co się z nią stało?

Oliver odchyła głowę na oparcie.

- Co się stało? Chyba to, co zawsze. Skończyliśmy szkołę. Ja wyjechałem. Zmieniliśmy się. A co się stało z Panem Pizzą?

- Nie tylko dostarczał pizzę, przecież wiesz.

- Jeszcze bułeczki? Hadley się krzywi.

- Zerwał ze mną, prawdę mówiąc.

- Dlaczego?

Dziewczyna wzdycha i przyjmuje filozoficzny ton:

- Chyba to, co zawsze. Widział, jak rozmawiam z innym chłopakiem podczas meczu koszykówki, i zrobił się zazdrosny, więc zerwał ze mną w e-mailu.

- Aha - mówi Oliver. - Wielka miłość w najbardziej dramatycznym wydaniu.

- Coś w tym rodzaju - przyznaje Hadley, spoglądając na niego i zauważając, że bacznie się jej przygląda.

- Co za idiota.

- To prawda - potwierdza dziewczyna. - Zawsze był trochę głupkowaty, patrząc z perspektywy czasu.

- Na jedno wychodzi - mówi Oliver, a Hadley uśmiecha się do niego z wdzięcznością.

Tuż po ich rozstaniu zadzwoniła Charlotte - w przejawie fenomenalnego wycucia czasu - nalegając, by Hadley przyjechała na ślub z chłopakiem.

- Nie każdy dostaje zaproszenie dla osoby towarzyszącej - wyjaśniła - ale pomyśleliśmy, że byłoby ci raźniej.

- Nie ma problemu - powiedziała Hadley. - Poradzę sobie sama.

- Dajże spokój, naprawdę - obstawała przy swoim Charlotte, kompletnie nie zważając na ton Hadley. - To absolutnie żaden kłopot. Poza tym - zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu - słyszałam, że masz chłopaka.

Mitchell zerwał z nią ledwie trzy dni wcześniej i dramat tego rozstania wciąż ciągnął się za nią po szkolnych korytarzach niczym nieustępliwy potwór. Nie miała szczególnej ochoty poruszać tego tematu, a tym bardziej z przyszłą macochą, której jeszcze nie widziała na oczy.

- To źle słyszałaś - ucięła Hadley. - Nic mi się nie stanie, jeśli przylecę sama.

Prawda była taka, że nawet gdyby nadal ze sobą chodzili, ślub ojca byłby ostatnią okazją, na którą miałyby ochotę kogokolwiek zabierać. Konieczność wytrzymania całego wieczoru w makabrycznym stroju drużny i przyglądanie się, jak pajacuje banda dorosłych, byłaby dostatecznie uciążliwa w pojedynkę, a towarzystwo jedynie pogorszyłoby sprawę. Możliwość doznania upokorzenia była wielce prawdopodobna: tato i Charlotte całujący się przy brzęku kieliszków, wpychający sobie nawzajem do ust kawałki tortu, wygłaszający nader pretensjonalne mowy.

Hadley pamięta, jak pomyślała - gdy Charlotte wystosowała zaproszenie kilka miesięcy temu - że nie ma na świecie osoby, której nienawidziłaby do tego stopnia, by narażać ją na to wszystko. Teraz jednak, patrząc na Olivera, zastanawia się, czy rzeczywiście o to chodziło. Czy nie było przypadkiem tak, że nie miała na tym świecie osoby, którą by wystarczająco lubiła, z którą czułaby się na tyle swobodnie, aby pozwolić jej być świadkiem napawającego strachem wydarzenia. Sama jest zaskoczona tym, że wyobraża sobie Olivera w smokingu, stojącego przy drzwiach sali bankietowej i, co równie absurdalne - strój galowy nie jest nawet wymagany - na ten widok czuje w brzuchu trzepotanie. Głośno przetyka ślinę, odganiając od siebie tę myśl.

Obok niej Oliver zerka na starszą panią, wciąż pochrapującą nierównymi sapnięciami, od czasu do czasu drżą jej wargi.

- Muszę skorzystać z toalety - mówi chłopak, a Hadley kiwa głową.
- Ja też. Myślę, że damy radę się obok niej przecisnąć.

Oliver rozpina pas bezpieczeństwa i podnosi się nerwowym ruchem do pozycji półstojącej, zderzając się z fotelem z przodu i ściągając na siebie wrogie spojrzenie siedzącej tam kobiety. Hadley obserwuje, jak chłopak stara się obejść starszą panią, nie budząc jej, a gdy obojgu udaje się wydostać, idą gęsiego między fotelami na tył samolotu. Znużona stewardesa na składanym krzeselku podnosi wzrok znad czasopisma, gdy ją mijają.

Nad drzwiami obu toalet palą się światełka *Zajęte*, więc zatrzymują się w ciasnym korytarzyku. Są wystarczająco blisko siebie, by ona czuła zapach jego koszuli i oddech, wciąż jeszcze zalatujący whisky, lecz nie na tyle blisko, by się dotykali. Hadley odczuwa jednak na skórze łaskotanie włosków porastających jego ramię i kolejny raz ogarnia ją nagłe pragnienie muśnięcia jego ręki.

Zadzierając głowę i widzi, że on patrzy na nią z tym samym wyrazem twarzy, który dostrzegła już wcześniej, gdy obudziła się oparta na jego ramieniu. Żadne z nich się nie porusza ani nie odzywa. Po prostu stoją, wpatrując się w siebie w ciemności. Silniki warczą pod ich stopami. Przychodzi jej do głowy myśl - niemożliwa, nieprawdopodobna - że być może on ma zamiar ją pocałować, przysuwa się więc ociupineczkę bliżej, serce szamocze się w piersi. Jego ręka ociera się o jej dłoń i Hadley czuje jakby rażenie piorunem. Prąd przebiega jej wzdłuż kręgosłupa. Ku jej zdziwieniu Oliver się nie cofa, wciska dłoń w jej rękę, jakby chciał ją tam zakotwiczyć, po czym delikatnie przyciąga dziewczynę do siebie.

Wydaje się, że są kompletnie sami - bez kapitana czy załogi, bez ciągnących się przez całą długość kadłuba rzędów pogrążonych w drzemce pasażerów. Hadley bie-



rze więc głęboki oddech i odchyła głowę, by spojrzeć mu w oczy. Wtedy jednak gwałtownie otwierają się drzwi jednej z toalet, zalewając ich klinem zbyt jaskrawego światła, a z kabiny wychodzi mały chłopiec, wlokąc długą wstęgę papieru toaletowego przylepioną do czerwonego bucika. I nastrój pryska w okamgnieniu.

## **ROZDZIAŁ. 7**

**4:02 CZASU WSCHODNIOAMERYKAŃSKIEGO**

**9:02 CZASU GREENWICH**

Hadley budzi się zniecierpliwiona, nawet nie zdając sobie sprawy, że znów spała. W kabinie wciąż panuje mrok, lecz światło dzienne rozjaśnia już krawędzie okien, a dookoła ludzie zaczynają się poruszać, ziewać, przeciągać i oddawać tace z gumowatymi jajami na boczku stewardesom, które po tak długiej podróży wyglądają nieprawdopodobnie gładko i świeżo.

Tym razem głowa Olivera spoczywa na jej ramieniu, przygwożdżając Hadley do miejsca. Próba pozostawania w całkowitym bezruchu wywołuje nerwowe drżenie, które porusza całe ramię, i wtedy on podrywa się jak oparzony.

- Przepraszam - mówią jednocześnie, po czym Hadley powtarza raz jeszcze: - Przepraszam.

Oliver przeciera oczy jak dziecko budzące się z nocnego koszmaru, następnie mruga powiekami, patrząc na nią o jedną chwilę za długo. Hadley stara się o tym nie myśleć, ale wie, że musi tego ranka wyglądać okropnie. Wcześniej, kiedy stała w małej toalecie i przeglądała się w jeszcze mniejszym lustrze, była zaskoczona swoją

bladością, oczami podpuchniętymi od zastałego powietrza i dużej wysokości.

Patrzyła na swoje odbicie spod przymrużonych powiek, nie mogąc się nadziwić, że Oliver w ogóle zawraca sobie nią głowę. Zasadniczo nie należała do dziewczyn, które przejmują się zbyt swoją fryzurą oraz makijażem i raczej nie spędzała wiele czasu przed lustrem. Była jednak drobna, jasnowłosa i na tyle ładna, że chłopcy z jej szkoły zwracali na nią uwagę. Mimo to wizerunek w lustrze prezentował się dość zatrważająco, a było to, jeszcze zanim po raz drugi urwał jej się film. Wolą sobie nie wyobrażać, jak wygląda w tej chwili. Ze zmęczenia boli ją każdy centymetr ciała, oczy pieką, na bluzie pod szyją ma plamę po napoju i wręcz boi się skontrolować stan swoich włosów.

Ale Oliver też wygląda inaczej. Dziwnie się na niego patrzy w dziennym świetle, to tak, jakby przełączyć telewizor na obraz o dużej rozdzielczości. Oczy wciąż kleją mu się od snu, policzek przecina zmarszczka, w miejscu gdzie twarz przywierała do jej bluzy. Nie chodzi tylko o to. Chłopak wydaje się blady, zmęczony i wypluty, ma czerwone obwódki wokół oczu, które patrzą jakoś nieobecnie.

Przeciągając się, wygina w łuk plecy, następnie spogląda na zegarek spod zapuchniętych, przymrużonych powiek.

- Prawie jesteśmy na miejscu.

Hadley kiwa głową, czując ulgę, że lecą zgodnie z planem, choć z drugiej strony jakaś jej część nie może oprzeć się pragnieniu zyskania odrobiny czasu. Pomimo zatłoczonej przestrzeni i ciasnych foteli, zapachów snujących się od kilku godzin po całej kabinie nie czuje się

jeszcze gotowa, by wysiąść z samolotu, w którym tak łatwo zatracić się w rozmowie, zapomnieć o wszystkim, co pozostawiła za sobą i co jeszcze ją czeka.

Mężczyzna z przodu odsuwa plastikową roletę i snop bieli - tak zdumiewająco jaskrawej, że Hadley osłania oczy dłonią - wlewa się, rozpraszając mrok, odzierając noc z resztek magii. Dziewczyna wyciąga rękę, żeby podnieść roletę na swoim oknie, skoro urok ciemności i tak już prysł. Niebo za szybą ma barwę oślepiającego błękitu i jest poprzekładane pasmami chmur jak warstwy tortu. Po tak wielu godzinach w ciemności oczy niemal bolą od zbyt długiego patrzenia.

W Nowym Jorku jest dopiero czwarta nad ranem i kiedy w głośnikach rozlega się komunikat pilota, jego głos brzmi zdecydowanie zbyt wesoło jak na tak wczesną porę.

- Mili państwo - mówi - podchodzimy do lądowania na lotnisku Heathrow. Pogoda w Londynie wygląda przyzwoicie, dwadzieścia dwa stopnie i częściowe zachmurzenie. Za niespełna dwadzieścia minut dotkniemy płyty lotniska, proszę zapiąć pasy. Dziękuję za przyjemny lot i życzę miłego pobytu.

Hadley odwraca się do Olivera.

- Ile to w fahrenheitach?

- Ciepło - odpowiada i w tej samej chwili Hadley zalewa fala ciepła... Może wskutek prognozy pogody albo wdzierającego się przez okno słońca, a może za sprawą bliskości siedzącego obok chłopaka o zarumienionych policzkach i w pogniecionej koszuli. Dziewczyna wyciąga się, by dosięgnąć pokrętła klimatyzacji nad głową, przekręca je całkiem na lewo, po czym zamyka oczy przed silnym strumieniem chłodnego powietrza.

- No i tak - mówi chłopak, strzelając po kolei ze wszystkich palców.

- No i tak.

Spoglądają na siebie z ukosa i coś w wyrazie twarzy Olivera - jakaś niepewność odzwierciedlająca jej własną

- sprawia, że Hadley chce się płakać. Oczywiście nie ma żadnej istotnej różnicy między wczorajszym wieczorem a dzisiejszym porankiem - tylko mrok rozplływający się w świetle dnia - lecz mimo to wszystko wydaje się przeraźliwie inne. Rozmyśla o tym, jak stali razem pod drzwiami toalety, jak wydawało się, że znajdują się na progu czegoś nowego, a raczej całkowicie nowej rzeczywistości, jakby cały świat się zmienił, gdy tulili się do siebie w ciemności. A teraz proszę, przypominają dwoje uprzejmych nieznajomych, jak gdyby cała reszta była tylko wytworem jej wyobraźni. Pragnie, by mogli zawrócić i polecieć w przeciwnym kierunku, okrążyć kulę ziemską od drugiej strony, ścigać pozostawioną w tyle noc.

- Myślisz - zagaja Hadley, a wypływające z jej ust słowa brzmią niewyraźnie - że wyczerpaliśmy w nocy temat naszej rozmowy?

- Niemożliwe - odpowiada Oliver, a sposób, w jaki to mówi, usta wygięte w uśmiechu, głos pełen ciepła, rozwiązuje supeł w żołądku Hadley. - Nie dotarliśmy do naprawdę istotnych spraw.

- A jakich? - pyta dziewczyna, starając się przybrać minę, która ukryje ulgę, jaką odczuwa. - Na przykład co jest takiego fantastycznego w Dickensie?

- A gdzie tam! - zaprzecza Oliver. - Raczej miałem na myśli trudną sytuację koali. Albo to, że Wenecja tonie...

- Przerywa, czekając na jej reakcję, a ponieważ Hadley

milczy, on klepie się dla większego efektu w kolano. -Tonie! Całe miasto! Wyobrażasz sobie?

Hadley marszczy czoło z udawaną powagą.

- To naprawdę brzmi groźnie.

- Bo to nie żarty - uparcie twierdzi Oliver. - I nawet mnie nie prowokuj, bym zaczął rozprawiać o rozmiarach naszego śladu węglowego po tej podróży lotniczej. Albo różnicach między krokodylami a aligatorami. Albo najdłuższym odnotowanym w historii locie kury.

- Proszę, powiedz, że nie masz o tym wszystkim zielonego pojęcia.

- Trzyście sekund - mówi chłopak, pochylając się w przód, by wyrzucić przez okno. - Totalna klęska. Jesteśmy prawie na Heathrow, a nawet nie omówiliśmy wyczerpująco kwestii latających kurczaków. - Dźga palcem w szybę. - Widzisz te chmury?

- Trudno nie zauważyć - stwierdza Hadley. Samolot jest teraz niemal całkowicie spowity we mgle, szarość wciska się do okien, gdy maszyna schodzi coraz niżej.

- To cumulusy. Wiedziałaś?

- Z pewnością powinnam.

- Te są najfajniejsze. -Jak to?

- Ponieważ wyglądają tak, jak powinny wyglądać chmury, tak jak na dziecięcych rysunkach. I to jest fajne, wiesz? Przecież słońce nigdy nie wygląda tak jak na rysunku.

- Jak koło ze szprychami?

- Otóż to. A moja rodzina z całą pewnością nigdy nie wyglądała tak, jak ją rysowałem.

- Kółko i kreski?

- Bez przesady. Doceń mnie odrobinę. Mieli też dłonie i stopy.  
- Przypominające skarpety i rękawiczki?  
- Nie sądzisz, że to urocze, gdy występuje takie podobieństwo? -  
Kiwa głową z uśmiechem zadowolenia. - Cumulusy. Najfajniejsze  
chmury pod słońcem.

Hadley wzrusza ramionami.

- Chyba nigdy się nad tym nie zastanawiałam.  
- Widzisz? - mówi Oliver. - Jest jeszcze mnóstwo tematów do  
rozmowy. Dopiero zaczęliśmy.

Chmury za oknem osiągają najniższy pułap, samolot łagodnie  
opuszcza się na srebrzyste niebo pod nimi. Hadley czuje przyływ  
niedorzecznej ulgi na widok ziemi, choć twardy grunt jest jeszcze zbyt  
odległy, by to odczucie uzasadniać. Wygląda jak zwykle skupisko  
pikowanych pól, bezkształtnych zabudowań i niewyraźnych wykresów  
dróg rozpiętych między nimi jak szare nitki.

Oliver ziewa i odchyła głowę na oparcie fotela.

- Powinniśmy byli więcej pospać - stwierdza. - Jestem wypruty.

Hadley rzuca mu skonsternowane spojrzenie.

- To znaczy wykończony - poprawia się, spłaszczając samogłoski i  
podnosząc głos o oktawę, by brzmieć bardziej z amerykańska, choć w  
jego akcencie wyczuwa się ledwie uchwytną południową nosowość.

- Mam wrażenie, że trafiłam na jakiś kurs językowy.

- Naucz się brytyjskiego akcentu w zaledwie siedem godzin! - mówi  
Oliver swoim najlepszym spikerskim głosem. - Jak można przegapić  
taką reklamę?

- Ofertę - prostuje Hadley, przewracając oczami. - Jak można  
przegapić taką ofertę?

Oliver tylko uśmiecha się od ucha do ucha.

- Widzisz, ile się już nauczyłaś?

Niemal zapomnieli o siedzącej obok starszej pani, która spała tak długo, że dopiero brak stłumionego pochrapywania skłania ich do obejrzenia się na nią ze strachem.

- Co mnie ominęło? - pyta kobieta, sięgając po torebkę, z której ostrożnie wyjmuje okulary, buteleczkę kropli do oczu oraz małe blaszane pudełeczko miętówek.

- Prawie jesteśmy na miejscu - informuje Hadley - ale ma pani szczęście, że spała. To był bardzo dłuuuugi lot.

- Rzeczywiście - przyznaje Oliver i chociaż jest odwrócony do niej bokiem, Hadley wie, że się uśmiecha. - Wydawało się, że trwa całe wieki.

Kobieta przerywa wykonywaną czynność, okulary dyndają między kciukiem a palcem wskazującym, uśmiecha się do nich promiennie.

- A nie mówiłam? - zauważa z prostotą, następnie powraca do przedmiotów wyjętych z torebki. Pojmując pełne znaczenie tego stwierdzenia, Hadley unika badawczego spojrzenia Olivera. Stewardesy robią ostatni obchód samolotu, przypominając pasażerom o pionowym ustawieniu oparc, zapięciu pasów i schowaniu bagaży podręcznych pod fotele.

- Wygląda na to, że możemy być nawet kilka minut przed czasem - stwierdza Oliver. - I jeśli kontrola celna nie okaże się absolutnym koszmarem, może uda ci się zdążyć. Gdzie jest ślub?

Hadley pochyła się i ponownie wyciąga z plecaka powieść Dickensa, wysuwając zaproszenie spomiędzy końcowych kartek, gdzie wcisnęła je, żeby nie zgubić. - Hotel Kensington Arms - mówi. - Brzmi nobliwie.



Oliver nachyla się, by spojrzeć na elegancko wykaligrafowane litery na kremowym papierze. - Tam jest przyjęcie - mówi, przesuwając wyżej palec. - A ślub w kościele Świętego Barnaby.

- To blisko?

- Od Heathrow? - Chłopak kręci głową. - Niezupełnie. Ale tak naprawdę nic nie jest blisko. Powinnaś zdążyć, jeśli się pośpieszysz.

- A ten twój ślub? Oliver zaciska usta.

- W Paddington.

- Gdzie to jest?

- Niedaleko miejsca, w którym dorastałem - wyjaśnia. - Zachodni Londyn.

- Brzmi nieźle - rzuca Hadley, lecz on się nie uśmiecha.

- Chodziliśmy do tego kościoła w dzieciństwie - opowiada. - Nie byłem tam od wieków. Zawsze dostawałem burę za wdrapywanie się na posąg Matki Boskiej od frontu.

- Fajnie - kwituje Hadley, wkłada zaproszenie do książki, a potem zatrzaskuje ją odrobinę za mocno, aż Oliver się wzdryga. Obserwuje, jak Hadley wpycha tom do plecaka.

- Nadal masz zamiar mu ją oddać?

- Nie wiem - odpowiada szczerze. - Prawdopodobnie tak.

Chłopak zastanawia się przez chwilę.

- Przynajmniej zaczekaj z tym, aż będzie po ślubie.

Tego Hadley nie planowała. Prawdę mówiąc, wyobrażała sobie siebie, jak przed uroczystością podchodzi do taty zdecydowanym krokiem i buntowniczo, triumfalnie wręcza

mu książkę. To jedyna rzecz, jaką dał jej od czasu swojego wyjazdu - naprawdę dał. Nie chodzi o prezent przesłany na urodziny czy Gwiazdkę, lecz o coś, co podarował jej osobiście - i pomysł oddania mu tej powieści niósł ze sobą jakąś satysfakcję. Skoro zmuszono ją do obecności na tym głupim ślubie, ona będzie rozdawać karty.

Tymczasem Oliver przygląda się jej z wielkim napięciem, ona zaś czuje się odrobinę nieswojo pod tym pełnym nadziei spojrzeniem. Głos jej się rwie, kiedy odpowiada:

- Zastanowię się. - I dodaje: - I tak mogę nie zdążyć.

Ich wzrok wędruje do okna, by śledzić przebieg lotu. Hadley tłumi w sobie falę paniki, wywołaną nie tyle samym lądowaniem, ile wszystkim, co się od tego momentu rozpoczyna i na nim kończy. Za oknem ziemia pędzi im na spotkanie, wyostając nagle wszystkie zamazane dotąd kształty, kościoły i płoty, bary z fast foodem, nawet owce rozproszone na odosobnionym pastwisku. Dziewczyna obserwuje, jak wszystko to się przybliża, mocno zaciska rękę na pasie, szykując się do lądowania jak, nie przymierzając, do katastrofy.

Koła uderzają o płytę i odbijają się raz, potem dwa razy, aż wreszcie prędkość lądowania mocno przygniata maszynę do pasa. Pasażerów rzuca w przód jak korki wystrzelone z butelek. Silniki i wiatr ryczą, a wrażenie pędu jest tak silne, że Hadley zachodzi w głowę, czy w ogóle będą w stanie się zatrzymać. Ale hamują, oczywiście, że hamują, i znów wszystko cichnie. Po siedmiogodzinnej podróży z prędkością ośmiuset kilometrów na godzinę ludzie zaczynają teraz w żółwym tempie przesuwac się do wyjścia.

Pas startowy rozchodzi się promieniście i łączy z innymi w gigantyczny labirynt, aż wreszcie połyka ich asfaltowa płyta rozpościerająca się jak okiem sięgnąć, której ciągłość przerywana jest jedynie wieżami radiowymi i rzędami samolotów oraz masywnym terminalem, który przysiadł ponuro pod niskim szarym niebem. „A więc to jest Londyn”, myśli dziewczyna. Jest nadal zwrócona do Olivera plecami, ma wrażenie, że jakaś niewidzialna siła przykleja ją do okna i nie pozwala odwrócić się do niego twarzą.

Gdy maszyna kołuje pod budynek, Hadley widzi rękaw wyciągnięty im na spotkanie, a samolot zgrabnie podsuwa się na swoje stanowisko i z lekkim szarpnięciem łączy się z bramką. Jednak nawet kiedy są już dobrze zakotwiczeni, kiedy silniki milkną i gasną z brzdękiem napisy nakazujące zapięcie pasów, Hadley nie rusza się z fotela. Za jej plecami panuje harmider, pozostali pasażerowie wstają, by wyjąć podręczne bagaże. Oliver czeka przez chwilę, po czym lekko dotyka jej ramienia. Dziewczyna gwałtownie się obraca.

- Gotowa? - pyta, a ona potrząsa głową, ledwo zauważalnie, lecz to wystarczy, by wywołać uśmiech na jego twarzy. - Ja też nie - wyznaje, mimo wszystko wstając z miejsca.

Zanim nadchodzi ich kolej wyjścia z rzędu, Oliver sięga do kieszeni i wyjmując fioletowawy banknot. Kładzie go na swoim fotelu. Banknot leży bezwładnie, słabo widoczny na tle wzorzystego obicia.

- A to za co? - pyta Hadley.

- Za whisky, pamiętasz?

- Racja - mówi, przyglądając się z bliska. - Jednak niemożliwe, by była warta dwadzieścia funtów.

Chłopak wzrusza ramionami.

- Dopłata za kradzież.

- A jeśli ktoś zabierze?

Oliver schyla się i chwyta końce pasa. Przypina banknot w taki sposób, żeby wydawał się przymocowany do siedzenia.

- No - mówi, prostując się i podziwiając swoje dzieło. - Bezpieczeństwo przede wszystkim.

Przed nimi starsza pani drobi w stronę przejścia, po czym zatrzymuje się i spogląda na schowek nad głową. Oliver śpieszy z pomocą, nie zważając na tłum ludzi z tyłu, i wyciąga jej sfatygowaną walizkę, a następnie czeka cierpliwie, aż kobieta się pozbiera.

- Dziękuję - rozpromienia się staruszka. - Bardzo miły z pana chłopiec. - Rusza do wyjścia, następnie waha się, jakby czegoś zapomniała, i znów ogląda za siebie. -Przypomina mi pan mojego męża - mówi do Olivera, który kręci głową na znak protestu, ale starsza pani już jest odwrócona do niego plecami. Wykonuje serię maleńkich kroczków, jak wskazówka sekundnika na zegarku, a kiedy wreszcie ustawia się we właściwą stronę, wolno rusza do wyjścia, szurając nogami, i pozostawia ich patrzących w ślad za nią.

- Mam nadzieję, że to był komplement - mówi Oliver z lekko zmieszaną miną.

- Są małżeństwem od pięćdziesięciu dwóch lat - przypomina Hadley. On zerka na nią z ukosa, gdy dziewczyna sięga po walizkę.

- Sądziłem, że nie masz najlepszego zdania o małżeństwie.

- Bo nie mam - odpowiada, zmierzając do wyjścia.

Gdy Oliver równa się z nią w przejściu, nie odzywają się, lecz Hadley i tak czuje, że niebezpiecznie szybko, niczym pociąg towarowy, zbliża się ten moment, kiedy będą musieli się pożegnać. I po raz pierwszy odczuwa nagłe onieśmienie. Oliver wyciąga szyję, by znaleźć stanowisko odprawy celnej. Już myśli o tym, co za chwilę, już wybiega naprzód. Tak to jest w samolotach. Dzielisz z kimś poręcz fotela przez kilka godzin. Wymieniasz się opowieściami ze swojego życia, paroma zabawnymi anegdotami, może nawet dowcipem. Komentujesz pogodę i robisz uwagi na temat okropnego jedzenia. Słuchasz, jak twój sąsiad chrapie. A potem mówisz do widzenia.

Dlaczego więc Hadley jest kompletnie nieprzygotowana na to, co ma nastąpić?

Powinna martwić się znalezieniem taksówki, by zdążyć na czas do kościoła, spotkaniem z tatą i Charlotte. Zamiast tego myśli o Oliverze. Uświadomienie sobie tego faktu - tej niechęci do rozstania - nagle budzi wątpliwości. A jeśli zrozumiała na opak to, co się działo przez ostatnich kilka godzin? Jeśli wcale nie jest tak, jak się jej wydaje?

Ta myśl natychmiast wszystko zmienia. Oliver wydaje się oddalony o milion kilometrów.

Gdy docierają na koniec korytarza, wita ich długa kolejka, w której ich współpasażerowie stoją z bagażami porozkładanymi pod nogami, zniecierpliwieni i narzekający. Rzucając na podłogę plecak, Hadley sporządza w głowie spis tego, co zapakowała, i usiłuje sobie przypomnieć, czy wrzuciła do bagażu długopis, by móc zanotować numer telefonu albo adres e-mailowy, jakiś skrawek

informacji o nim, żeby mieć polisę ubezpieczeniową chroniącą przed zapomnieniem. W środku jednak czuje się jakaś zmrożona, w potrzasku niezdolności powiedzenia czegokolwiek, co nie zabrzmiałoby rozpaczliwie.

Oliver ziewa i się przeciąga, ręce w górze, plecy wygięte w łuk, a chwilę później, jakby mimochodem, opuszcza łokieć na jej ramię, udając, że potrzebuje podpory. Niespodziewany ciężar sprawia, że Hadley niemal traci równowagę, z trudem przełyka ślinę, a potem unosi głowę i patrzy na niego trochę podenerwowana.

- Bierzesz taksówkę? - pyta, a on kręci głową i cofa ramię.

- Metro - mówi. - Mam niedaleko od stacji. Hadley zastanawia się, czy Oliver ma na myśli kościół

czy swój dom, czy wybiera się do domu wziąć prysznic i zmienić ubranie, czy też idzie prosto na ślub. Okropnie drażni ją, że się tego nie dowie. Czuje się tak, jakby to był ostatni dzień szkoły albo pożegnalny wieczór na obozie letnim, jakby wszystko dobiegało końca, i to z zawrotną szybkością.

Ku jej zdziwieniu chłopak zniża głowę, by ich twarze znalazły się na tym samym poziomie, mruży oczy i delikatnie dotyka palcem jej policzka.

- Rzęsa - wyjaśnia, strząsając ją kciukiem.

- A moje życzenie?

- Pomyślałem je za ciebie - odpowiada z uśmiechem tak łobuzerskim, że Hadley robi się miękko koło serca.

Czy to możliwe, że zna tego chłopaka zaledwie od dziesięciu godzin?

- Wyraziłem życzenie szybkiej odprawy celnej - informuje. - W przeciwnym razie nie zdążysz za diabła.

Hadley spogląda na zegar na betonowej ścianie i uzmysławia sobie, że Oliver ma rację. Jest już 10:08, do rozpoczęcia ceremonii zostały niecałe dwie godziny. Tymczasem ona utknęła na odprawie celnej, z rozczochranymi włosami i sukienką zwiniętą w walizce. Próbuje wyobrazić sobie siebie idącą kościelną nawą, lecz coś w tym obrazie uparcie kłóci się z jej obecnym stanem ducha.

Dziewczyna wzdycha.

- Czy to długo potrwa?

- Tym razem nie, bo pomyślałem życzenie - odpowiada Oliver i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ogonek zaczyna się posuwać. On rzuca jej triumfujące spojrzenie i postępuje krok naprzód, a Hadley drepcze za nim, kręcąc głową.

- Skoro trzeba tak niewiele, nie mógłbyś zażyczyć sobie miliona dolarów?

- Miliona funtów - mówi. - Jesteś teraz w Londynie. Poza tym nie chcę. Kto miałby ochotę zawracać sobie głowę podatkami?

- Jakimi podatkami?

- Od miliona funtów. Co najmniej osiemdziesiąt osiem procent tej kwoty prawdopodobnie poszłoby prosto do skarbcza królowej.

Hadley obrzuca go długim spojrzeniem.

- Osiemdziesiąt osiem procent?

- Liczby nigdy nie kłamią - odpowiada z szerokim uśmiechem.

Gdy docierają do punktu, w którym kolejka się rozwidła, wita ich ponury celnik w niebieskim mundurze, który opiera się o metalową poręcz i wskazuje na tabliczki kierujące ich we właściwą stronę.

- Obywatele Unii Europejskiej na prawo, wszyscy pozostali na lewo - powtarza na okrągło głosem cienkim i piskliwym, który niemal ginie w monotonnym hałasie tłumu. - Obywatele Unii Europejskiej na prawo...

Hadley i Oliver wymieniają spojrzenia i cała jej niepewność znika. Ponieważ na jego twarzy widać to samo, to samo chwilowe ociąganie. Stoją tak razem przez długi czas, zbyt długo, wydaje się, że całe wieki, żadne nie ma ochoty się rozstać, pozwalają ludziom z tyłu przepływać obok jak rzeka omijająca skały.

- Proszę pana - odzywa się celnik, przerywając swoją mantrę, by położyć rękę na plecach Olivera, przegonić go, zmusić do odejścia. - Będę musiał prosić pana o przejście dalej, żeby nie blokować kolejki.

-Jedną chwileczkę... - zaczyna Oliver, ale celnik mu przerywa.

- W tej chwili - urzędnik nie ustępuje, kierując go we właściwą stronę nieco natarczywiej.

Kobieta z czkającym dzieckiem próbuje precyzyjnie przesuwać się obok Hadley, a przy okazji popycha ją do przodu. Wydaje się, że nie pozostaje nic innego, jak dać się ponieść z prądem. Zanim jednak zdąży się ruszyć, czuje dłoń na swoim łokciu i Oliver znów zjawia się u jej boku jak gdyby nigdy nic. Patrzy na nią, przechyliwszy głowę, wciąż mocno przytrzymuje ją za ramię, i nim Hadley wpadnie w zakłopotanie, zanim jeszcze w pełni uświadomi sobie, co się dzieje, słyszy mruknięcie: „Raz kozie śmierć”, a następnie, ku jej zaskoczeniu, on pochyla się, by ją pocałować.

Kolejka wciąż przesuwa się obok nich, celnik na chwilę odpuszcza, wzdychając z irytacją, lecz Hadley niczego nie zauważa. Trzyma kurczowo koszulę Olivera, bojąc



się, że porwie ją tłum, ale w trakcie pocałunku jego ręka pewnie spoczywa na jej plecach i prawda jest taka, że Hadley czuje się bezpiecznie jak nigdy w życiu. Jego usta są miękkie, smakują słono od precelków, które wcześniej wspólnie chrupali, ona zamyka oczy - tylko na moment - i cały świat znika. Kiedy on odsuwa się z szerokim uśmiechem, ona jest zbyt oszołomiona, by wykrztusić choćby słowo. Potykając się, robi krok w tył, gdy tymczasem celnik pogania Olivera w przeciwnym kierunku, przewracając przy tym oczami.

- To nie kolejki prowadzą do rozdzielania krajów -burczy pod nosem.

Szybko wyrasta pomiędzy nimi betonowa ściana dzieląca dwa sektory. Oliver macha do Hadley uniesioną wysoko ręką i wciąż promiennie się uśmiecha. Dziewczyna zdaje sobie sprawę, że zaraz straci go z oczu, ale łapie jego spojrzenie i macha w odpowiedzi. On pokazuje palcem przód swojej kolejki, ona kiwa głową w nadziei, że to znaczy, że tam się spotkają, a potem on znika i nie pozostaje jej nic innego, jak iść dalej z paszportem w dłoni, wciąż czując na wargach jego pocałunek, odcisnięty tam niczym pieczęć. Przykłada rękę do serca, by uspokoić łomotanie.

Nie mija jednak wiele czasu, gdy Hadley zdaje sobie sprawę, że życzenie Olivera się nie spełniło: jej kolejka właściwie stoi w miejscu. Dziewczyna wciśnięta między płaczące dziecko a zwałistego mężczyznę w kowbojskiej koszuli okropnie się niecierpliwi. Przenosi wzrok z zegarka na ścianę, za którą zniknął Oliver, i gorączkowo odlicza minuty, kręcąc się i wiercąc, drepcząc tam i z powrotem, i wzdychając.

Kiedy wreszcie nadchodzi jej kolej, nieomal podbiega do okienka i wpycha swój paszport przez otwór pod szybą.

- Biznes czy pobyt turystyczny? - pyta urzędniczka, oglądając uważnie małą książeczkę, a Hadley waha się przed udzieleniem odpowiedzi, ponieważ żadna z możliwości nie wydaje się właściwa. Decyduje się na wizytę turystyczną - chociaż oglądanie, jak własny ojciec ponownie się żeni, raczej trudno zaliczyć do atrakcji turystycznych - a następnie wyrzuca z siebie odpowiedzi na pozostałe pytania z prędkością karabinu maszynowego i z taką gorliwością, że kobieta podejrzliwie lustruje ją wzrokiem, nim wbije pieczętkę na jednej z wielu pustych stron paszportu.

Walizka kolebie się niepewnie, gdy Hadley mija pędem kontrolę celną i gna w stronę odbioru bagażu, stwierdzając, że jabłko, które porwała z domowej lodówki, nie należy do kategorii produktów rolnych. Jest 10:42 i jeśli w ciągu następnych kilku minut nie złapie taksówki, ma niewielkie szanse zdążyć na ślub. Ale jeszcze nie wybiega myślami tak daleko. Myśli tylko o Oliverze i kiedy trafia do sali odbioru bagażu - w morze ludzi stłoczonych za czarnym sznurem, trzymających tabliczki, czekających na przyjaciół i rodzinę - opadają jej ręce.

Sala jest olbrzymia, z dziesiątkami taśm bagażowych wiozących walizki o jaskrawych barwach, a wszędzie dookoła setki ludzi. Każdy czegoś szuka: albo innych osób, albo transportu, albo wskazówek, rzeczy znalezionych i zagubionych. Hadley kręci się w kółko, jej bagaże zdają się ważyć pół tony, bluza klei się do pleców, włosy opadają na oczy. Są tam dziadkowie i dzieci, szoferzy limuzyn i obsługa lotniska, facet w fartuchu Starbucksa

i trzech mnichów w czerwonych szatach. Milion ludzi i nigdzie ani śladu Olivera.

Dziewczyna cofa się pod ścianę i stawia bagaże, przestając przejmować się ścisaniem. Jej umysł jest zbyt zajęty wymyślaniem różnych możliwości. Powodów może być mnóstwo, naprawdę. Może jego kolejka posuwa się wolniej. Może zatrzymano go dłużej na odprawie celnej. Może zjawił się wcześniej i uznał, że ona wyszła przed nim. Może ich drogi się przecięły, lecz nawet tego nie zauważyli.

Mógł po prostu już wyjść.

Mimo to dziewczyna czeka.

Gigantyczny zegar nad rozkładem lotów gapi się na nią z wyrzutem, a Hadley stara się zignorować wzbierające w niej uczucie paniki. Jak mógł się nie pożegnać? Czy tamten pocałunek miał być pożegnaniem? Ale po tylu godzinach, po tylu wspólnych chwilach, czy można na tym poprzestać?

Uświadamia sobie, że nawet nie zna jego nazwiska.

Kościół jest ostatnim miejscem, dokąd ma teraz ochotę jechać. Niemal czuje, jak opuszczają ją resztki energii, znikają niczym woda wsysana do odpływu wanny. Jednak w miarę upływu kolejnych minut coraz trudniej bagatelizować fakt, że spóźni się na uroczystość. Z wysiłkiem odrywa się od ściany, by po raz ostatni rozejrzeć się po lotnisku. Nogi ciężą, gdy przemierza przepastny terminal; lecz Olivera w niebieskiej koszuli i z włosami w nieładzie nigdzie nie ma.

I tak nie mogąc nic więcej wskórać, Hadley wychodzi przez rozsuwane drzwi w szarą londyńską mgłę i czuje przynajmniej tę satysfakcję, że słońce nie miało czelności wyłonić się tego ranka zza chmur.

## **ROZDZIAŁ. 8**

**5:48 CZASU WSCHODNIOAMERYKAŃSKIEGO**

**10:48 CZASU GREENWICH**

Kolejka do taksówek jest wręcz komicznie długa, Hadley z jękiem wlecze walizkę na sam koniec, ustawiając się za rodziną Amerykanów w identycznych czerwonych podkoszulkach i rozmawiających zdecydowanie zbyt głośno. Lotnisko Heathrow okazało się nie mniej ruchliwe niż JFK, w dodatku nie mając na swoje usprawiedliwienie święta 4 lipca. Hadley czeka otępiała w posuwającym się ślamazarnie ogonku, brak snu zaczyna dawać się we znaki. Wszystko wydaje się rozmazane, gdy wzrok błądzi od pasażerów i odjeżdżających autobusów po rząd czarnych taksówek czekających na swoją kolej, milczących i poważnych niczym kondukt żałobny.

- Na pewno nie jest gorzej niż w Nowym Jorku - mówiła wcześniej, gdy Oliver przestrzegął ją przed Heathrow, lecz on w odpowiedzi pokręcił tylko głową.

„Logistyczny koszmar o epickim rozmachu”, tak się wyraził i oczywiście miał rację.

Dziewczyna lekko potrząsa głową, jak gdyby chciała pozbyć się wody z ucha. „Nie ma go”, powtarza sobie kolejny raz. „Koniec i kropka”. Mimo wszystko stoi zwróco-

na plecami do terminalu, opierając się pokusie obrócenia się i poszukania go po raz ostatni.

Ktoś kiedyś powiedział, że istnieje wzór na długość czasu potrzebnego do otrząśnięcia się po rozstaniu i że jest to połowa czasu, przez który było się razem. Hadley powątpiewa w dokładność tego wzoru. Jak tak proste obliczenia mogą mieć zastosowanie w wypadku czegoś tak skomplikowanego jak złamane serce? Ostatecznie jej rodzice byli małżeństwem prawie dwadzieścia lat, a tacie wystarczyło kilka miesięcy, by zakochać się w kimś innym. A kiedy Mitchell rzucił Hadley po całym semestrze, potrzebowała mniej więcej dziesięciu dni, by poczuć, że całkowicie wywietrzył jej z głowy. Dlatego pociesza się, że zna Olivera ledwo kilka godzin, co oznacza, że to gniecenie w piersi powinno ustąpić najpóźniej do końca dnia.

Kiedy w końcu dociera na początek kolejki, przekopuje plecak w poszukiwaniu adresu kościoła, podczas gdy taksówkarz - drobny mężczyzna z brodą tak długą i białą, że kojarzy się z ogrodowym krasnalem - bezpardonowo wrzuca jej walizkę do bagażnika, nawet nie przerywając rozmowy i trajkocząc dalej w najlepsze do zestawu słuchawkowego. Hadley po raz kolejny stara się nie myśleć o stanie sukienki, którą już niebawem będzie zmuszona na siebie włożyć. Podaje kierowcy adres, taksówkarz siada za kierownicą i w żaden sposób nie daje po sobie poznać, że w ogóle zauważył nową pasażerkę.

- Jak długo to potrwa? - pyta dziewczyna, wślizgując się na tylne siedzenie, a kierowca zawiesza swoją paplaninę tylko po to, by parsknąć ostrym szczekliwym śmiechem.

- Długo - rzuca i włącza się w wolno pełzający ruch uliczny.

- Super - mruczy Hadley pod nosem.

Widoki za oknem przewijają się za przejrzystą firanką z deszczu i mgły. Szarość wisi nad całym światem i chociaż ślub oraz wesele odbywają się pod dachem, Hadley łapie się na tym, że chwilowo mięknie na myśl o Charlotte. Każdy byłby rozczarowany taką pogodą w dzień swojego ślubu, nawet jeśli jest Brytyjczykiem i przez całe życie nauczył się nie oczekiwać niczego innego. Zawsze tli się ta maleńka iskierka nadziei, że akurat ten dzień -twój dzień - okaże się inny.

Kiedy taksówka wjeżdża na autostradę, niskie zabudowania ustępują miejsca wąskim ceglany domom, które stoją w rzędzie pośród gąszczu pająkowatych anten i zagraconych podwórek. Hadley chce zapytać, czy to już jest właściwy Londyn, ale odnosi wrażenie, że kierowca nie byłby zachwycony rolą przewodnika. Gdyby był tu Oliver, bez wątpienia opowiadałby jej o wszystkim, co mijają, choć okraszyłby opowieść cudacznymi i nie do końca prawdziwymi historiami, by nieustannie trzymać ją w napięciu, zmuszać do główkowania, czy cokolwiek z tego jest prawdą.

W samolocie opowiadał o rodzinnych wyprawach do Afryki Południowej, Argentyny oraz Indii, a Hadley słuchała z założonymi rękami, żałując, że nie wybiera się w tamte strony. Z pokładu samolotu nie wydawały się aż tak odległe. Nie tak trudno było wyobrazić sobie, że mogliby lecieć dokądś razem.

- Gdzie ci się najbardziej podobało? - spytała. Zastanawiał się przez chwilę, nim na jego twarzy pojawił się charakterystyczny dołeczek.

- W Connecticut. Hadley roześmiała się.

- No jasne - rzekła. - Kto by chciał jechać do Buenos Aires, skoro może zwiedzić New Haven?

- A tobie?

- Chyba na Alasce. Albo na Hawajach.

Na Oliverze najwyraźniej zrobiło to wrażenie.

- Nieźle. Dwa najbardziej oddalone stany.

- Byłam w zasadzie we wszystkich prócz jednego.

- Żartujesz.

Pokręciła przecząco głową.

- Nie, kiedy byłam młodsza, często jeździliśmy na rodzinne wycieczki.

- Samochodem na Hawaje? Jak podróż? Uśmiechnęła się szeroko.

- Uznaliśmy, że akurat tam sensowniej będzie polecieć.

- Który więc stan ominęłaś?

- Dakotę Północną.

- Jak to się stało? Wzruszyła ramionami.

- Po prostu jeszcze tam nie dotarłam.

- Ciekawe, ile czasu zajęłoby dojechanie tam samochodem z Connecticut.

Hadley wybuchnęła śmiechem.

- A potrafisz w ogóle jeździć prawą stroną?

- Tak - odpowiedział, rzucając jej niby gniewne spojrzenie. - Wiem, że szokuje cię myśl, że umiem prowadzić pojazd nieprawidłową stroną drogi, ale jestem w tym całkiem dobry. Przekonasz się, kiedy pewnego dnia wybierzemy się w naszą wielką podróż samochodową do Dakoty Północnej.

- Już się nie mogę doczekać - odparła Hadley, napominając samą siebie, że to przecież tylko żart. Mimo to

pomysł wspólnego przemierzania całego kraju, słuchania muzyki, patrzenia na przesuający się krajobraz wystarczył, by wywołać uśmiech na jej twarzy.

- To jakie jest twoje ulubione miejsce poza Stanami? - zapytał. - Wiem, że absurdem byłoby się spodziewać, że może istnieć gdzieś na świecie miejsce dorównujące, powiedzmy, New Jersey, ale...

- Prawdę mówiąc, to moja pierwsza podróż za granicę.

- Serio?

Pokiwiała głową.

- W takim razie musisz mieć duże ciśnienie.

- Na co?

- Na Londyn.

- Nie mam zbyt wielkich oczekiwań.

- W porządku. A gdybyś mogła pojechać dokądkolwiek, co byś wybrała?

Hadley zastanawiała się przez chwilę.

- Może Australię. Albo Paryż. A ty?

Oliver spojrzał na nią, jakby odpowiedź była oczywista. W kącikach jego ust czaił się cień uśmiechu.

- Dakotę Północną - odparł.

Hadley przyciska czoło do szyby taksówki i po raz kolejny przyłapuje się na tym, że uśmiecha się na wspomnienie Olivera. On jest jak piosenka, od której nie można się uwolnić. Mimo usilnych starań melodia ich spotkania płynie w jej myślach niekończącą się pętlą, za każdym razem tak samo zaskakująco urocza jak kołysanka, jak hymn, i dziewczyna nie przypuszcza, by mogła się jej kiedykolwiek znudzić.

Patrzy zapuchniętymi oczami na świat migający za oknem i ze wszystkich sił stara się nie zasnąć. Telefon



dzwoni czterokrotnie i dopiero wtedy Hadley uświadamia sobie, że to nie komórka taksówkarza. Wyławia go z torby i widzi numer taty, waha się przez chwilę, zanim odbierze.

- Jestem w taksówce - informuje na dzień dobry, po czym wyciąga szyję, by sprawdzić czas na desce rozdzielczej. Jej żołądek wykonuje małe salto, gdy Hadley spostrzega, że jest już 11:24.

Tato wzdycha, a Hadley wyobraża go sobie w smokingu, przemierzającego nerwowo kościelną nawę tam i z powrotem. Zastanawia się, czy tato nie wolałby, żeby w ogóle nie przyjeżdżała. Tego dnia ma znacznie ważniejsze sprawy na głowie - kwiaty, program uroczystości, usadzanie gości przy stole - zatem to, że córka nie zdążyła na samolot i jest spóźniona na ślub, musi być dla niego wyjątkowym utrapieniem.

- Orientujesz się, czy już niedaleko? - pyta tato, ona zaś zasłania mikrofon i głośno chrząka. Kierowca wzdryga się, wyraźnie zirytowany, że mu przeszkadza.

- Przepraszam pana - mówi Hadley - wie pan, jak długo jeszcze?

Taksówkarz wydyma policzki, po czym wzdycha.

- Dwadzieścia minut - odpowiada. - Trzydzieści. Yyy... dwadzieścia pięć. Może trzydzieści. Trzydzieści.

Hadley marszczy czoło i przykłada telefon do ucha.

- Jakież pół godziny.

- Niech to szlag - klnie tato. - Charlotte dostanie zawału.

- Możecie zaczynać beze mnie.

- To jest ślub, Hadley - przypomina ojciec. - To nie to samo co opuszczenie zwiastunów w kinie.

Hadley gryzie się w język, by nie poprawić: „W multipleksie”.

- Słuchaj - radzi tato - powiedz taksówkarzowi, że dasz mu dodatkowe dwie dychy, jeśli dowiezie cię tutaj w dwadzieścia minut. Porozmawiam z pastorem i zobaczymy, czy nie da się trochę zagrać na zwłokę, dobrze?

- Dobrze - odpowiada, patrząc powątpiewająco na kierowcę.

- I nic się nie martw, przyjaciółki Charlotte czekają w pogotowiu - mówi tato, a Hadley znów słyszy w jego głosie żartobliwość, cień śmiechu schowany za słowami, który pamięta z dzieciństwa.

- Na co?

- Na ciebie - wyjaśnia pogodnie. - Do zobaczenia wkrótce.

Kierowca jest dość ożywiony perspektywą bonusu i po dobieciu targu zjeżdża z autostrady w ciąg węższych ulic zabudowanych kolorowymi domami, różnymi pubami, sklepikami i małymi butikami. Hadley zastanawia się, czy nie powinna rozpocząć przygotowań już w aucie, lecz na samą myśl czuje zniechęcenie, więc wygląda po prostu przez okno, obgryzając paznokcie i starając się w ogóle niczym się nie przejmować. Łatwiej chyba wkroczyć w to wszystko z zawiązanymi oczami. Jak skazaniec.

Zerka na telefon na kolanach, po czym otwiera go i próbuje zadzwonić do mamy. Jednak od razu włącza się poczta głosowa i Hadley zatrząskuje aparat z ciężkim sercem. Szybkie obliczenia wskazują, że w Connecticut jest jeszcze wczesna pora, a mama - która śpi jak suseł, całkowicie wyłączona ze świata, póki nie weźmie prysznic i nie wypije hektolitrow kawy - prawdopodobnie jeszcze smacznie

chrapie. Pomimo ich szorstkiego pożegnania Hadley wie, że głos matki poprawiłby jej samopoczucie, i w tej chwili niczego bardziej nie pragnie, niż go usłyszeć.

Taksówkarz dotrzymuje słowa. Punktualnie o 11:46 zatrzymują się przed ogromnym kościołem z czerwonym dachem i wieżą tak wysoką, że jej czubek niknie we mgle. Drzwi frontowe są otwarte, kręcą się przy nich dwaj mężczyźni odziani w smokingi.

Hadley grzebie w pliku wielobarwnych banknotów, które wymieniła dla niej mama, wręczając kosmiczną jak na jazdę z lotniska kwotę, a do tego obiecane dodatkowe dwadzieścia funtów, i zostaje z zaledwie dziesięcioma przy duszy. Wytaszczywszy walizkę z bagażnika, taksówkarz odjeżdża, a Hadley stoi przez chwilę, przyglądając się kościołowi.

Ze środka słychać głębokie dudnienie organów, w progu dwie osoby przerzucają stos programów i uśmiechają się wyczekująco. Dziewczyna dostrzega inne wejście w ceglanej ścianie od frontu i rusza w tamtym kierunku. Jedyłą rzeczą gorszą niż przeparadowanie środkiem nawy byłoby wykonanie falstartu w pomiętej dżinsowej spódnicy, z czerwoną walizką w ręku.

Wchodzi do niewielkiego ogrodu z kamienną figurą świętego okupowaną właśnie przez trzy gołębie. Hadley ciągnie walizkę wzdłuż budynku, aż napotyka kolejne wejście, a kiedy otwiera drzwi, ogród wypełnia się dźwiękami muzyki. Rozgląda się w korytarzu na prawo i lewo, po czym udaje się na tyły kościoła, gdzie wpada na drobną kobietę w małym kapelusiku z piórami.

- Przepraszam - mówi Hadley półszepem. - Szukam... pana młodego?

- Ach, ty na pewno jesteś Hadley! - woła kobieta. - Tak się cieszę, że zdążyłaś. Nie martw się, moja droga, dziewczęta czekają na ciebie na dole. - Wypowiada te słowa z charakterystycznym akcentem i Hadley uzmysławia sobie, że zapewne ma przed sobą matkę panny młodej, ze Szkocji. Czy teraz, kiedy tato i Charlotte się pobierają, ma uważać tę kobietę - tę zupełnie obcą osobę - za kogoś w rodzaju babci? Ten pomysł odejmuje jej mowę. Dziewczyna zastanawia się, jakich członków rodziny może jeszcze zyskać, gdy uroczystość zaślubin ruszy z kopyta. Zanim jednak ma okazję się odezwać, kobieta zaczyna wymachiwać rękami.

- Lepiej się pośpiesz - mówi, a Hadley odzyskuje mowę, dziękując jej krótko i kierując się ku schodom.

Spuszczając walizkę stopień po stopniu, słyszy ożywione głosy i już po chwili jest nimi całkowicie otoczona.

- Oto i ona - oznajmia jedna z kobiet, obejmując ją ramieniem i prowadząc do sali szkółki niedzielnej, która najwidoczniej pełni także funkcję garderoby. Druga chwytą jej walizkę, a trzecia sadza na składanym krzeselku ustawionym przed lustrem opartym o szkolną tablicę. Wszystkie kobiety są już ubrane w lawendowe suknie druchen, mają polakierowane włosy, wyregulowane brwi i zrobiony makijaż. Hadley stara się je zapamiętać, gdy przedstawiają się po kolei, jest jednak jasne, że nie ma czasu na uprzejmości: te kobiety mają zadanie do wykonania.

- Bałyśmy się, że nie zdążysz - mówi Violet, honorowa drużna, przyjaciółka Charlotte z dzieciństwa. Uwija się wokół głowy dziewczyny, wyjmując z ust wsuwkę. Inna, Jocelyn, chwytą za pędzel do makijażu, mruży oczy i przystępuje do dzieła. W lustrze Hadley widzi, że dwie

pozostałe otworzyły jej walizkę i próbują wygładzić sukienkę, która jest beznadziejnie wygnieciona, tak jak się obawiała.

- Nie przejmuj się, nie przejmuj - mówi Hillary, znikając z suknią w łazience. - Zagniecenia na tego rodzaju sukience tylko ożywiają tkaninę.

- Jak minął lot? - pyta Violet, wtykając grzebień we włosy Hadley, które są nadal splątane po kilku godzinach spędzonych w samolocie. Zanim dziewczyna zdąży odpowiedzieć, Violet zwija jej pukle w węzeł, ciągnąc tak mocno, że niebieskie oczy Hadley prawie się chowają.

- Za ciasno - wykrztusza z siebie, czując się jak Królowa Śnieżka zaciągana na śmierć przez tłum życzliwych krasnoludków.

Kiedy dziesięć minut później kobiety kończą swe zabiegi, Hadley musi przyznać, że dokonały niemal cudu. Sukienka, choć nadal odrobinę pomięta, prezentuje się lepiej niż wcześniej, gdy mierzyła ją w domu, a to za sprawą poprawek przeprowadzonych wczoraj rano przez mamę oraz pomysłowych podpięć dokonanych przez pozostałe druhny. Ramiączka mają teraz idealną długość, a lawendowy jedwab układa się jak należy, kończąc się na wysokości kolana. Buty, delikatne sandały, które błyszczą jak złoto, należą do mamy. Przyglądając się im, Hadley porusza palcami u stóp z pomalowanymi paznokciami. Włosy ma zaczesane w elegancki kok i czuje się w całym tym rynsztunku całkowicie obco.

- Wyglądasz jak baletnica - stwierdza Whitney, z zachwytem klaszcząc w dłonie, a Hadley się uśmiecha, lekko onieśmielona wśród tylu dobrych wróżek. I nawet ona musi przyznać, że jest to prawdą.

- Lepiej chodźmy - ponagla Violet, zerkając na zegarek, który pokazuje 12:08. - Nie chcę, żeby Charlotte dostała ataku serca w dzień swojego ślubu.

Reszta się śmieje, rzucając ostatnie spojrzenie w lustro, i cała gromadka wybiega za drzwi, głośno stukając obcasami na krytej linoleum podłodze kościelnych podziemi.

Hadley natomiast stoi jak wryta. Właśnie dotarło do niej, że nie będzie miała okazji zobaczyć ojca przed uroczystością i to całkowicie wytrąca ją z równowagi. Nagle wszystko toczy się o wiele za szybko. Dziewczyna wygładza sukienkę, przygryza wargę i stara się bez powodzenia uspokoić gonitwę myśli.

„On się żeni”, myśli, dziwiąc się samemu pomysłowi. „Żeni się”.

Wiedziała o tym od wielu miesięcy - że ojciec rozpocznie tego dnia nowe życie, życie z kimś, kto nie jest jej mamą - lecz dotychczas były to tylko słowa, absolutnie mgliste wyobrażenie, wydarzenie, które może w ogóle nie dojść do skutku, które czai się jak potwór z dziecięcych bajek, z wielkimi zębiskami, pazurami i kudłami, pozbawiony jakiegokolwiek namacalności.

Teraz jednak, gdy Hadley stoi w kościelnym podziemiu z trzęsącymi się rękami i walącym jak młot sercem, zaczyna pojmować, co ten dzień oznacza, co wraz z nim zyska, a co straci, jak wiele się już zmieniło. I coś w środku zaczyna boleć.

Jedna z drухen woła z końca korytarza, gdzie cichnie echo kroków. Hadley robi wdech i stara się sobie przypomnieć, co Oliver powiedział w samolocie na temat jej odwagi. I choć akurat teraz czuje, że odwaga opuściła ją całkowicie, to wspomnienie sprawia, że dziewczyna

unoszą wyżej głowę i postanawiają tak trzymać, ruszając za grupką kobiet.

Wiodą ją do przedsionka kościoła i przedstawiają Monty'emu, bratu Charlotte, który poprowadzi ją kościelną nawą. Jest chudy i upiornie blady, a Hadley przypuszcza, że jest co najmniej kilka lat starszy od Charlotte i plasuje go po drugiej stronie czterdziestki. Monty podaje jej rękę, zimną i pergaminową, a po dokonaniu wszystkich prezentacji służy ramieniem. Ktoś wręcza jej różowo-lawendowy bukiet, ustawiają ich w kolejce za innymi i nim Hadley zdąży się rozeznac w sytuacji, drzwi otwierają się na oścież i już czują na sobie wzrok zgromadzonych w kościele wiernych.

Gdy nadchodzi ich kolej, Monty lekko popycha ją naprzód i Hadley rusza małymi kroczkami, odrobinę chwiejąc się na obcasach. Ślub jest bardziej okazały, niż myślała. Od miesiący widziała oczami wyobraźni mały wiejski kościółek, gdzie zebrało się kilkoro najbliższych przyjaciół. Tymczasem to jest gala pełną gębą, z setkami nieznajomych twarzy, zwróconych teraz w jej stronę.

Hadley poprawia w rękę bukiet i zadziera brodę. Po stronie pana młodego dostrzega kilka z grubszą znajomych osób: dawny przyjaciel ojca z uczelni, daleki krewny z Australii oraz stary wujek, który przez lata przysyłał jej prezenty urodzinowe w zupełnie niewłaściwym dniu i którego - jeśli ma być całkowicie szczerą - uznała już za zmarłego.

Kiedy tak kroczą kościelną nawą, Hadley musi przypominać sobie o oddychaniu. Muzyka głośno rozbrzmiewa w uszach, przyćmione światła zmuszają do mrugania powiekami. Trudno powiedzieć, czy jest jej gorąco z po-

wodu braku klimatyzacji, czy z powodu uczucia paniki, które stara się od siebie odepchnąć - tego znajomego doznania pojawiającego się zawsze w obecności zbyt wielu ludzi w ciasnym pomieszczeniu.

Gdy wreszcie zbliżają się do ołtarza, jest zaskoczona widokiem stojącego tam ojca. To trochę absurdalne, że w ogóle tam jest, w tym londyńskim kościele pachnącym deszczem i perfumami, z rzadkiem kobiet w liliowych sukienkach zmierzających ku niemu niepewnym krokiem. Ten obraz taty, gładko ogolonego, z błyszczącymi oczami, małym fioletowym kwiatkiem wpiętym w klapę, nie pasuje tutaj. Hadley wydaje się, że jest tysiąc bardziej odpowiednich miejsc, gdzie mógłby znajdować się w tym momencie, w to letnie popołudnie. Powinien być w ich kuchni, ubrany w swoją znoszoną pizamę, tę z dziurami na piętach wydeptanymi w zbyt długich nogawkach. Albo przerzucać stos rachunków w swoim dawnym gabinecie, popijając herbatę z kubka opatrzonego napisem *Kumasz poezję?* i zastanawiając się, czyby nie wyjść na dwór i nie skosić trawnika. Mógłby w tej chwili robić w zasadzie wszystko, ale ożenek z pewnością do tej kategorii nie należy.

Dziewczyna zerka na mijane ławki. Na szczycie każdej z nich przymocowano małe bukietiki kwiatów związane jedwabnymi wstążkami. Światło płonących przy ołtarzu świec sprawia, że wszystko wygląda niemal czarodziejsko, a finezja tej uroczystości, ta stylowa elegancja tak jaskrawo kontrastuje z dawnym życiem taty, że Hadley doprawdy nie bardzo wie, czy powinna się spieszyć czy obrazić.

Przychodzi jej na myśl, że Charlotte musi być w tej chwili gdzieś za nią, czekać w gotowości, a pokusa obej-



rzenia się za siebie niemal ją obezwładnia. Hadley podnosi wzrok i tym razem widzi utkwione w sobie spojrzenie taty. Nie mając wcale takiego zamiaru, umyka oczami w bok i z całych sił koncentruje się na drodze przed sobą, choć każda cząstka jej ciała rwie się, by dać dyla.

Na końcu nawy, gdzie Hadley i Monty się rozdzielają, tato chwyta ją za rękę i delikatnie ściska. Wysoki i przystojny, w smokingu, wygląda w tej chwili tak, jak na fotografiach z czasu, kiedy żenił się z mamą. Hadley przęłyka z trudem ślinę i zdobywa się na nikły uśmiech, po czym dołącza do pozostałych druhen po drugiej stronie ołtarza. Jej oczy wędrują ku drzwiom kościoła i kiedy muzyka się rozkręca i przybiera na sile, goście powstają z miejsc, a w progu pojawia się panna młoda prowadzona pod rękę przez ojca.

Hadley była tak bardzo nastawiona, by nienawidzić Charlotte, że jest przez chwilę oszołomiona, jak pięknie prezentuje się panna młoda w sukni o kształcie dzwonu i w delikatnym welonie. Jest wysoka i wiotka, tak inna niż mama, która jest niska i tak filigranowa, że za każdym razem, kiedy gdzieś razem wychodzili, tato żartobliwie brał ją w ramiona i udawał, że zamierza wrzucić ją do kontenera na śmieci.

Teraz jednak widzi przed sobą Charlotte, tak śliczną i pełną wdzięku, że martwi się, iż później nie będzie mogła opowiedzieć mamie żadnych okropnych szczegółów. Droga do ołtarza wydaje się nie mieć końca, a mimo to nikt nie może oderwać wzroku od panny młodej. A kiedy wreszcie dociera ona na miejsce, nie spuszcza dotąd oczu z taty, ogląda się przez ramię i posyła uśmiech oszołomionej Hadley, która - pomimo najszczerzych obiet-

nic, że będzie jej nienawidzić - uśmiecha się promiennie w odpowiedzi.

A potem? Jest tak samo, jak zawsze było i jak zawsze będzie. Identycznie jak na setkach tysięcy ślubów oraz wesel, które już się odbyły i które dopiero się odbędą. Pastor podchodzi do ołtarza, a ojciec oddaje córkę, wypowiadając jedno proste słowo. Odmawia się modlitwy i recytuje przysięgę, a na końcu jeszcze wymiana obrączek. Są uśmiechy i łzy, muzyka i oklaski, nawet śmiech, gdy panu młodemu myli się formułka i mówi „tak” zamiast „chcę”.

I choć wszyscy panowie młodzi wyglądają na szczęśliwych w dniu swojego ślubu, w oczach dzisiejszego pana młodego jest coś tak szczególnego, że niemal zapiera dech w piersi. Hadley poraża wyraz twarzy ojca, ta radość w jego oczach, ta głębia uśmiechu. Wbija ją w ziemię, rozdziera na kawałki, wyżyma serce jak mokrą ścierkę.

Budzi na nowo pragnienie powrotu do domu.

## ROZDZIAŁ 9

**7:52 CZASU WSCHODNIOAMERYKAŃSKIEGO**

**12:52 CZASU GREENWICH**

Dawno, dawno temu, milion lat wstecz, kiedy Hadley była mała, a rodzina jeszcze w komplecie, w pewien zwyczajny letni wieczór cała ich trójka wyszła przed dom do ogrodu. Słońce już zaszło, wokół głośno grały świerszcze, a mama i tato siedzieli na stopniach ganku ramię przy ramieniu, śmiejąc się i patrząc, jak Hadley goni świetliki w najmroczniejsze zakątki podwórka.

Za każdym razem, gdy była już tuż-tuż, lśniące żółte światełka znikają. Kiedy udało się jej wreszcie schwytać owada, wydawało się to niemal cudem. Czowała się tak, jakby trzymała w rączce klejnot. Ostrożnie zamknęła go w dłoniach, idąc w stronę ganku.

- Czy mogę prosić o domek dla robaczka? - spytała, a mama sięgnęła za plecy po słoik po żelkach. Otwory w pokrywce wywiercili wcześniej i teraz była podziurkowana punkcikami nie większymi od gwiazd na niebie, a robaczek świętojański migotał jak szalony, mocno bijąc skrzydełkami. Hadley przycisnęła twarz do słoika, by się mu dokładnie przyjrzeć.

- Zdecydowanie nic mu nie brakuje - stwierdził rzeczowo tato, a mama pokiwała głową na znak zgody.

- Dlaczego mówi się na nie robaczki świętojańskie, skoro nie świecą tylko w noc świętojańską? - spytała Hadley, przyglądając się owadowi spod przymrużonych powiek.

- Nie powinny się nazywać po prostu świetlikami?

- No cóż - powiedział tato, szczerząc w uśmiechu zęby - a dlaczego biedronki są nazywane bożymi krówkami, skoro wcale nie przypominają krowy?

Mama przewróciła oczami, a Hadley zachichotała, podczas gdy wszyscy obserwowali, jak maleńki owad rozbija się o grube ściany słoika.

- Pamiętasz, jak zeszłego lata wybraliśmy się na ryby?

- zapytała mama, gdy zbierali się już do domu. Chwyła Hadley za bluzkę i delikatnie przyciągnęła ku sobie, zmuszając ją do zrobienia kilku kroków wstecz i przycupnięcia na maminych kolanach. - I wrzuciliśmy z powrotem do wody wszystkie, które złowiliśmy?

- Żeby znów mogły sobie popływać.

- Właśnie - potwierdziła mama, opierając brodę na ramieniu córki. - Myślę, że i ten kolega byłby szczęśliwszy, gdybyś go wypuściła.

Hadley się nie odezwała, choć mocniej przytuliła do siebie słoik.

- Znasz takie powiedzenie: jeśli coś kochasz, podaruj mu wolność - rzekł tato.

- A jeśli nie wróci?

- Jedni wracają, inni nie - powiedział, wyciągając rękę, by uszczypnąć ją w nos. - W każdym razie ja zawsze do ciebie wrócę.

- Ale ty nie świecisz - zauważyła Hadley, lecz tato tylko się uśmiechnął.

- Świecę, kiedy jestem przy tobie.

Nim skończyła się ceremonia, deszcz prawie ustał. Mimo to na zewnątrz widać imponujący zbiór czarnych parasoli, chroniących przed utrzymującą się wciąż mgłą i sprawiających, że zgromadzeni na kościelnym dziedzińcu przypominają bardziej żałobników niż gości weselnych. Na wieży dzwony biją tak głośno, że schodząc po stopniach, Hadley czuje wibracje nawet w czubkach palców.

Gdy tylko ogłoszono tatę i Charlotte mężem i żoną, oboje wymaszerowali triumfalnie nawą i prędko zniknęli. Nawet teraz, całe piętnaście minut od przypieczerowania małżeńskiej umowy pocałunkiem, Hadley nie widzi nigdzie młodej pary. Błąka się bez celu pośród tłumu, zastanawiając się, jakim cudem tato zna taką masę ludzi. Mieszkał w Connecticut niemal przez całe życie i miał tylko kilku przyjaciół na pokaz. Dwa lata spędzone tutaj i najwyraźniej zmienił się w duszę towarzystwa.

W dodatku większość gości wygląda jak statyści z planu filmowego, wyrwani prosto z cudzego życia. Od kiedy to jej ojciec zadaje się z kobietami w wymyślnych kapeluszach i mężczyznami w garniturach, ubranymi bez wyjątku tak jak na podwieczorek u królowej? Cała ta scenka

- w połączeniu z narastającym zmęczeniem po podróży
- sprawia, że Hadley jest lekko nieprzytomna, jakby znajdowała się jedną nogą w przeszłości i próbowała bezskutecznie nadażyć za teraźniejszością.

Gdy przez chmury przebija się promyk słońca, goście weselni odchylają w tył głowy i opuszczają parasole, dziwiąc się swemu szczęściu, że są świadkami wyjątkowo

rzadkiej pogodowej anomalii. Stojąc pośród nich, Hadley nie bardzo wie, czego się od niej w tej chwili oczekuje. Pozostałych druzhen nie ma nigdzie w zasięgu wzroku i jest rzeczą wielce prawdopodobną, że powinna robić teraz coś znacznie bardziej pożytecznego. Nie przeczytała dokładnie wskazówek ani planu uroczystości, które przesyłano jej e-mailem w ciągu ostatnich tygodni, a przed uroczystością nie było czasu na udzielenie jej dalszych instrukcji.

- Powinnam być teraz gdzie indziej? - pyta, gdy natyka się na Monty'ego, który z wielkim zainteresowaniem krąży wokół zabytkowej białej limuzyny zaparkowanej przed kościołem. Monty wzrusza ramionami, po czym natychmiast powraca do skrupulatnych oględzin pojazdu, który przypuszczalnie przewiezie później młodą parę na przyjęcie weselne.

W drodze powrotnej do drzwi kościoła Hadley z ulgą dostrzega w tłumie fioletową sukienkę, którą okazuje się Violet.

- Tato cię szuka - mówi kobieta, wskazując na stary kamienny budynek. - Jest tam w środku z Charlotte. Ona poprawia makijaż przed sesją zdjęciową.

- O której jest wesele? - pyta Hadley, a po sposobie, w jaki patrzy na nią Violet, można by wnioskować, że zapytała, gdzie znajduje się niebo. Najwyraźniej odpowiedź jest dość oczywista.

- Nie dostałaś programu?

- Nie miałam okazji rzucić na niego okiem - odpowiada Hadley z zakłopotaniem.

- Dopiero o szóstej.

- Co więc robimy do tego czasu?

- Cóż, zdjęcia zajmą dłuższą chwilę.

- A później?

Violet wzrusza ramionami.

- Wszyscy zatrzymali się w hotelu.

Hadley rzuca jej pełne konsternacji spojrzenie.

- Tam, gdzie odbędzie się wesele - wyjaśnia drużna. - Przypuszczam więc, że tam się udamy.

- Super - mówi Hadley, a Violet unosi brew.

- Nie idziesz poszukać taty?

- A, tak - odpowiada, nie ruszając się z miejsca. - Yy...

- Jest w kościele - powtarza Violet, wypowiadając słowa powoli, jak gdyby z obawy, że nowa pasierbica przyjaciółki może mieć trochę nierówno pod sufitem. - Tam.

Gdy Hadley wciąż stoi jak wryta, twarz Violet łagodnieje.

- Posłuchaj - mówi - mój ojciec ożenił się powtórnie, kiedy byłam odrobinę młodsza od ciebie, więc rozumiem. Ale mogłabyś trafić o wiele gorzej, niż mieć Charlotte za macochę, wiesz?

Hadley wcale tego nie wie. Prawie nic nie wie o Charlotte, ale się z tym nie zdradza. Violet marszczy czoło.

- Uważałam, że moja macocha jest naprawdę okropna. Nienawidziłam jej, gdy prosiła mnie o najmniejsze drobiazgi, rzeczy, które moja mama też kazałaby mi robić, na przykład chodzenie do kościoła albo wykonywanie prac domowych. W tych sprawach wszystko rozbija się o to, kto prosi, a ponieważ prosiła ona, ja stawałam okoniem. - Milknie i się uśmiecha. - Aż pewnego dnia zdałam sobie sprawę, że to wcale nie na nią byłam wściekła. Tylko na niego.

Hadley patrzy przez chwilę w stronę kościoła.

- W takim razie - odzywa się w końcu - jestem chyba o krok do przodu.

Violet kiwa głową, być może uzmysławiając sobie, że temat jest już zamknięty, i niezgrabnie klepie dziewczynę po ramieniu. Gdy odchodzi, Hadley ogarnia nagły strach przed tym, co czeka ją wewnątrz kościoła. Co właściwie mówi się ojcu, którego nie widziało się od stu lat, z okazji jego ślubu z kobietą, której nie widziało się nigdy w życiu? Jeśli istnieje stosowna etykieta dla tego rodzaju sytuacji, z pewnością jest ona Hadley nieznana.

W kościele panuje cisza. Wszyscy stoją na zewnątrz, czekając na wyjście młodej pary. Obcasy stukają głośno na posadzce, gdy Hadley wędruje w stronę zejścia do podziemi, wodząc dłonią po chropowatym kamiennym murze. W pobliżu schodów ludzkie głosy unoszą się w górę jak dym, a Hadley zatrzymuje się na szczycie schodów i nadstawia uszu.

- Nie masz więc nic przeciwko temu? - pyta kobiecy głos, a inny mruczy coś zbyt cicho, by można było to usłyszeć. - Sądziłam, że to utrudni sprawy.

- Ależ skąd - mówi druga kobieta i Hadley uświadamia sobie, że to Charlotte. - Poza tym ona mieszka z mamą.

Dziewczyna wstrzymuje oddech. „Oto nadchodzi”, myśli sobie. „Chwila prawdy o podłej macosze”.

Teraz usłyszy wszystkie okropieństwa, jakie wygadują na jej temat. Dowie się, jacy są zadowoleni, że mają ją z głowy, a w każdym razie, że nie jest im do niczego potrzebna. Wyobrażała sobie to przez wiele miesięcy, roztrząsała, jaka straszna może okazać się Charlotte, i teraz, gdy ów moment rzeczywiście nadszedł, Hadley jest



tak pochłonięta oczekiwaniem na potwierdzenie swoich domysłów, że niemal umyka jej następny fragment rozmowy.

- Chciałabym lepiej ją poznać - wyznaje Charlotte. - Mam szczerą nadzieję, że wkrótce się między nimi ułoży.

Druga kobieta cicho się śmieje.

- Na przykład w ciągu najbliższych dziewięciu miesięcy?

- No cóż... - bąka Charlotte, a Hadley oczyma wyobraźni widzi uśmiech na jej ustach. To wystarczy, by cofnęła się o kilka kroków, potykając się na zbyt wysokich obcasach. Pusty kościół jest mroczny i cichy i nagle, wbrew panującej wewnątrz temperaturze, przenika ją chłód.

„Dziewięć miesięcy”, powtarza sobie w duchu, a oczy szczypią od łez.

Pierwsza na myśl przychodzi jej mama, choć nie bardzo wie, czy chce ją chronić, czy raczej być przez nią chroniona. Tak czy owak, w tej chwili niczego tak bardzo nie pragnie, jak usłyszeć jej głos. Tyle że telefon został na dole, a tam jest Charlotte. Poza tym chyba nie do niej należy przekazanie takiej wiadomości? Wie, że mama przyjmuje tego rodzaju nowiny ze stoickim spokojem, zawsze jest tak nieznośnie niewzruszona, podczas gdy Hadley wpada w histerię. Ale to co innego. To grubsza sprawa. I wydaje się niemożliwe, żeby mama nie poczuła się wstrząśnięta taką informacją.

Hadley w każdym razie jest.

Siedzi w kucki, oparta o framugę drzwi, i spogląda gniewnie w dół, gdy raptem słyszy kroki za rogiem oraz głęboki męski śmiech. Odskakuje kawałek dalej, żeby nie

wyglądało, że robi to, co właśnie robi, i ogląda swoje paznokcie z nonszalancką - ma nadzieję - miną, gdy zjawia się tato w towarzystwie pastora.

- Hadley - mówi, klepiąc ją po ramieniu i zwracając się do niej tak, jakby widywali się codziennie. - Chciałbym cię przedstawić wielebnemu Walkerowi.

- Miło mi cię poznać, drogie dziecko - wita ją starszy mężczyzna, ujmując jej dłoń i odwracając się znów do ojca. - Do zobaczenia na weselu, Andrew. Jeszcze raz gratuluję.

- Ogromnie dziękuję, pastorze - odpowiada tato, po czym zostają tylko we dwoje, patrząc, jak pastor kuśtyka do wyjścia, a czarna szata powiewa za nim jak peleryna.

Kiedy wielebny znika za rogiem, tato zwraca się do Hadley z uśmiechem.

- Dobrze cię widzieć, dziecko - mówi, a ona czuje, jak uśmiech jej drży, a potem gaśnie.

Ogląda się na drzwi prowadzące do podziemi, a te dwa słowa ponownie przetaczają się przez jej myśli. „Dziewięć miesięcy”.

Tato stoi na tyle blisko, że Hadley czuje zapach jego płynu po goleniu, ostry i miętowy, a lawina wspomnień, jaką wywołuje, przyprawia ją o szybsze bicie serca. Patrzy na nią tak, jakby na coś czekał - na co? Czy uważa, że to ona powinna rozpocząć tę farsę, otworzyć serce i wyłożyć kawę na ławę?

Przecież to nie ona chowa w zanadrzu jakieś tajemnice.

Strwoniła tak wiele czasu, unikając go, włożyła tak wiele wysiłku, żeby odciąć go od swojego życia - co wcale nie było łatwe, bo ojciec nie był nic nieznaczącym przedmiotem jak papierowa lalka - a teraz okazuje się, że to on coś przed nią ukrywał.

- Gratulacje - chrypi, poddając się nieco sztywnemu ojcowskiemu uściskowi, który koniec końców bardziej przypomina poklepywanie po plecach niż pieszczotę.

Tato niezgrabnie się odsuwa.

- Cieszę się, że zdążyłaś.

- Ja też - odpowiada. - Było miło.

- Charlotte nie może się doczekać, kiedy cię pozna -oznajmia, a Hadley się najeża.

- Świetnie - wykrztusza.

Tato posyła jej uśmiech pełen nadziei.

- Myślę, że dogadacie się znakomicie.

- Świetnie - powtarza Hadley.

Ojciec odchrząkuje i poprawia muszkę, wydaje się sztywny i skrępowany, nie wiadomo, czy to z powodu smokingu czy sytuacji.

- Słuchaj - zaczyna. - Prawdę mówiąc, cieszę się, że zastałem cię tu samą. Jest coś, o czym chciałbym z tobą porozmawiać.

Hadley lekko się prostuje, przygotowując się na przyjęcie bolesnej wiadomości. Nie ma czasu na odczuwanie ulgi, że mimo wszystko tato zamierza jej powiedzieć. Jest tak dalece pochłonięta wymyślaniem, jak zareagować na nowinę o dziecku - ponurym milczeniem?... udawanym zaskoczeniem?... pełnym oburzenia niedowierzaniem?... - że kiedy ojciec wreszcie zadaje cios, jej twarz przypomina wytartą do czysta tablicę.

- Charlotte ma wielką nadzieję, że na przyjęciu weselnym zatańczymy w parze - oznajmia, a Hadley, bardziej oszołomiona tym stwierdzeniem niż druzgocącymi wieściami, których oczekiwała, tylko się w niego wpatruje.

Tato podnosi rękę.

- Wiem, wiem - mówi. - Powiedziałem jej, że bardzo ci się to nie spodoba, że za żadne skarby nie będziesz chciała wyjść na środek ze swoim staruszkiem... - urywa, wyraźnie czekając, aż Hadley wpadnie mu w słowo.

- Kiepska ze mnie tancerka - odpowiada wreszcie.

- Wiem - przyznaje tato z uśmiechem. - Ze mnie też żaden tancerz, ale to dzień Charlotte i chyba naprawdę jej na tym zależy...

- W porządku - odpowiada Hadley, intensywnie mrugając powiekami.

- W porządku? -Tak.

- No to znakomicie - mówi tato, sprawiając wrażenie szczerze zaskoczonego. Kołysze się na piętach, promieniejąc z powodu tego nieoczekiwanego zwycięstwa. -Charlotte będzie wniebowzięta.

- Cieszę się - odpowiada Hadley, nie potrafiąc ukryć nutki rozgoryczenia w głosie. Czuje się zupełnie pusta, nie ma już nastroju do walki. Przecież sama się o to prosiła. Nie chciała mieć nic wspólnego z jego nowym życiem i oto on zaczyna je bez niej.

Nie chodzi już tylko o Charlotte. Za dziewięć miesięcy będzie miał nowe dziecko, może drugą córkę.

I nawet nie zadał sobie trudu, by ją o tym poinformować.

Zabolało ją to tak samo jak jego odejście, trafiło w ten sam czuły punkt, w którym zapiekło, gdy po raz pierwszy usłyszała o Charlotte. Jednak tym razem, niemal nie zdając sobie z tego sprawy, Hadley bardziej skłonna jest do akceptacji okoliczności niż do buntu.

Ostatecznie uciekać, kiedy ktoś goni, to jedno.

A biec w samotności - to zupełnie inna historia.

## ROZDZIAŁ 10

**8:17 CZASU WSCHODNIOAMERYKAŃSKIEGO**

**13:17 CZASU GREENWICH**

Wczoraj późnym wieczorem, kiedy w samolocie pałaszowała z Oliverem paczkę maleńkich precelków, on siedział milcząco, studiując jej profil tak długo, aż w końcu odwróciła ku niemu twarz.

-Co?

- Kim chciałabyś być, kiedy dorośniesz? Zmarszczyła czoło.

- Takie pytania zadaje się czterolatkom.

- Niekoniecznie - zaprotestował. - Każdy musi kimś być.

- A ty kim chciałabyś zostać? Wzruszył ramionami.

- Spytałem pierwszy.

- Astronautką - odpowiedziała. - Baletnicą.

- Serio.

- Uważasz, że nie mogłabym zostać astronautką?

- Mogłabyś być pierwszą baletnicą na Księżycu.

- Chyba mam jeszcze trochę czasu na decyzję.

- To prawda - przyznał.

- A ty? - zapytała, spodziewając się kolejnej sarkastycznej odpowiedzi, jakiejś wymyślonej profe-

sji mającej związek z jego tajemniczym projektem badawczym.

- Też jeszcze nie wiem - odpowiedział spokojnie. - W każdym razie na pewno nie prawnikiem.

Hadley uniosła brwi.

- Czy to zawód twojego taty?

On jednak nie odpowiedział, tylko rzucił gniewne spojrzenie trzymanemu w rękę precelkowi.

- Mniejsza o to - odezwał się po chwili. - A tak w ogóle, to kto ma ochotę zastanawiać się nad przyszłością?

- Ja nie mam - oznajmiła. - Ledwo mogę znieść myśl o najbliższych kilku godzinach, a co dopiero kilku latach.

- Dlatego latanie jest takie boskie - powiedział. - Tkwisz w jednym miejscu. Nie masz w tej kwestii żadnego wyboru.

Hadley uśmiechnęła się do niego.

- To nie najgorsze miejsce, w którym można utknąć.

- Nie najgorsze - zgodził się Oliver, wrzucając do ust ostatniego precelka. - Prawdę mówiąc, nie chciałbym teraz znaleźć się nigdzie indziej.

\* \* \*

W korytarzu zaciemnionego kościoła tato przechadza się nerwowo tam i z powrotem, zerkając na zegarek i co chwilę wyciągając szyję w stronę schodów w oczekiwaniu na Charlotte. Wygląda jak nastolatek, zarumieniony, niemogący się doczekać przybycia swojej dziewczyny, a Hadley przemyka przez myśl, że może on właśnie tym pragnął zostać, kiedy dorośnie. Mężem Charlotte. Ojcem jej dziecka. Mężczyzną, który spędza Boże Narodzenie

w Szkocji i wyjeżdża na wakacje na południe Francji, rozprawia o sztuce, polityce i literaturze przy niespiesznie gotowanych posiłkach i butelce wina.

Jakie to dziwne, że tak potoczyły się sprawy, zwłaszcza że niewiele brakowało, a zostałyby w domu. Wymarzona praca czy nie, cztery miesiące z dala od domu to kawał czasu i gdyby nie mama - która namawiała go do wyjazdu, powtarzała, że przecież o tym marzył i żałowałby zmarnowania takiej okazji - tata w ogóle nie poznałby Charlotte.

I oto, jak gdyby wskutek niezwerbalizowanych rozmyślań Hadley, na szczycie schodów pojawia się Charlotte z zaróżowionymi policzkami, olśniewająca w swojej sukience. Bez welonu jej kasztanowe włosy opadają na ramiona luźnymi lokami, ona zaś niemal szybuje prosto w ramiona taty. Kiedy się całują, Hadley odwraca wzrok, przestępując w skrępowaniu z nogi na nogę. Po chwili tato odrywa się od Charlotte i wykonuje zamaszysty gest w kierunku Hadley.

- Chciałbym przedstawić ci moją córkę - oznajmia. - Oficjalnie.

Charlotte uśmiecha się do niej promiennie.

- Tak się cieszę, że mogłaś przyjechać - mówi, tuląc do siebie Hadley. Pachnie bzem, choć trudno powiedzieć, czy to perfumy, czy trzymany w ręku bukiet. Cofając się o krok, dziewczyna zauważa pierścionek na jej palcu, co najmniej dwa razy większy od maminego, który Hadley nadal wykrada od czasu do czasu ze szkatułki na biżuterię, wsuwa sobie na palec i przypatruje się z uwagą szlifowanym ściankom brylantu, jak gdyby kryły w sobie klucz do rozstania rodziców.

- Przepraszam, że tak długo - mówi Charlotte do taty - ale do fotografii ślubnych pozuje się raz w życiu.

Hadley rozważa, czyby nie napomknąć, że w wypadku taty jest to drugi raz, lecz ostatecznie gryzie się w język.

- Nie słuchaj jej - rzuca tato do Hadley. - Guzdra się tyle czasu, nawet kiedy wychodzi tylko na targ.

Charlotte uderza go lekko bukietem.

- Czy w dniu swojego ślubu nie powinieneś przypadkiem zachowywać się jak dżentelmen?

Tato pochyla się i daje jej szybkiego całusa.

- Dla ciebie się postaram.

Hadley znów umyka spojrzeniem, czując się jak intruz. Marzy o wymknięciu się niepostrzeżenie, ale Charlotte uśmiecha się z wyrazem twarzy, którego Hadley nie potrafi do końca rozszyfrować.

- Czy tato miał okazję powiedzieć ci o...

- Tańcu ojca z córką? - przerywa jej tato. - Tak, powiedziałem.

- Znakomicie - kwituje Charlotte, konspiracyjnie obejmując Hadley ramieniem. - Zatroszczyłam się już o dużą ilość lodu, na wypadek gdyby tato zmiażdżył ci wszystkie palce.

Hadley uśmiecha się słabo.

- Świetnie.

- Chyba powinniśmy stąd wyjść i przywitać się ze wszystkimi, zanim przyjdzie czas na zdjęcia - sugeruje tato. - A przed weselem goście wracają do hotelu - informuje córkę. - Musimy pamiętać o zabraniu tam twojej walizki.

- Racja - odpowiada Hadley, pozwalając się prowadzić w stronę otwartych drzwi na końcu długiego kory-



tarza. Czuje się trochę jak lunaticzka i koncentruje na stawianiu stóp jedna przed drugą, dochodząc do wniosku, że jedyną drogą ucieczki - przed tym weselem, przed tym weekendem, przed całym tym przeklętym wydarzeniem - jest po prostu podążanie naprzód.

- Hej - mówi tato, zatrzymując się tuż przed drzwiami. Nachyla się i całuje Hadley w czoło. - Bardzo się cieszę, że tu jesteś.

-Ja też - mamrocze w odpowiedzi, znów wlokąc się z tyłu, podczas gdy tato otacza Charlotte ramieniem i przyciąga ją mocno do siebie. Na ich widok tłum wiwatuje i chociaż Hadley wie, że oczy wszystkich zwrócone są na pannę młodą, wciąż czuje się za bardzo na widoku. Trzyma się zatem z tyłu, póki tato nie wykona półobrotu i nie da jej znaku, by za nimi poszła.

Niebo nad głową wciąż mieni się srebrem, skrzy się melanzem słońca i chmur, a parasole pozniwały co do jednego. Hadley wlecze się za szczęśliwą parą, podczas gdy tato ściska dłonie gości, a Charlotte rozdaje całusy, od czasu do czasu przedstawiając Hadley osobom, których imion ona nigdy nie zapamięta: Justin, kolega taty z pracy, i kapryśna kuzynka Charlotte - Carrie, Allison i Erika sypiące na weselu kwiaty, zażywna małżonka wielebnego Walkera i zupełnie nieznana ekipa zgromadzona na trawniku i przypominająca Hadley, jak mało wie na temat własnego ojca.

Większość gości będzie obecna na wieczornym przyjęciu weselnym, nie są jednak w stanie wstrzymać się do tego czasu z płynącymi z głębi serca gratulacjami, a radość na ich twarzach jest zaraźliwa. Nawet Hadley jest poruszona doniosłością dnia, póki nie ujrzy kobiety trzy

mającej dziecko na biodrze i wtedy znów pojawia się ten ciężar w sercu.

- Hadley - mówi tato, prowadząc ją ku starszej parze - chciałbym, żebyś poznała serdecznych przyjaciół rodziny Charlotte, państwa O'Callaghanów.

Dziewczyna ściska im dłonie, uprzejmie się kłaniając.

- Miło mi państwa poznać.

- A więc to jest ta słynna Hadley - mówi pan O'Callaghan. - Tak wiele o tobie słyszeliśmy.

Trudno jej ukryć zdumienie.

- Naprawdę?

- Oczywiście - potwierdza tato, ściskając jej ramię. - Niby ile mam córek?

Hadley wciąż patrzy nieruchomo, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, gdy u boku taty ponownie zjawia się Charlotte i wita się serdecznie ze starszą parą.

- Chcieliśmy złożyć wam gratulacje, zanim was opuścimy - oznajmia pani O'Callaghan. - Tak się pechowo składa, że mamy jeszcze pogrzeb, ale pojawimy się później na przyjęciu.

- Och, to smutne - mówi Charlotte. - Tak mi przykro. Czyj?

- Dawnego kolegi Toma, jeszcze z czasów studiów prawniczych w Oksfordzie.

- To okropne - potwierdza tato. - Daleko stąd?

- W Paddington - informuje pan O'Callaghan, a Hadley gwałtownie odwraca głowę w jego stronę.

- W Paddington?

Mężczyzna przytakuje, spoglądając na nią z trochę niepewną miną, a następnie znów zwraca się do taty i Charlotte.

- Zaczyna się o czternastej, więc na nas już czas. W każdym razie jeszcze raz winszujemy - mówi. - Z niecierpliwością oczekujemy wieczoru.

Kiedy wychodzą, Hadley patrzy za nimi, a jej umysł pracuje na pełnych obrotach. Okruch myśli zaczyna przebijać się na powierzchnię, zanim jednak ma okazję go pochwycić, Violet przepycha się przez tłum i ogłasza, że czas na zdjęcia.

- Mam nadzieję, że jesteś gotowa uśmiechać się aż do bólu mięśni twarzy - mówi do Hadley, która akurat w tym momencie nie ma na to najmniejszej ochoty. Po raz kolejny daje się poprowadzić naprzód, plastyczna jak kawałek gliny, podczas gdy tato i Charlotte idą z tyłu, tuląc się do siebie, jakby byli samiutcy na całym bożym świecie.

- A, tak mi się jakoś wydawało, że kogoś brakuje - żartuje wynajęty fotograf na widok młodej pary. Pozostali goście weselni zgromadzeni są już w ogrodzie z boku kościoła, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie Hadley znalazła wcześniej wejście do środka. Jedna z druzhen wręcza jej małe lustro, ona zaś trzyma je ostrożnie, patrząc na swe odbicie niewidzącym wzrokiem, jej myśli błędzą gdzieś miliony kilometrów stąd.

Nie ma pojęcia, czy Paddington to miasteczko czy dzielnica, czy może tylko ulica. Wie jedynie, że tam mieszka Oliver. Zaciska powieki i stara się przypomnieć sobie, co mówił w samolocie. Ktoś wyjmuje lustro z jej lepkich dłoni, a ona ślepo podąża za palcem fotografa. Ustawia się posłusznie we wskazanym miejscu, a inni zbierają się wokół niej.

Kiedy każą się uśmiechać, z trudem układa usta w kształt, który, ma nadzieję, przypomina od biedy

uśmiech. Oczy aż pieką od porządkowania myśli i jedyne, co potrafi sobie wyobrazić, to Oliver na lotnisku z garniturem przerzuconym przez ramię.

Czy on w ogóle wspomniał, że wybiera się na jakiś ślub?

Aparat trzaska i szumi, gdy fotograf ustawia gości weselnych w rozmaitych konfiguracjach: cała grupa, potem same kobiety i sami mężczyźni, następnie kilka wariantów z rodziną, z których najbardziej niezręczny przedstawia Hadley stojącą pomiędzy ojcem a świeżo upieczoną macochą. Nie wiadomo, jakim cudem przemieszcza się z miejsca na miejsce, niemniej jednak pozuje ze sztucznym uśmiechem tak promiennym, że aż bołą ją policzki, a serce ciąży jak kamień.

„To on”, myśli, gdy błyska flesz. „To ojciec Olivera”.

Oczywiście nie wie nic na pewno, lecz gdy tylko ubiera to przypuszczenie w słowa, nazywa bezkształtne myśli kłębiące się w głowie, nabiera przekonania, że to musi być prawda.

- Tato - odzywa się cicho, a on z niezmiennym uśmiechem na ustach przysuwa tylko odrobinę głowę.

- Tak? - pyta przez zęby.

Wzrok Charlotte ześlizguje się na Hadley, po czym znów odwraca w kierunku obiektywu.

- Muszę iść.

Tym razem ojciec ogląda się na Hadley, a fotograf prostuje się z marszem na czole i słowami:

- Nie wolno się ruszać.

- Jedną chwileczkę - prosi tato, unosząc palec, i zwraca się do Hadley:

- Dokąd?

Teraz patrzą na nią już wszyscy: florystka, która stara się nie dopuścić do zwiędnięcia kwiatów, pozostałe druhny obserwujące z boku rodzinną sesję zdjęciową, asystentka fotografa z podkładką do pisania. Jakiemuś dziecku wyrywa się przenikliwy okrzyk i ze szczytu posągu zrywają się do lotu gołębie. Wszyscy patrzą, ale Hadley ma to w nosie. Myśl, że Oliver - który przez połowę lotu wysłuchiwał jej pomstowania na ten ślub, jakby był on co najmniej antyczną tragedią - w tej samej chwili przygotowuje się do pogrzebu własnego ojca, jest wręcz nie do zniesienia.

Nikt z obecnych tego nie zrozumie. Hadley wie, że przynajmniej w tej kwestii się nie myli. Nie jest nawet pewna, czy sama ogarnia to rozumem. Mimo to w jej decyzji jest coś naglącego, jakiś rozpaczliwy impet. Za każdym razem, kiedy zamyka oczy, on znów się ukazuje: Oliver z nieobecnym wzrokiem i opowiadający historię o nocnej lampce głuchym głosem.

- Ja po prostu... - zaczyna i znów urywa. - Muszę coś zrobić.

Tato wznosi obie ręce do nieba i rozgląda się dookoła, wyraźnie nie pojmując, o co chodzi.

- Teraz? - pyta przez ściśnięte gardło. - Co takiego musisz zrobić akurat w tym momencie? Na dodatek w Londynie?

Charlotte obserwuje go z otwartymi ustami.

- Proszę cię, tato - błaga półszepem. - To ważne. Ojciec potrząsa głową.

- Nie sądzę... Jednak ona już się cofa.

- Obiecuję, że wrócę na przyjęcie - mówi. - I mam przy sobie telefon.

- A dokąd w ogóle się wybierasz?

- Poradzę sobie - zapewnia, nie zatrzymując się, choć wyraźnie nie jest to odpowiedź, na jaką czekał tato. Znalazłszy się przy drzwiach kościoła, nieśmiało macha ręką. Wszyscy nadal się jej przyglądają, jakby postradała rozum, i może rzeczywiście postradała, ale musi to sprawdzić. Naciska klamkę, zbiera się na odwagę i rzuca ostatnie spojrzenie tacie, który ma wściekłą minę. Stoi podparty pod boki, ze zmarszczonym czołem. Hadley macha do niego jeszcze raz i wchodzi do środka, zamykając za sobą drzwi.

Uderza ją spokój kościoła, przywiera plecami do chłodnej ściany, czekając aż ktoś - tato albo Charlotte, organizator całej uroczystości albo oddział druhen - po nią przyjdzie, lecz nikt się nie zjawia. Hadley przypuszcza, że nie ma to nic wspólnego ze zrozumieniem ze strony taty. Bo jakim cudem? Dużo bardziej prawdopodobne jest, że po prostu już nie pamięta, jak to jest być rodzicem. Być facetem, który dzwoni z życzeniami na święta, to jedno, a dyscyplinować nastoletnią córkę na oczach znajomych, zwłaszcza kiedy nie jest się już pewnym reguł, to zupełnie inna bajka.

Hadley ma wyrzuty sumienia, że wykorzystuje w ten sposób tatę, na dodatek w dniu jego ślubu, lecz czuje się tak, jakby przekręciła obiektyw i zyskała ostrość widzenia.

Pragnie tylko jednego: znaleźć się blisko Olivera.

Biegnie do sali szkółki niedzielnej, gdzie zostawiła bagaże. Gdy przechodzi obok lustra, miga jej przed oczami własne odbicie. Wygląda szczenięco, blado i ma bardzo nietęgą minę. Jej determinacja zaczyna słabnąć. Być może wyciąga pochopne wnioski. Może myli się co do taty

Olivera. Nie ma pojęcia, dokąd się wybiera, i istnieje duże prawdopodobieństwo, że własny ojciec nigdy jej tego nie wybaczy.

Kiedy jednak sięga po torebkę, na podłogę sfruwa serwetka z rysunkiem Olivera. Hadley schyla się po nią z uśmiechem, wodząc kciukiem po kaczce przyodzianej w tenisówki i czapczkę bejsbolową.

Może to jednak pomyłka.

Mimo wszystko i tak nie ma innego miejsca, w którym w tej chwili wolałaby się znaleźć.

## **ROZDZIAŁ. 11**

**9:00 CZASU WSCHODNIOAMERYKAŃSKIEGO**

**14:00 CZASU GREEIMWICH**

Hadley wypada z drzwi i jest już po drugiej stronie ulicy. Słyszy dźwięk kościelnego zegara wybijającego czternastą. Wtedy uświadamia sobie, że nie ma pojęcia, dokąd idzie. Obok przemyka wielki czerwony autobus. Zaskoczona, zatacza się kilka kroków w tył, po czym puszcza się pędem za pojazdem. Nawet bez walizki - którą zostawiła w kościele - biegnie zbyt wolno i nim zdąży skręcić za róg, autobus już odjeżdża z przystanku.

Dysząc, patrzy spod przymrużonych powiek na mapę z trasą autobusu przyklejoną na tablicy, aczkolwiek plan okazuje się niezgłębioną plątaniną kolorowych linii i obco brzmiących nazw. Studiując go, przygryza wargę i dochodzi do wniosku, że musi istnieć jakiś lepszy sposób na złamanie tego szyfru, aż nagle dostrzega słowo Paddington w lewym górnym rogu.

Wcale nie wydaje się daleko, lecz z drugiej strony trudno połapać się w skali i o ile Hadley wiadomo, równie dobrze może to być odległość kilku kilometrów, jak i kilku przecznic. Mapa jest zbyt niedokładna, by znaleźć jakieś punkty orientacyjne, i dziewczyna wciąż nie ma



bladego pojęcia, co zrobi po dotarciu na miejsce. Jedyne, co pamięta z opowieści Olivera o kościele, to figura Matki Boskiej stojąca od frontu oraz bury, jakie dostawali z bratem za wdrapywanie się na posąg. Jeszcze raz rzuca okiem na mapę. Ile może być kościołów w tak małym skrawku Londynu? Ile świętych figur?

Odległość odległością, ale w portfelu ma tylko dziesięć funtów, a sądząc po podróży taksówką z lotniska, ledwo wystarczy jej to na przejazd do skrzynki pocztowej na najbliższym rogu. Uparta mapa wciąż nie chce zdradzić swoich tajemnic, Hadley dochodzi zatem do wniosku, że najłatwiej będzie zapytać kierowcę następnego autobusu i mieć nadzieję, że będzie potrafił wskazać odpowiedni kierunek. Jednak po prawie dziesięciu minutach oczekiwania podejmuje jeszcze jedną próbę rozszyfrowania tras, niecierpliwie stukając palcami w mapę.

- Znasz zasadę, prawda? - odzywa się mężczyzna w piłkarskiej koszulce. Hadley prostuje się, boleśnie świadoma okropnej nieadekwatności swego odświętnego stroju do jazdy autobusem po Londynie. Ponieważ dziewczyna milczy, mężczyzna podejmuje wątek.

- Czekasz całe wieki, a potem przyjeżdżają dwa naraz.

- Czy dostanę się stąd do Paddington?

- Do Paddington? - powtarza. - Jasne, gra muzyka.

Gdy nadjeżdża autobus, mężczyzna uśmiecha się zachęcająco, zatem Hadley odpuszcza sobie pytanie kierowcy o drogę. Kiedy jednak wypatruje przez okno znaków, zaczyna zastanawiać się, skąd będzie wiedziała, że jest już na miejscu, ponieważ większość przystanków oznaczono nazwami ulic zamiast rejonu. Po dobrych piętnastu minutach bezcelowej wycieczki krajoznaw-

czej zdobywa się wreszcie na odwagę, by chwiejnym krokiem podejść do przodu i zapytać, na którym przystanku powinna wysiąść.

- Paddington? - mówi kierowca, pokazując w uśmiechu złoty ząb. - Jedzie pani w złą, psiakość, stronę.

Hadley wydaje jęk.

- Czy może mi pan wskazać dobrą, psiakość, stronę?

Wysadza ją w pobliżu Westminsteru, udzielając wskazówek, jak dojechać do Paddington metrem, i Hadley zatrzymuje się na moment na chodniku. Jej wzrok wędruje ku niebu, na którym z zaskoczeniem dostrzega lecący samolot i ten widok na powrót ją uspokaja. Znow przენosi się na miejsce 18A obok Olivera, zawieszona ponad oceanem, otoczona wyłącznie ciemnością.

Dociera do niej, że to właściwie cud, że w ogóle go spotkała. Bo wyobraźmy sobie, że nie spóźniła się na samolot. Albo że spędziła tych kilka godzin obok kogoś innego, kompletnie obcego, kto pozostałby obcy aż do końca podróży. Na myśl, że równie dobrze ich ścieżki mogły nigdy się nie przeciąć, brakuje jej tchu, tak jak wtedy, kiedy o mały włos unika się wypadku na autostradzie. Hadley nie może się nadziwić czystej przypadkowości całej tej sytuacji. Jak każdy szczęśliwie ocalały, czuje gwałtowną falę wdzięczności, po części przyływ adrenaliny, po części nadziei.

Toruje sobie drogę przez zatłoczone londyńskie ulice, wypatrując stacji metra. Miasto jest pełne biegnących łukiem alei i wijących się uliczek, niczym jakiś potężny wiktoriański labirynt. W piękną letnią sobotę ludzie wokół niosą torby z marketu, pchają wózki, wyprowadzają psy i truchtają w stronę parku. Hadley mija chłopaka w takiej

samej niebieskiej koszuli, jaką miał na sobie Oliver, i to sprawia, że szybciej bije jej serce.

Po raz pierwszy żałuje, że nie odwiedziła ojca wcześniej, choćby z powodu tych wiekowych budynków, tak pełnych wyrazu, ulicznych straganów, czerwonych budek telefonicznych, czarnych taksówek i kamiennych kościołów. Wszystko w tym mieście wydaje się stare, ale w bardzo urokliwy sposób, jakby żywcem wyjęte ze starych filmów. Gdyby nie musiała pędzić z wesela na pogrzeb i z powrotem, gdyby nie była w tej chwili tak okropnie spięta, gdyby każdą komórką ciała nie pragnęła zobaczyć się z Oliverem, pewnie nawet zechciałaby spędzić tu trochę czasu.

Kiedy wreszcie dostrzega czerwono-niebieski znak metra, zbiega pędem po schodach. Zbyt długo rozgryza zasadę działania automatów biletowych, aż stojący za nią w kolejce ludzie nerwowo przestępują z nogi na nogę. W końcu nieco podobna do królowej kobieta lituje się nad nią i najpierw tłumaczy, które przyciski wybrać, a potem odsuwa ją na bok i ją wyręcza.

- Proszę, skarbie - mówi, wręczając bilet. - Miłej podróży.

Kierowca autobusu uprzedził Hadley, że prawdopodobnie będzie musiała się przesiąść, z mapy jednak wynika, że na miejsce można dotrzeć bezpośrednio linią okólną. Cyfrowy wyświetlacz pokazuje, że pociąg przyjedzie za sześć minut, dziewczyna wciska się zatem w kawałek wolnej przestrzeni na peronie, by tam zaczekać.

Jej wzrok ślizga się po plakatach reklamowych na ścianach, uszy nasłuchują wszystkich akcentów, nie tylko brytyjskich, ale francuskich, włoskich i jeszcze innych,

których nawet nie potrafi umiejscowić. Obok stoi policjant w staroświeckim hełmie na głowie oraz mężczyzna przerzucający piłkę futbolową z ręki do ręki. Kiedy mała dziewczynka zaczyna płakać, jej matka pochyla się i ucisza ją w jakimś obcym języku, gardłowym i twardym. Dziewczynka znów cała zalewa się łzami.

Nikt nie patrzy na Hadley, ani jedna osoba, a mimo to nigdy nie czuła się bardziej na widoku: zbyt niska, zbyt amerykańska, w zbyt oczywisty sposób sama i zagubiona.

Nie chce myśleć o tacie oraz weselu, które za sobą zostawiła, i nie jest pewna, czy ma ochotę myśleć o Oliverze oraz o tym, co ją spotka, gdy go odnajdzie. Do przyjazdu metra pozostały jeszcze cztery minuty. Głowa ją łupie, jedwabna tkanina sukienki wydaje się zdecydowanie zbyt klejąca, kobieta obok stoi zdecydowanie zbyt blisko. Hadley zatyka nos, by nie czuć zapachu tego miejsca, zatęchłego i kwaśnego zarazem, jak smrodek psującego się owocu.

Zamyka oczy i przypomina sobie radę ojca udzieloną w windzie w Aspen, kiedy ściany waliły się dokoła jak domek z kart, i wyobraża sobie niebo ponad sufitem stacji metra, ponad chodnikiem i w tle za wąskimi budynkami. Ten sposób radzenia sobie z problemem przebiega według wzorca, jest jak sen, który powraca co noc, zawsze ten sam obraz: kilka strzępiastych chmur niczym smuga farby na niebieskim płótnie. Teraz jednak z zaskoczeniem odnajduje nowy element na obrazie, który tworzy się pod przymkniętymi powiekami, jakiś punkt przecinający błękitne niebo jej wyobraźni - samolot.

Powieki mrugają i otwierają się w chwili, gdy pociąg wyjeżdża z tunelu.

Hadley nigdy nie jest pewna, czy przedmioty są rzeczywiście tak małe, jak się wydają, czy też karłowacieją pod wpływem jej paniki. Gdy sięga pamięcią wstecz, przypomina sobie, że stadiony często jawiły się jej jako obiekty niewiele większe od sal gimnastycznych. Rozłożyste wille przybierają w jej wyobraźni rozmiary mieszkania z uwagi na liczbę zamieszkujących je osób. Trudno zatem stwierdzić na pewno, czy pociąg naprawdę jest mniejszy niż wagony metra w jej rodzinnym mieście, czy to ucisk w piersi sprawia, że wydaje się wielkości resoraka.

Na szczęście znajduje wolne miejsce na końcu rzędu siedzeń, po czym natychmiast znów zamyka oczy, ale to nie pomaga. Gdy pociąg wytacza się ze stacji, Hadley przypomina sobie o książce w plecaku i ją wyjmuje, wdzięczna, że może czymś innym zająć myśli. Przed otwarciem lektury przesuwa kciukiem po napisach na okładce.

Kiedy była mała, zakradała się do gabinetu taty zastawionego regałami sięgającymi od podłogi do sufitu, wypełnionymi tomami w poobdzieranych oprawach broszurowych lub w twardych okładkach o spękanych grzbietach. Miała zaledwie sześć lat, gdy po raz pierwszy zastał ją siedzącą w jego fotelu z pluszowym słoniem i egzemplarzem *Opowieści wigilijnej*, którą studiowała tak pilnie, jakby rozważała napisanie na jej temat pracy magisterskiej.

- Co czytasz? - zapytał, opierając się o framugę drzwi i zdejmując okulary.

- Opowieść.

- Tak? - powiedział, starając się zachować powagę. - Jaką opowieść?

- O dziewczynce i jej słoniu - wyjaśniła rzeczowo Hadley.

- Coś takiego! Naprawdę?

- Tak - odpowiedziała. - I jadą razem w podróż, na rowerze, ale potem słoń ucieka, a ona płacze tak głośno, że ktoś przynosi jej kwiatek.

Tato przeszedł przez pokój i podniósł ją z fotela jednym wprawnym ruchem - trzymającą kurczowo książkę - i ni stąd, ni zowąd znalazła się na jego kolanach.

- A co później? - zainteresował się tato.

- Słoń znów ją odnajduje. -No i?

- Dostaje babeczkę. I żyją długo i szczęśliwie.

- Zapowiada się na cudowną historię. Hadley ścisnęła mocniej postrzępionego słonia.

- Bo taka jest.

- Chcesz, żebym przeczytał ci jeszcze jedną? - spytał, delikatnie wyjmując jej książkę z rąk i cofając się do pierwszej strony. - Jest o Bożym Narodzeniu.

Usadowiła się wygodnie, oparta o miękką flanelę jego koszuli, a on zaczął czytać.

To nie sama opowieść tak bardzo się jej podobała. Nie rozumiała połowy słów i często gubiła się w zawiłych zdaniach. Uwielbiała szorstkie brzmienie ojcowskiego głosu, to, jak go zabawnie zmieniał dla każdej postaci, sposób, w jaki pozwalał jej przewracać strony. Co wieczór po kolacji czytali w zaciszu gabinetu. Czasem przychodziła mama i stawała w drzwiach ze ścierką kuchenną w ręku i z półuśmiechem na twarzy, zwykle jednak byli tam tylko we dwoje.

Nawet kiedy była już wystarczająco duża, by czytać samodzielnie, nadal brali się wspólnie do klasyki, przerzuca-

jąc się z *Anny Kareniny* na *Dumę i uprzedzenie*, *Grona gniewu*, jakby podróżowali po ziemskim globie, pozostawiając na półkach z książkami dziury jak po brakujących zębach.

A później, kiedy zaczynało stawać się jasne, że bardziej od Jane Austen czy Walta Whitmana obchodzi ją trening piłkarski i przywilej korzystania z telefonu, kiedy godzina skurczyła się do półgodziny, a każdy wieczór do co drugiego wieczoru, nie miało to znaczenia. Opowieści zdążyły już stać się częścią niej samej. Weszły jej w krew, rozkwitły w niej jak ogród. Były równie istotne i głębokie jak wszystkie inne przekazane jej przez ojca cechy: niebieskie oczy, słomiane włosy, nos usiany piegami.

Często przynosił jej do domu książki, na Gwiazdkę albo na urodziny, albo bez żadnej szczególnej okazji. Czasem były to stare wydania o pięknych złoceniach, innym razem używane książeczki w miękkiej oprawie kupione za parę dolarów na rogu ulicy. Mama zawsze wyglądała na poirytowaną, zwłaszcza kiedy przynosił nowy egzemplarz czegoś, co miał już w swoim księgozborze.

- Ten dom dzielą od zawalenia mniej więcej dwa słowniki - utyskiwała - a ty kupujesz kolejne wydania tej samej książki?

Hadley go rozumiała. Nie żeby nosiła się z zamiarem przeczytania ich wszystkich. Może pewnego dnia to uczyni, na razie jednak liczył się sam gest. Tato dawał jej najważniejszą rzecz, jaką mógł ją obdarować, tak jak potrafił. Był profesorem, wielbicielem literatury i tworzył dla niej bibliotekę, tak samo jak inni mężczyźni budują swoim córkom domy.

Kiedy więc tamtego dnia w Aspen podarował jej zniszczony egzemplarz *Naszego wspólnego przyjaciela*, kiedy już

wszystko zdążyło się wydarzyć, było w tym geście coś nader swojskiego. Odejście taty dotknęło ją do żywego, a znaczenie, jakie niósł ze sobą ten prezent, sprawiało, że bolało jeszcze bardziej. Hadley uczyniła więc coś, co wychodzi jej najlepiej: po prostu to zignorowała.

Teraz jednak, gdy pociąg wije się pod ulicami Londynu, dziewczyna, niespodziewanie dla samej siebie, cieszy się z posiadania tej książki. Od lat nie czytała Dickensa. Najpierw dlatego, że były inne, ciekawsze rzeczy do robienia, a potem chyba dlatego, że milcząco buntowała się przeciwko tacie.

Mówi się, że książki są odskoczną, ale tutaj, w metrze wydają się raczej ostatnią deską ratunku. Gdy Hadley przewraca strony, wszystko inne się zaciera: wir torebek i łokci, kobieta w tunice obgryzająca paznokcie, dwoje nastolatków w ryczących słuchawkach, nawet mężczyzna w drugim końcu wagonu grający na skrzypcach, których piskliwa melodia toruje sobie drogę w tłoku. Ruch pociągu sprawia, że głową szarpie, ale wzrok pozostaje utkwiony w drukowanych słowach, tak samo jak łyżwiarz figurowy skupia się na jednym punkcie w trakcie wykonywania piruetów, i w mgnieniu oka Hadley znów odzyskuje grunt pod stopami.

Przeskakując od rozdziału do rozdziału, zapomina, że w ogóle nosiła się z zamiarem zwrócenia książki. Słowa nie są oczywiście autorstwa ojca, ale on i tak jest obecny na kartach powieści, a ten jego ślad coś w niej ożywia.

Tuż przed docelową stacją Hadley przerywa czytanie, usiłując przypomnieć sobie podkreślone zdanie, które odkryła wcześniej w samolocie. Kiedy wertuje książkę,



szukając wzrokiem śladów atramentu, zaskoczona trafia na inny cytat.

*Ach, bywają w życiu dni istotnie warte życia i warte śmierci*, brzmi podkreślony fragment, a Hadley podnosi oczy, czując ucisk w piersi.

Jeszcze rano ślub wydawał się jej najgorszą rzeczą pod słońcem, teraz jednak rozumie, że istnieją bardziej posępne uroczystości, dużo gorsze rzeczy, które mogą się zdarzyć dosłownie każdego dnia. I gdy wysiada z pociągu wraz z innymi pasażerami, mijając napis: *Stacja Paddington* wypisany na kaflach wzdłuż ściany, ma jedynie nadzieję, że myli się w kwestii tego, co zastanie na miejscu.

## **ROZDZIAŁ 12**

**9:54 CZASU WSCHODNIOAMERYKAŃSKIEGO**

**14:54 CZASU GREENWICH**

Na dworze słońce wyszło z ukrycia, choć ulice wciąż jeszcze są wilgotne i srebrzyste. Hadley drepcze w kółko, usiłując rozeznaczyć się w okolicy, dostrzega aptekę z białą obwódką, mały sklepik z antykami, rzędy budynków o wyblakłych fasadach ciągnące się wzdłuż ulicy. Z pubu wynurza się grupka mężczyzn z zaczerwienionymi oczami, ubrana w koszulki rugbyistów, kilka kobiet z zakupami mija ją na chodniku.

Hadley spogląda na zegarek - prawie trzecia po południu, tymczasem ona nie ma pojęcia, co robić, skoro już tu wylądowała. O ile może się zorientować, nie ma w pobliżu żadnego policjanta ani informacji turystycznej, żadnych księgarni ani kafejek internetowych. Jakby rzucono ją w sam środek miejskiej pustyni Londynu bez kompasu

i mapy, jakby dostała do wykonania jakieś poronione zadanie w reality show.

Wybiera kierunek na chybił trafił i rusza przed siebie ulicą, żałując, że nie zmieniła butów, zanim urwała się z wesela. Na rogu jest bar ze smażoną rybą i frytkami. Od drzwi dolatuje zapach, który przyprawia o burcze-

nie w brzuchu. Ostatnią rzeczą, jaką jadła, były precelki w samolocie, a ostatni raz spała jeszcze przed ich spałaszowaniem. W tej chwili najbardziej pragnie zwinąć się w kłębek i uciąć sobie drzemkę, lecz mimo to wędruje dalej, napędzana dziwną mieszaniną tęsknoty i strachu.

Po dziesięciu minutach marszu i dwóch nabrzmiewających pęcherzach na stopach nadal nie minęła żadnego kościoła. Zagląda do księgarni, by zapytać o figurę Matki Boskiej, ale sprzedawca patrzy na nią tak dziwnym wzrokiem, że Hadley wycofuje się, nie czekając na odpowiedź.

Wzdłuż wąskich chodników ciągną się sklepiki rzeźni-ków z wielkimi półciami mięsa wiszącymi w witrynach, sklepy odzieżowe z manekinami na obcasach znacznie wyższych niż te, które ma na nogach, puby i restauracje, nawet biblioteka, którą Hadley omyłkowo bierze za kaplicę. Gdy tak krąży po okolicy, jak okiem sięgnąć nie widać żadnego kościoła, żadnej dzwonnicy czy wysokiej wieży, aż wreszcie - zupełnie znienacka - pojawia się.

Wynurzywszy się z uliczki, Hadley dostrzega wąski kamienny budynek po przeciwnej stronie. Waha się przez chwilę, mruga powiekami, jakby widziała fatamorganę, a następnie pędzi naprzód, znów podniesiona na duchu. A wtedy rozlega się bicie dzwonów, lecz ich brzmienie wydaje się zdecydowanie zbyt radosne jak na smutną uroczystość. Na schody wysypują się goście weselni.

Hadley nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymuje oddech, a teraz powietrze uchodzi z niej wartkim strumieniem. Dziewczyna czeka, aż przejadą pędzące taksówki, i przechodzi na drugą stronę ulicy, by znaleźć potwierdzenie tego, o czym już wie: żadnego pogrzebu, żadnej figury Matki Boskiej, żadnego Olivera.

Mimo wszystko jakoś nie może stamtąd odejść i stoi, przyglądając się dalszej części ceremonii podobnej do tej, w której niedawno sama uczestniczyła: dziewczynkom sypiącym kwiatki i druhom, błyskom fleszy, przyjaciołom i członkom rodziny, wszystkim bez wyjątku rozplywającym się w uśmiechach. Dzwony kończą radosną pieśń, słońce chyli się niżej, a ona stoi tam nadal. Po długiej chwili sięga do torebki. A potem robi to, co zawsze, kiedy czuje się zagubiona: telefonuje do matki.

Bateria jest prawie wyczerpana, wciska guziki drżącymi palcami, nie mogąc się doczekać, kiedy usłyszy głos mamy. Wydaje się niemożliwe, że pokłóciły się przy ostatniej rozmowie, a tym bardziej że wydarzyło się to niespełna dwadzieścia cztery godziny temu. Terminal odlotów na lotnisku jawi się teraz jako obiekt z innego życia.

Zawsze były ze sobą blisko, ona i mama, lecz po odejściu taty zaszła jakaś zmiana. Hadley była zła, wściekła do tego stopnia, iż nie sądziła, że jest to w ogóle możliwe. Ale mama - mama była po prostu załamana. Przez długie tygodnie poruszała się tak, jakby znajdowała się pod wodą, miała czerwone oczy, stąpała ociężale, ożywiając się tylko na dzwonek telefonu, całe jej ciało drżało jak kamerton, gdy oczekiwała wieści, że tato zmienił zdanie.

To jednak nigdy nie nastąpiło.

W tygodniach po Bożym Narodzeniu role matki i córki się odwróciły. To Hadley co wieczór przynosiła mamie kolację, to ona nie spała ze zmartwienia, słuchając płaczu mamy, to ona pilnowała, by na stoliku nocnym zawsze leżało nowe pudełko chusteczek.

I to była właśnie największa niesprawiedliwość całej tej sytuacji. Postępek taty nie dotyczył tylko jego i ma-

my ani jego i Hadley. On zrobił to mamie oraz Hadley, zamienił ich niewymuszoną codzienną rutynę w coś kruchego i zawilego, coś, co w każdej chwili mogło się rozsypać. Hadley wydawało się, że sprawy już nigdy nie powrócą do normy, że już zawsze będą razem oscylować między gniewem i żalem, a wyrwa w ich domu będzie wystarczająco duża, by pochłonąć je obie.

A potem równie nagle było po wszystkim.

Minął prawie miesiąc, kiedy pewnego ranka mama zjawiała się w drzwiach pokoju Hadley wystrojona w swój codzienny mundurek złożony z bluzy z kapturem i starych flanelowych spodni od piżamy taty, o wiele na nią za długich i za szerokich.

- Dość tego - oznajmiła. - Wyjeżdżamy. Hadley zmarszczyła czoło.

-Co?

- Pakuj się, dziecko - powiedziała mama swoim prawie normalnym głosem. - Jedziemy na wycieczkę.

Był koniec stycznia, na dworze równie smętnie jak w domu. Zanim jednak wysiadły z samolotu w Arizonie, Hadley dostrzegła, że w mamie zaczyna się coś otwierać. Ta część, która była dotąd ściśnięta zbyt mocno, zwinięta w zwartą kulkę. Spędziły długi weekend w kurorcie, leżąc nad basenem, skóra im zbrązowiała, włosy pojaśniały od słońca. Wiezorami oglądały filmy, jadły hamburgery i grały w minigolfa. I choć Hadley czekała, aż mama pęknie, przestanie odgrywać komedię i rozpuści się w kałuży łez, jak to czyniła od wielu tygodni, nic podobnego nie nastąpiło. Hadley pomyślała, że jeśli tak ma od tej pory wyglądać ich życie - być jednym długim babskim weekendem - to może w gruncie rzeczy nie jest to takie złe.

Dopiero kiedy wróciły do domu, uzmysłowiła sobie prawdziwy cel tej eskapady. Poczwała to od razu, jak na-elektryzowane powietrze, które utrzymuje się po burzy z piorunami.

Był tu tato.

Kuchnia była ciemna i zimna, stały tam we dwie, w milczeniu szacując straty. Hadley najbardziej zmroziły drobiazgi, a nie oczywiste ubytki: nie zniknięcie płaszczy na haczykach przy tylnym wyjściu czy wełnianego koca, który zwykle przykrywał kanapę w sąsiednim pokoju, a brak ceramicznego dzbanka, który zrobiła dla niego na zajęciach plastycznych, nieobecność fotografii rodziców w ramce, która stała na kredensie, puste miejsce w przeszklonej szafce, gdzie zawsze był jego kubek. Przypominało to miejsce zbrodni, jakby dom został ograbiony, i Hadley od razu pomyślała o reakcji mamy.

Lecz jedno spojrzenie zdradziło, że ona wiedziała wcześniej.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Mama była teraz w salonie, wodziła palcami po meblach, jakby przeprowadzała inwentaryzację.

- Uznałam, że byłoby to zbyt trudne.

- Dla kogo? - zapytała Hadley.

Mama nie odpowiedziała, tylko patrzyła na nią spokojnie, z cierpliwością, która wydawała się przyzwoleniem. Teraz nadeszła kolej Hadley, by doznać wstrząsu, by się rozkleić.

- Uznaliśmy, że będzie ci zbyt ciężko na to patrzeć -wyjaśniła mama. - Chciał cię zobaczyć, ale nie w takich okolicznościach. Nie podczas wyprowadzki.

- To dzięki mnie trzymaliśmy się razem - rzekła Hadley cichym głosem. - To ja powinnam decydować, czy coś jest za trudne.

- Hadley - przemówiła łagodnie mama, postępując krok w jej stronę, lecz dziewczyna się odsunęła.

- Stój - powiedziała, przelękając łzy. Ponieważ tak było w istocie; przez cały ten czas to ona wszystko spajała. Przez cały ten czas to ona pchała rodzinę naprzód. Teraz jednak czuła, że sama rozsypuje się na kawałki i kiedy mama zamknęła ją wreszcie w uścisku, mgła kilku ostatnich miesięcy nagle opadła, wszystko znów nabrało ostrości i po raz pierwszy od czasu odejścia taty Hadley poczuła, jak ustępuje w niej gniew, a jego miejsce zajmuje smutek tak dojmujący, że trudno cokolwiek zza niego dojrzeć. Wtuliła twarz w mamine ramię i stały w ten sposób przez długie minuty, a Hadley wypłakiwała łzy całego miesiąca.

Sześć tygodni później Hadley spotkała się z tatą w Aspen na nartach. Mama odprowadziła ją na lotnisko z tym samym wyważonym spokojem, który najwyraźniej spłynął na nią ostatnimi czasy, z tą nieoczekiwaną równowagą, kruchą, ale niezaprzeczalną. Hadley nigdy nie pojęła, czy stało się to za sprawą pobytu w Arizonie - ta nagła zmiana, ta nieustająca pogoda ducha - czy irytującej nieodwracalności zniknięcia z domu rzeczy taty, tak czy owak, coś się zmieniło.

Tydzień później Hadley zaczął boleć ząb.

- Za dużo słodyczy z minibaru - zażartowała mama, gdy jechały po południu do gabinetu stomatologicznego, a Hadley siedziała z ręką przyłożoną do policzka.

Ich poprzedni dentysta przeszedł na emeryturę wkrótce po ostatniej wizycie Hadley, a nowy był łysiejącym

mężczyzną po pięćdziesiątce, o przyjemnej twarzy. Gdy wytknął głowę zza drzwi, by zawołać ją do gabinetu, dziewczyna zauważyła, że lekko wybałusza oczy na widok mamy, która rozwiązywała krzyżówkę, absolutnie z siebie zadowolona, mimo że Hadley poinformowała ją, iż pismo adresowane jest do ośmiolatków. Dentysta wygładził gors koszuli i wyszedł do poczekalni.

- Doktor Doyle - przedstawił się, wyciągając rękę do Hadley i ani na sekundę nie spuszczał oczu z mamy, która podniosła wzrok i uśmiechnęła się z roztargnieniem.

- Kate - powiedziała mama. - A to jest Hadley.

Później, już po wypełnieniu zęba, doktor Doyle odprowadził Hadley do poczekalni, czego jej poprzedni dentysta nigdy nie robił.

- No i? - zapytała mama, wstając. - Jak poszło? Dostanie lizaka za to, że była grzeczna?

- Yyy, staramy się nie zachęcać do słodczy...

- Nie ma sprawy - rzekła Hadley, rzucając mamie wymowne spojrzenie. - Ona tylko żartowała.

- Cóż, bardzo dziękuję, doktorze - powiedziała mama, przewieszając torebkę przez ramię i obejmując Hadley. - Miejmy nadzieję, że nie zobaczymy się zbyt prędko.

Wydawał się tym dotknięty, póki mama nie posłała mu szerokiego uśmiechu.

- Przynajmniej jeśli będziemy regularnie myć zęby i używać nici dentystycznej, prawda?

- Prawda - przyznał z miłym uśmiechem, patrząc, jak odchodzą.

Kilka miesięcy później - po złożeniu papierów rozwodowych i powrocie mamy do pozorów codzienności i kiedy Hadley znów obudziła się w nocy z bolącym zębem



- doktor Harrison Doyle zebrał się wreszcie na odwagę i zaprosił mamę na kolację. Dziewczyna połapała się już przy pierwszej wizycie. Patrzył na mamę tak specyficznie, z nadzieją, która sprawiła, że towarzyszące Hadley nieustannie strapienie nieco zelżało.

Harrison okazał się ostoją spokoju w takim samym stopniu, jak tato był niespokojnym duchem, stąpał po ziemi tak mocno, jak tato bujał w obłokach. Był właśnie tym, kogo potrzebowały. Wszedł w ich życie bez fanfar, ze spokojnym zdecydowaniem, jedna kolacja, jedno kino, chodził dookoła na palcach, póki nie były wreszcie gotowe go przyjąć. A kiedy już to uczyniły, wydawało się, że jest w ich życiu od zawsze. Wręcz trudno było sobie wyobrazić, jak wyglądał stół kuchenny, gdy po drugiej stronie siedział tato, a Hadley - uwikłanej w nieustające przeciąganie liny między pamiętaniem a zapomnieniem -pomagało to w podtrzymywaniu iluzji, że wszystko idzie ku lepszemu.

Pewnego wieczoru, jakieś osiem miesięcy odkąd mama zaczęła się spotykać z doktorem Doyle'em, Hadley otworzyła drzwi frontowe i zastała go chodzącego tam i z powrotem po ganku.

- Hej - powiedziała, pchnąwszy drzwi siatkowe. - Nie mówiła ci? Ma dzisiaj spotkanie klubu książkowego.

Wszedł do środka, starannie wytarłszy buty.

- Prawdę mówiąc, szukałem ciebie - oznajmił, wsadzając ręce do kieszeni. - Chciałem prosić cię o pozwolenie.

Hadley, która była absolutnie pewna, że nigdy dotąd żaden dorosły nie prosił jej o pozwolenie na cokolwiek, popatrzyła na niego zaintrygowana.

-Jeśli nie masz nic przeciwko temu - powiedział, a oczy błyszczały mu zza okularów - bardzo chciałbym poślubić twoją mamę.

To był pierwszy raz. A ponieważ mama odmówiła, kilka miesięcy później ponowił próbę, jak gdyby nigdy nic. A kiedy znów powiedziała nie, on dalej czekał.

Hadley była świadkiem trzeciej próby, siedząc niezgrabnie na skraju piknikowego koca, gdy on ukląkł na jedno kolano, a wynajęty przez niego kwartet smyczkowy grał cichutko w tle. Mama zbladła i pokręciła przecząco głową, lecz Harrison tylko się uśmiechnął, jakby to wszystko było wielkim żartem, w którym i on uczestniczył.

- Tak myślałem - rzekł, po raz kolejny zatrzaskując pudełeczko i chowając je do kieszeni. Dał kwartetowi znak lekkim wzruszeniem ramion, a muzycy grali dalej, podczas gdy on usiadł z powrotem na kocu. Mama przysunęła się bliżej niego, a Harrison smutno potrząsnął głową.

- Przysięgam - oznajmił - że w końcu złamię twój opór.

Mama się uśmiechnęła.

- Mam nadzieję.

Hadley była całkowicie zbита z tropu, bo wyglądało to tak, jakby mama jednocześnie chciała i nie chciała za niego wyjść. Jak gdyby coś ją powstrzymywało, chociaż wiedziała, że powinna to zrobić.

- To nie z powodu taty, co? - zapytała ją później Hadley, a mama rzuciła jej ostre spojrzenie.

- Oczywiście, że nie - odparła. - Poza tym, gdybym próbowała z nim rywalizować, zgodziłabym się, prawda?

- Nie mówiłam, że próbujesz z nim rywalizować - wytknęła Hadley. -  
Raczej zastanawiałam się, czy wciąż na niego czekasz.

Mama zdjęła okulary do czytania.

- Twój ojciec... - powiedziała i urwała. - Doprowadzaliśmy się  
nawzajem do szału. I wciąż jeszcze nie wybaczyłam mu tego, co zrobił.  
Jakaś część mnie zawsze będzie go kochać, głównie ze względu na  
ciebie, ale sprawy potoczyły się tak nie bez powodu.

- Jednak wciąż dajesz Harrisonowi kosza. Mama pokiwała głową.

- Przecież go kochasz.

- Tak - przyznała. - Bardzo. Hadley pokręciła bezsilnie głową:

- To kompletnie bez sensu.

- Nie wszystko musi mieć sens - odparła mama z uśmiechem. - Miłość  
to najdziwniejsza, najbardziej nielogiczna rzecz na świecie.

- Nie mówię o miłości - upierała się Hadley. - Mówię o małżeństwie.

Mama wzruszyła ramionami.

- Z tym jest jeszcze gorzej - stwierdziła.

Hadley stoi teraz z boku małego londyńskiego kościółka i widzi  
młodą parę na schodach. Wciąż przyciska do ucha telefon i nasłuchuje,  
jak dzwoni po drugiej stronie oceanu, w innej części ziemskiego globu.  
Dłoń pana młodego szuka ręki panny młodej, by ich palce splótły się ze  
sobą. To drobny gest, ale jest w nim coś wymownego, dwoje ludzi  
wkraczających w świat w zespoleniu.

Gdy telefon łączy się z pocztą głosową, Hadley wzdycha, słuchając  
znajomego głosu mamy proszącego o zоста-

wienie wiadomości. Dziewczyna obraca się, niemal nieświadomie, i stoi teraz zwrócona twarzą ku zachodowi, jakby to pomogło jej znaleźć się bliżej domu. W tym samym momencie dostrzega cienki czubek wieży pomiędzy dwiema białymi fasadami wąskich budynków. Zanim w telefonie zdąży zabrzączeć sygnał, zamyka go energicznym ruchem, zostawia w tyle kolejny ślub i pędzi w kierunku jeszcze jednego kościoła, przeczuwając, że to ten.

Gdy dociera na miejsce, okrążając budynek i lawirując między samochodami zaparkowanymi po obu stronach ulicy, staje jak wryta na widok roztaczającej się przed nią sceny, jej ciało drętwieje. Na niewielkim skrawku trawnika dostrzega figurę Matki Boskiej, tę samą, przez którą Oliver dostawał burę, gdy włąził na nią z braćmi. Wokół posągu tłoczy się tłum ludzi ubranych w różne odcienie szarości i czerni.

Hadley jakby wrosła w ziemię, jej stopy przywierają do chodnika. Teraz, gdy już tu jest, cały ten pomysł wydaje się najgorszy z możliwych. Wie, że od zawsze ma skłonność do pochopnych działań. W tej chwili uświadamia sobie jednak, że to nie jest wizyta, którą się składa, bo ma się taki kaprys. To nie jest punkt docelowy spontanicznej podróży, lecz miejsce ogromnie smutnego wydarzenia, nieodwracalnego i straszliwie ostatecznego. Zerka na swoją sukienkę, delikatny fiolet jest zbyt wesoły na tę okazję, i już zaczyna się wycofywać, gdy po drugiej stronie trawnika dostrzega Olivera. Natychmiast zasycha jej w ustach.

Chłopak stoi obok drobnej kobiety, delikatnie obejmując ją ramieniem. Hadley zakłada, że to jego matka, lecz kiedy przygląda się uważniej, uświadamia sobie,

że to wcale nie Oliver. Ma zbyt szerokie ramiona i za jasne włosy, a kiedy Hadley podnosi rękę, by osłonić oczy przed ukośnymi promieniami słońca, widzi, że jest dużo starszy od Olivera. Tak czy owak, płoszy się, gdy mężczyzna spogląda w jej stronę i napotyka jej spojrzenie po drugiej stronie dziedzińca. Choć teraz staje się jasne, że to jeden z braci Olivera, w jego oczach jest coś zdumiewająco znajomego. Żołądek podjeżdża jej do gardła. Dziewczyna wycofuje się, potyka i chowa za żywopłotem jak jakiś kryminalista.

Gdy szczęśliwie znika z widoku, ukryta za boczną ścianą kościoła, widzi ogrodzenie z kutego żelaza oplecione winoroślą. Za płotem znajduje się ogród z drzewami owocowymi i chaotycznie dobranymi kwiatami, kilka kamiennych ławek oraz fontanna, popękana i wyschnięta. Hadley idzie wzdłuż ogrodzenia, wodząc ręką po kutym metalu - chłodnym w dotyku - aż dociera do furtki.

W górze krzyczy ptak, dziewczyna obserwuje go, jak zatacza leniwe kręgi na skłębionym niebie. Chmury są grube jak wata, ze srebrzystymi refleksami od słońca, ona zaś usiłuje sobie przypomnieć, co Oliver mówił w samolocie. Tamto słowo zaczyna przybierać w jej myślach konkretny kształt: cumulus. Jedna jedyna chmura, która wydaje się jednocześnie wyimaginowana i prawdziwa.

Gdy Hadley zniża wzrok, on stoi po drugiej stronie ogrodu, co najmniej jakby zmaterializowało się jej marzenie. W garniturze wydaje się starszy, poważny i blady, kopie ziemię czubkiem buta, ma przygarbione ramiona i zwieszoną głowę. Obserwując go, Hadley czuje przypływ uczucia tak silnego, że ledwo hamuje się, by nie zawołać.

Zanim jednak zdąży cokolwiek zrobić, on się odwraca.

Jest jakiś inny, zdruzgotany, ma pustkę w oczach, co sprawia, że dziewczyna nabiera pewności, że popełniła błąd. Tymczasem on przytrzymuje ją spojrzeniem, przygważdża w miejscu, gdzie tkwi rozdarta pomiędzy chęcią ucieczki i przemożnym pragnieniem przecięcia dzielącej ich przestrzeni.

Stoją tak przez długą chwilę, nieruchomi jak posągi w ogrodzie. A ponieważ on nie daje żadnego znaku -ani gestu powitania, ani niczego, co sugerowałoby potrzebę kontaktu - Hadley przęłyka głośno ślinę i podejmuje decyzję.

Gdy już się odwraca, by odejść, słyszy jego głos za plecami, słowo otwierające drzwi, słowo oznaczające koniec i początek, słowo życzenie.

- Zaczekaj! - woła i Hadley się zatrzymuje.

## **ROZDZIAŁ 13**

**10:13 CZASU WSCHODNIOAMERYKAŃSKIEGO**

**15:13 CZASU GREENWICH**

- Co ty tu robisz? - pyta Oliver, wpatrując się w nią tak, jakby nie był do końca pewien, że ona rzeczywiście tam stoi.

- Nie przyszło mi do głowy - mówi cicho Hadley. - Tam, w samolocie...

On spuszcza wzrok.

- Nie przyszło mi do głowy - powtarza. - Tak mi przykro.

Chłopak ruchem głowy wskazuje kamienną ławkę parę metrów dalej, chropowate siedzisko wciąż jest wilgotne od padającego wcześniej deszczu. Podchodzą do niej oboje ze zwieszonymi głowami, w kościele zaczynają żałośnie rozbrzmiewać organy. Hadley już chce usiąść, lecz Oliver daje jej znak, żeby zaczekała, po czym ściąga marynarkę i kładzie ją na ławce.

- Sukienka - wyjaśnia, a Hadley spogląda na siebie, marszcząc czoło na widok fioletowego jedwabiu, jakby widziała go po raz pierwszy. Ten gest szerzej otwiera jej serce: w takich okolicznościach zatroszczył się o coś tak błędnego. Czyżby nie wiedział, że ta głupia sukienka kom--

pletnie jej nie obchodzi? Że dla niego Hadley chętnie zwinęłaby się w kłębek na trawie, położyła na gołej ziemi?

Nie potrafi odmówić, siada, muskając palcami miękkie fałdy marynarki. Oliver stoi nad nią, podwijając najpierw jeden, potem drugi rękaw koszuli, ze wzrokiem skupionym na jakimś punkcie poza ogrodem.

- Musisz tam wracać? - pyta Hadley, a on wzrusza ramionami i siada na ławce, zostawiając między nimi odległość kilkunastu centymetrów.

- Chyba tak - odpowiada, pochyla się do przodu i opiera łokcie na kolanach.

Jednak wcale nie rusza się z miejsca. Po chwili Hadley też siedzi zgięta wpool. Oboje z nienaturalnym zainteresowaniem obserwują trawę u swych stóp. Ona czuje, że jest mu winna jakieś wytłumaczenie, lecz on o to nie prosi, siedzą więc nieruchomo, a między nimi rozciąga się milczenie.

W domu w Connecticut, tuż za kuchennym oknem, jest wanienska dla ptaków, na którą Hadley zwykle patrzyła, zmywając naczynia. Do najczęstszych gości należała para wróbli, które zawsze walczyły o pierwszeństwo. Jeden podskakiwał dookoła krawędzi, ćwierkając donośnie, podczas gdy ten drugi zażywał kąpieli i na odwrót. Od czasu do czasu atakowały się nawzajem, trzepotały skrzydłami i znów odskakiwały do tyłu, marszcząc powierzchnię wody. I chociaż spędzały tam czas głównie na sprzeczkach, nieodmiennie przylatywały razem i nieodmiennie razem odlatywały.

Pewnego ranka zaskoczona ujrzała tylko jednego ptaka. Wylądował lekko na kamiennej krawędzi wanienski i tańczył dookoła, nie dotykając wody. Obracał zaokrągloną główkę to w jedną, to w drugą stronę z budzącym



litość bezgranicznym zdumieniem, aż Hadley wyrzła przez okno i zerknęła na niebo, chociaż wiedziała, że będzie puste.

W Oliverze jest w tej chwili coś podobnego, jakieś pełne roztargnienia pomieszanie, przez które wydaje się nie tyle smutny, co zagubiony. Hadley nigdy dotąd nie miała tak bliskiej styczności ze śmiercią. Jedyne trzy brakujące gałęzie rodzinnego drzewa genealogicznego należą do dziadków, którzy zmarli przed jej urodzeniem lub kiedy była zbyt mała, by odczuć ich nieobecność. Zawsze przypuszczała, że smutek tego rodzaju wygląda jak na filmach, spływające ciurkiem łzy i dławiący szloch, lecz tu, w tym ogrodzie nikt nie wygraża niebu pięściami, nikt nie pada na kolana i nikt nie przeklina losu.

Oliver wygląda za to tak, jakby miał za chwilę zwymiotować. Jego twarz przybrała szarawy odcień, tę bezbarwność, która rzuca się w oczy jeszcze mocniej na tle białej koszuli, i patrzy na nią beznamiętnie szeroko otwartymi oczami. Wyziera z nich cierpienie, jak gdyby zadano mu cios, a on nie potrafił do końca zlokalizować źródła bólu. Rwie mu się oddech.

- Przepraszam, że ci nie powiedziałem - mówi wreszcie.

- No co ty - odpowiada Hadley, kręcąc głową. - To ja przepraszam, że tak po prostu uznałam...

Znów zapada między nimi milczenie. Po chwili Oliver wzdycha.

- Trochę to dziwne, co?

- A dokładnie?

- Sam nie wiem - mówi z uśmiechem. - To, że zjawiasz się na pogrzebie mojego ojca?

- Ach - mówi Hadley. - To.

On opuszcza rękę i wyrywa z ziemi kilka źdźbeł trawy, skubiąc je w roztargnieniu.

- A właściwie to wszystko razem wzięte. Może Irlandczycy mają rację, robiąc z tego wielkie święto. Ponieważ ta cała heca... - wskazuje brodą kościół - ta cała heca to czyste szaleństwo.

Siedząca obok Hadley miętosi rąbek sukienki, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

- Choć nie powiem, żeby było co świętować - dodaje z goryczą, strącając na ziemię porwaną trawę. - Był kompletnym palantem. Nie ma co ukrywać.

Dziewczyna zaskoczona podnosi wzrok, lecz Oliver zdaje się odczuwać ulgę.

- Myślałem o tym co rano - mówi. - Właściwie przez ostatnich osiemnaście lat. - Spogląda na nią i się uśmiecha. - Jesteś trochę niebezpieczna, wiesz?

Ona wbija w niego spojrzenie. -Ja?

- No - potwierdza, odchylając się w tył. - Jestem z tobą zdecydowanie zbyt szczerzy.

Mały ptaszek ląduje na fontannie pośrodku ogrodu, oni zaś obserwują, jak na próżno dziobie kamień. Nie ma tam wody, tylko warstwa spękanego mułu i po chwili ptak odfruwa w kierunku odległej plamki na niebie.

- Jak to się stało? - pyta cicho Hadley, lecz Oliver nie odpowiada, nawet na nią nie patrzy. Za drzewami owocowymi rosnącymi wzdłuż ogrodzenia widzi, jak ludzie rozchodzą się do swoich samochodów, poszarzali jak cienie. Niebo nad nimi znów się zasnuło.

Po chwili chłopak chrząka.

- Jak poszło?

-Co?

- Ślub. Jak było?

Hadley wzrusza ramionami.

- W porządku.

- No, powiedz - prosi z błagalną miną i Hadley wzdycha.

- Okazuje się, że Charlotte jest miła - wyznaje, składając dłonie na kolanach. - Denerwująco miła.

Oliver uśmiecha się i zaczyna przypominać tamtego chłopaka z samolotu.

- A tato?

- Wygląda na szczęśliwego - odpowiada ochryplym głosem. Nie potrafi zdobyć się na napomknięcie o dziecku, jakby wypowiedzenie tej nowiny na głos mogło ją zmaterializować. Zamiast tego przypomina sobie o książce i sięga do leżącej obok torby. - Nie oddałam.

Oliver rzuca okiem na okładkę.

- Przeczytałam fragment po drodze - informuje Hadley. - Właściwie całkiem niezła.

Chłopak sięga po powieść, przerzuca kartki tak samo jak w samolocie.

- A tak w ogóle, jak mnie znalazłaś?

- Ktoś wspomniał coś o pogrzebie w Paddington - wyjaśnia, a on wzdyga się na słowo pogrzeb. - I sama nie wiem... Po prostu miałam przeczucie.

On kiwa głową, delikatnie zatrząskując książkę.

- Mój ojciec miał pierwsze wydanie tej powieści - mówi, wykrzywiając usta. - Trzymał ją w gabinecie na górnej półce i pamiętam, jak zaglądałem tam jako dziecko, wiedząc, że ma dużą wartość.

Oddaje książkę Hadley, która przytula ją do piersi i czeka na ciąg dalszy opowieści.

- Zawsze myślałem, że ma ona dla niego jakąś wartość nie z tych co trzeba powodów - mówi łagodniejszym już tonem. - Nigdy nie widziałem, by czytał coś prócz akt prawnych. Ale raz na jakiś czas, ni z tego, ni z owego, cytował wybrany fragment. - Śmieje się smutno. - Tak zupełnie od czapy. Jak śpiewający rzeźnik albo coś w tym guście. Stepujący księgowy.

- Może nie był taki, za jakiego go uważałeś... Oliver patrzy na nią surowo.

- Przestań.

- Co: przestań?

- Nie chcę o nim rozmawiać - wyjaśnia, oczy mu płoną. Pociera czoło, następnie przeczesuje dłonią włosy. Powiew wiatru przygina źdźbła trawy u ich stóp, zdmuchując ciężar z ich ramion. We wnętrzu kościoła raptownie milknie muzyka.

- Twierdzisz, że potrafisz być ze mną szczerzy? - pyta po chwili Hadley, zwracając się do przygarbionych ramion Olivera, który obraca się, by na nią spojrzeć. - Dobrze. Opowiadaj więc. Szczerze.

- O czym?

- O czym chcesz.

Ku jej zdziwieniu w tym momencie Oliver ją całuje. Nie tak jak na lotnisku, delikatnie i miękko, i pożegnalnie. Ten pocałunek jest bardziej nagły, bardziej desperacki. On mocno przyciska wargi do jej ust, a Hadley zamyka oczy i pochyla się, by odwzajemnić pocałunek, po czym równie nagle Oliver odrywa się od niej i patrzą na siebie.

- Nie to miałam na myśli - mówi Hadley, a chłopak posyła jej szelmowski uśmiech.

- Mówiłaś, żebym był szczerzy. To była najszczerza rzecz, jaką zrobiłem przez cały dzisiejszy dzień.

- Chodziło mi o twojego tatę - prostuje i czuje rumieniec wypływający na policzki wbrew jej woli. - Może gdybyś się wygadał, doznałbyś ulgi. Gdybyś tak...

- Co? Powiedział, że mi go brakuje? Że jestem kompletnie rozwalony? Że to najgorszy dzień w moim życiu? - Zrywa się z miejsca i przez krótką, acz przerażającą chwilę Hadley odnosi wrażenie, że Oliver ma zamiar odejść. Jednak zamiast tego zaczyna krążyć przed ławką tam i z powrotem, wysoki, szczupły i przystojny, w samej koszuli. Zatrzymuje się, nagle odwraca, by spojrzeć jej w twarz, a ona widzi gniew wypisany na jego twarzy.

-Słuchaj, dzisiejszy dzień... Ostatni tydzień... Nic tylko fałsz. Uważasz, że twój tato jest okropny, bo zrobił to, co zrobił? On był przynajmniej uczciwy. Miał odwagę odejść. I wiem, że chociaż to też do bani, ale wygląda na to, że jest szczęśliwy i twoja mama jest szczęśliwa, więc w ostatecznym rozrachunku wszyscy dobrze na tym wyszliście.

„Wszyscy prócz mnie”, myśli Hadley, ale milczy. Oliver znów zaczyna spacerować, ona śledzi jego ruchy jak piłkę na meczu tenisa, tam i z powrotem, tam i z powrotem.

- A mój tato? Oszukiwał mamę latami. Twój miał jeden romans, który przerodził się w miłość, zgadza się? Przerodził się w małżeństwo. Gra w otwarte karty i wszyscy zyskali wolność. Mój miał dobre kilkanaście romansów, może i więcej, a najgorsze jest to, że wszyscy o tym wiedzieliśmy. I nikt nie pisał na ten temat ani słowa. Gdzieś ktoś zdecydował, że będziemy po prostu cierpieć

w milczeniu, i tak właśnie było. Ale wiedzieliśmy - mówi, garbiąc się.  
- Wiedzieliśmy.

- Oliver - zaczyna Hadley, lecz on potrząsa głową.

- Dlatego nie - wzrusza lekko ramionami. - Nie chcę rozmawiać o tacie. Był cholernym draniem, nie tylko z powodu romansów, lecz także na milion innych sposobów. A ja ze względu na mamę przez całe życie udawałem, że jest w porządku. Teraz już go nie ma i mam dość robienia dobrej miny do złej gry. - Zwija dłonie w pięści i zaciska usta w wąską nitkę. - Czy wypowiedziałem się wystarczająco szczerze jak na twój gust?

- Oliver... - powtarza Hadley, odkładając na bok książkę i wstając z ławki.

- Jest w porządku - mówi chłopak. - Jest okej.

Z dala ktoś go woła, a chwilę później przy furtce zjawia się dziewczyna o ciemnych włosach i w jeszcze ciemniejszych okularach przeciwsłonecznych. Nie może być wiele starsza od Hadley, lecz ma w sobie jakąś pewność, jakąś swobodę, która sprawia, że Hadley czuje się w porównaniu z nią psychicznie rozmamłana.

Dziewczyna staje na ich widok jak wryta, wyraźnie zaskoczona.

- Już czas, Ollie - mówi, przesuwając okulary na głowę. - Kondukt zaraz wyruszy.

Oliver wciąż nie spuszcza oczu z Hadley.

- Jedną minutkę - prosi, nie patrząc na nią, a dziewczyna waha się, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć, lecz potem odwraca się z lekkim wzruszeniem ramion.

Kiedy odchodzi, Hadley zmusza się do ponownego spojrzenia Oliverowi w oczy. Pojawienie się dziewczyny sprawiło, że czar ogrodu prysł i teraz Hadley w pełni

zdaje sobie sprawę z głosów za żywoplotem, trzaskania drzwi samochodów, szczekania psa w oddali. On nadal nie rusza się z miejsca.

- Przepraszam - mówi cicho Hadley. - Nie powinnam była przychodzić.

- Nie - odpowiada Oliver, a ona mruga powiekami, starając się ze wszystkich sił usłyszeć coś innego, co kryje się w tym słowie, pod nim lub wokół niego. „Nie odchodź” albo „Proszę cię, zostań”, albo „Mnie też jest przykro”. On mówi jedynie: - Nie ma sprawy.

Hadley przestępuje z nogi na nogę, obcasy grzęzną w miękkiej ziemi.

- Powinnam już pójść - oznajmia, lecz jej wzrok mówi: „Próbuję”, a dłonie, drżąc z wysiłku, by nie wyciągnąć się ku niemu, mówią: „Proszę”.

- Tak - odpowiada Oliver. - Ja też.

Żadne z nich nie rusza się z miejsca i Hadley uświadamia sobie, że wstrzymuje oddech. „Poproś, żebym została”.

- Fajnie było znów cię zobaczyć - mówi sztywno chłopak i ku jej rozczarowaniu podaje rękę. Ona ujmuje ją ostrożnie i trwają tak pomiędzy uściskiem a potrząsaniem, ich złączone dłonie kołyszają się, aż Oliver w końcu zwalnia uścisk.

- Powodzenia - życzy Hadley, choć nie jest do końca pewna, co się za tym kryje.

- Dzięki - odpowiada chłopak i kiwa głową. Bierze marynarkę i zarzuca ją sobie na ramię. Gdy odwraca się z zamiarem przejścia przez ogród, żołądek podjeżdża Hadley do gardła. Dziewczyna zamyka oczy przed powodzią słów, które do niej nigdy nie dotarły, przed tym wszystkim, co zostało przemilczane.

A gdy otwiera je ponownie, jego już nie ma.

Torebka leży wciąż na ławce i gdy Hadley przysuwa się, by ją zabrać, opada na wilgotny kamień, zginając się ze znużeniem jak ktoś, kto przeżył potężną nawałnicę. Nie powinna była tu przychodzić. Teraz jest to dla niej jasne. Słońce zniża się na niebie i choć powinna w tej chwili znajdować się zupełnie gdzie indziej, rozpęd, który wcześniej popychał ją do działania, teraz całkowicie zaniknął.

Bierze do ręki egzemplarz *Naszego wspólnego przyjaciela* i wertuje go w roztargnieniu. Gdy książka otwiera się na kartce z oślimi uszami, Hadley zauważa, że zagięcie sięga aż do połowy strony niczym strzała, której grot wskazuje linijkę dialogu: *Nie może być zbyt cenny na tym świecie nikt, kto jego brzemień czyni znośniejszym dla bodaj jednego człowieka.*

Kilka minut później, gdy Hadley przechodzi obok kościoła, widzi rodzinę zgromadzoną w otwartych drzwiach. Oliver jest odwrócony do niej plecami, marynarka nadal zwisa mu z ramienia, a dziewczyna - ta sama, która natknęła się na nich w ogrodzie - stoi obok niego. Jest coś opiekuńczego w sposobie, w jaki dłoń dziewczyny spoczywa w zagięciu jego łokcia, i na ten widok Hadley przyśpiesza nieco kroku, policzki jej czerwienieją, mimo że nie bardzo rozumie dlaczego. Przemyka obok tych dwojga, obok figury o niewzruszonym spojrzeniu, obok kościoła, wieży i rzędu czarnych samochodów ustawionych w szeregu, gotowych zawieźć żałobników na cmentarz.

Dosłownie w ostatniej chwili kładzie książkę na masce pierwszego samochodu. A potem, zanim ktokolwiek zdąży ją zatrzymać, ponownie rusza przed siebie ulicą.



## **ROZDZIAŁ. 14**

**11:11 CZASU WSCHODNIOAMERYKAŃSKIEGO**

**16:11 CZASU GREENWICH**

Gdyby domagano się od niej jakichkolwiek szczegółowych informacji na temat drogi powrotnej do Kensington - kiedy przesiadła się na inną linię metra, kto siedział obok niej, jak długo trwała podróż - Hadley miałaby kłopot z udzieleniem odpowiedzi. Stwierdzenie, że droga zatarła się w jej pamięci, zakłada, że potrafiłaby sobie przypomnieć przynajmniej jakiś jej fragment, choćby bardzo zamazany, tymczasem gdy ponownie wychodzi na światło dzienne na stacji Kensington, dopada ją nieprzyjemne wrażenie przeskoku w czasie.

Widocznie szok - czy jakkolwiek nazwać to, co w tej chwili odczuwa - należy do skutecznych leków na klaustrofobię. Przez ostatnie pół godziny jechała metrem, cały czas pod ziemią, ledwie to zauważając, i ani razu nie zmuszała się do myślenia o czymś innym. Miejsce pobytu było nieistotne, głowę i tak miała w chmurach.

Uzmysławia sobie, że zostawiła w książce zaproszenie na przyjęcie weselne, i chociaż wie, że hotel znajduje się w pobliżu kościoła, a zatem gdzieś w okolicy, za żadne

skarby nie może przypomnieć sobie jego nazwy. Violet byłaby zbulwersowana.

Kiedy jednak otwiera telefon, by zadzwonić do taty, zauważa wiadomość i jeszcze przed wklepaniem hasła wie, że na pewno jest od mamy. Nawet nie zaprzęta sobie głowy jej wysłuchaniem, oddzwania od razu, nie chcąc ryzykować, że mama znów się jej wymknie.

A jednak się wymyka.

Znów włącza się poczta głosowa i Hadley wzdycha.

Wszystko, czego pragnie, to porozmawiać z mamą, opowiedzieć jej o tacie i dziecku, o Oliverze i jego ojcu, o tym, jak cała ta wyprawa okazuje się jedną wielką pomyłką.

Wszystko, czego pragnie, to udawać, że ostatnich kilku godzin nigdy nie było.

W gardle czuje gulę wielką niczym pięść, gdy myśli o tym, jak Oliver zostawił ją w przykościelnym ogrodzie, o tym, jak jego oczy - które z taką uwagą obserwowały ją w samolocie - były wpatrzone w ziemię.

I jeszcze tamta dziewczyna. Hadley jest absolutnie pewna, że to jego była sympatia - ten poufały sposób bycia, pocieszająca dłoń na ramieniu. Jedyne, czego nie jest pewna, to ta „byłość”. Patrzyła na niego z taką zaborczością, jakby rościła sobie do niego prawo nawet z daleka.

Hadley osuwa się po ścianie czerwonej budki telefonicznej, zażenowana świadomością, jak idiotycznie musiała wyglądać, odnajdując go tam w ogrodzie. Stara się nie myśleć o tym, co zapewne o niej teraz mówią, ale rozmaite możliwości i tak sączą się jej do głowy: Oliver wzruszający ramionami w odpowiedzi na pytanie dziewczyny, przedstawiający Hadley jako jakąś dziewczynę poznaną w samolocie.

Przez cały ranek nosiła ze sobą wspomnienie minionej nocy, wyobrażenie Olivera pełniącego funkcję tarczy chroniącej ją przed dniem, a teraz wszystko zaprzepaszczone. Nawet wspomnienie tego ostatniego pocałunku to za mało, by ją pocieszyć. Ponieważ prawdopodobnie już nigdy go nie zobaczy, a sposób, w jaki się rozstali, wystarczy, by zwinąć się w tej sekundzie w ciasną kulkę tutaj, na rogu ulicy.

Trzymany w rękę telefon zaczyna dzwonić, Hadley spogląda na wyświetlacz i widzi numer taty.

- Gdzież ty się podziewasz? - pyta tato, ona zaś rozgląda się w lewo i prawo.

- Jestem prawie na miejscu - odpowiada, nie do końca pewna, gdzie właściwie jest owo miejsce.

- Gdzieś ty była? - pada kolejne pytanie, a po głosie Hadley poznaje, że ojciec jest wściekły. Po raz już nie wiadomo który tego dnia żałuje, że nie może po prostu wrócić do domu. Tymczasem czeka ją jeszcze przyjęcie weselne, taniec z rozgniewanym tatą, wlepione w nich spojrzenia. Musi jeszcze złożyć młodej parze życzenia szczęścia i ścierpieć krojenie tortu, a potem spędzić siedem godzin w podróży powrotnej przez Atlantyk u boku kogoś, kto nie narysuje jej kaczki na serwetce, kto nie zwędzi dla niej buteleczki whisky, kto nie będzie próbował pocałować jej pod drzwiami toalety.

- Musiałam zobaczyć się z przyjacielem - wyjaśnia, a tato chrząka.

- A co dalej? Wypad do Paryża na spotkanie z kumpelą? -Tato...

Ojciec wzdycha.

- Mogłabyś mieć lepsze wyczucie czasu, Hadley.

- Wiem.

- Martwiłem się - przyznaje ojciec i Hadley słyszy, jak surowość w jego głosie zaczyna słabnąć. Była tak skoncentrowana na odnalezieniu Olivera, że w ogóle nie przyszło jej do głowy, że tato mógłby się niepokoić. Złościć się - tak, ale martwić? Minęło tyle czasu, od kiedy odgrywał rolę zatroskanego rodzica, a poza tym jest to jego dzień weselny. Teraz jednak dziewczyna rozumie, jak bardzo jej wyprawa mogła go wystraszyć, i sama także zaczyna mięknąć.

- Nie pomyślałam - przyznaje. - Przepraszam.

- Ile czasu zajmie ci dotarcie na miejsce?

- Niedużo - odpowiada. - Naprawdę niedużo. Ojciec znów wzdycha.

- To dobrze.

- Ale tato? - Tak?

- Możesz mi przypomnieć, gdzie jest to miejsce? Dziesięć minut później z pomocą jego wskazówek

Hadley trafia do lobby hotelu Kensington Arms, rozłożystej rezydencji, która wydaje się nie na miejscu pośród tłocznych ulic miasta, jakby wyrwano ją z wiejskiego pejzażu i podrzucono tutaj, do Londynu na chybił trafił. Podłogi są wyłożone na przemian czarnym i białym marmurem niczym ogromna szachownica, są tu wielkie kręcone schody z mosiężnymi poręczami, które giną gdzieś poza płaszczyzną zdobionego żyrandolami sufitu. Za każdym razem, gdy ktoś wchodzi przez obrotowe drzwi, do środka wdziera się wraz z nim słaby zapach rzeki, powietrze z zewnątrz aż ciężkie jest od wilgoci.

Kiedy dziewczyna dostrzega swoje odbicie w jednym z luster wiszących za ladą recepcji, szybko spuszcza wzrok. Inne druchny będą rozczarowane, że ich ciężka

praca poszła na marne: sukienka jest wygnieciona do tego stopnia, że wygląda tak, jakby Hadley przez cały dzień nosiła ją w torebce, a włosy - które były tak perfekcyjnie ułożone - teraz się rozsypują, przypadkowe kosmyki opadają na twarz, upięty z tyłu kok szpetnie zwisa.

Mężczyzna za kontuarem kończy rozmowę telefoniczną, odkładając słuchawkę wprawnym, zamaszystym ruchem nadgarstka, po czym zwraca się do Hadley:

- Mogę w czymś pomóc?

- Szukam przyjęcia weselnego państwa Sullivanow -informuje, a mężczyzna spogląda do kalendarza.

- Obawiam się, że jeszcze się nie rozpoczęło - odpowiada urywanym akcentem. - Odbędzie się w sali balowej Churchilla punktualnie o osiemnastej.

- Tak, tak - mówi Hadley. - Właściwie szukam tylko pana młodego.

- Ach, oczywiście - odpowiada recepcjonista, telefonując do pokoju i mamrocząc coś do aparatu, nim ponownie odłoży słuchawkę i rzeczowo skinie głową w stronę Hadley. - Apartament czterdzieści osiem. Już oczekują.

- Nie wątpię - kwituje, kierując się do windy.

Gdy puka do drzwi apartamentu, jest tak pochłonięta przygotowaniem się na pełen dezaprobaty mars na czołe ojca, widok Violet po drugiej stronie drzwi ogromnie ją zaskakuje. Choć o braku dezaprobaty akurat nie może być mowy.

- Co się z tobą działo? - pyta druhna, mierząc Hadley wzrokiem po czubki butów i burcząc: - Przebiegłaś maraton czy co?

- Na dworze jest gorąco - wyjaśnia Hadley, spoglądając bezradnie na sukienkę. Po raz pierwszy zauważa, że

na domiar złego na jej rąbku widnieje plama w kształcie przecinka. Violet wypija łyk szampana z kieliszka upaćkanego śladami szminki i szacuje szkody znad brzegu szkła. Za jej plecami Hadley dostrzega około tuzina osób siedzących na ciemnozielonych kanapach, tacę z warzywnymi przekąskami na stole oraz kilka butelek szampana w kubałkach z lodem. Z głośników sączy się cicha muzyka, jakiś lekko usypiający, instrumentalny utwór, lecz ponad tym wszystkim słychać więcej głosów za rogiem.

- Zdaje się, że będziemy musiały jeszcze raz doprowadzić cię do porządku przed przyjęciem - stwierdza z westchnieniem Violet, a Hadley z wdzięcznością kiwa głową w chwili, gdy zaczyna dzwonić jej telefon - który ściska wciąż w spoczonej dłoni. Gdy rzuca okiem na wyświetlacz, uświadamia sobie, że telefonuje tato, który prawdopodobnie zachodzi w głowę, co też zajmuje jej tyle czasu.

Violet unosi brew.

- Profesor?

- To tylko mój tato - prostuje Hadley, żeby Violet nie pomyślała sobie, że odbiera jakieś dziwne transatlantyckie połączenia od nauczyciela. Spoglądając ponownie na komórkę, odczuwa nagłe przygnębienie, ponieważ to, co kiedyś wydawało się zabawne, teraz jest odrobinę smutne. Nawet w tym najdrobniejszym z gestów, najgłupszym z przezwisk wyczuwa się jakiś dystans.

Violet odsuwa się na bok jak bramkarz w ekskluzywnym klubie, wprowadzając Hadley do środka.

- Nie zostało nam dużo czasu - mówi, a Hadley nie może powstrzymać uśmiechu, gdy zamyka za sobą drzwi.

- O której się zaczyna?

Violet przewraca oczami, nawet nie zadając sobie trudu zaszczycenia tego pytania odpowiedzią, a potem ponownie wycofuje się do pokoju i sadowi wygodnie na krześle w swojej pozbawionej jakichkolwiek zagnieceń sukience.

Hadley kieruje się prosto do niewielkiego salonu z boku, który łączy sypialnię z pozostałą częścią apartamentu. W środku zastaje tatę wraz z kilkoma innymi osobami stłoczonymi wokół laptopa. Przed komputerem siedzi Charlotte, jej suknia ślubna układa się dookoła niej jak warstwa lukru i chociaż Hadley nie widzi ze swojego miejsca ekranu, jest rzeczą oczywistą, że trwa jakiś pokaz zdjęć.

Przez chwilę zastanawia się nad ponownym daniem dyla. Nie ma ochoty na oglądanie ich fotografii ze szczytu wieży Eiffla czy też jak stroją śmieszne miny w pociągu albo karmią kaczki przy stawie w Kensington Gardens. Nie chce patrzeć na zdjęcia z przyjęcia urodzinowego taty w pubie w Oksfordzie. Nie potrzebuje przypominania, że jej na nim nie było, że tak naprawdę obudziła się tamtego ranka, czując, jak ten dzień ciąży jej niczym kamień u szyi, jak wlecze się przez lekcje geometrii i chemii, aż po lunch w stołówce, kiedy to grupka futbolistów odśpiewała żartobliwą wersję *Happy Birthday* Lucasowi Heywardowi, pechowemu graczowi. Pod koniec ich koszmarnego wycia Hadley z zaskoczeniem odkryła, że z precla, który trzymała w ręku, nie pozostało nic więcej jak garść okruszków.

Nie potrzebuje zdjęć, by wiedzieć, że nie jest już częścią jego życia.

On zauważa ją jako pierwszy, jej tato, i choć Hadley jest przygotowana na tysiąc różnych reakcji - złość, że się oddaliła, irytację, że się spóźniła, ulgę, że nic się jej nie

stało - nie jest gotowa na jedno: na jej widok wyraz jego oczu mówi wszystko, jest w nim coś z uznania, coś na kształt przeprosin.

I w tej samej chwili Hadley żałuje, że sprawy nie ułożyły się inaczej. Nie tak, jak marzyła wcześniej od miesięcy, tym razem nie jest to bowiem gorzkie, pokręte pragnienie, lecz płynące z głębi serca. Hadley nie przypuszczała, że można tęsknić za kimś, kogo ma się na wyciągnięcie ręki, a oto proszę: tęskni za tatą tak bardzo, że niemal rozkłada ją to na łopatki. Nagle ilość czasu, jaką strawiła na próbach wypchnięcia go ze swego życia, wydaje się potwornym bezsenssem. Patrząc na niego teraz, nie potrafi uwolnić się od myśli o ojcu Olivera, o tym, jak można stracić kogoś na wiele gorszych sposobów, o rzeczach dalece bardziej ostatecznych, rzeczach, które mogą ranić znacznie głębiej.

Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, zanim jednak słowa zaczynają nabierać kształtu, ubiega ją Charlotte.

- Jesteś! - wykrzykuje. - Martwiliśmy się.

W sąsiednim pokoju słychać brzęk tłukącego się szkła i Hadley się wzdryga. Teraz są na nią zwrócone oczy wszystkich w salonie, a ściany pokryte kwiecistym wzorem wydają się o wiele za blisko.

- Wybrałaś się na zwiedzanie? - pyta Charlotte z takim zainteresowaniem, z tak autentycznym entuzjazmem, że Hadley znów ściska się serce. - Dobrze się bawiłaś?

Tym razem, kiedy patrzy w stronę taty, coś w wyrazie jej twarzy skłania go do wstania z poręczy fotela Charlotte, na której przycupnął.

- Nic ci nie jest, mała? - pyta, przechylając na bok głowę. Hadley ma zamiar potrząsnąć co najwyżej głową albo

wzruszyć ramionami, lecz ku jej zdziwieniu w gardle ro-



dzi się szloch, który wzbiera jak fala. Dziewczyna czuje, jak jej twarz się kurczy i do oczu napływają pierwsze łzy.

Nie z powodu Charlotte ani innych gości w salonie i nawet nie z powodu taty. To przez ten dzień, który ma za sobą. Przez ten dziwny i zaskakujący dzień. Nigdy czas nie wydawał się tak ciągnąć w nieskończoność. I choć Hadley wie, że to nic więcej jak tylko zbiór minut, a wszystkie połączone są ze sobą niczym nanizane na żyłkę paciorki, teraz widzi, jak łatwo zamieniają się w godziny, jak szybko miesiące mogą dokładnie w taki sam sposób rozciągnąć się w lata, jak bliska była utraty czegoś tak ważnego w nieubłaganym upływie czasu.

- Hadley? - mówi tato, odstawiając na bok szklanę i robiąc krok w jej stronę. - Co się stało?

Rozkleja się nie na żarty, wsparta o framugę drzwi, a kiedy czuje, jak płyną pierwsze łzy, myśli - absurdalnie

- o Violet i o kolejnym kłopotcie, jakiego im przysparza: doprowadzeniu jej po raz drugi do porządku.

- Hej - mówi tato, gdy staje u jej boku, jego silna ręka łąduje na jej ramieniu.

- Przepraszam - odpowiada Hadley. - To był naprawdę długi dzień.

- Zapewne - przyznaje tato, ona zaś niemal widzi, jak świta mu w głowie pewna myśl, jak zapala się światełko.

- Zapewne - powtarza. - A więc czas poradzić się słońca.

## **ROZDZIAŁ. 15**

**11:47 CZASU WSCHODNIOAMERYKAŃSKIEGO**

**16:47 CZASU GREENWICH**

Nawet gdyby tato nadal mieszkał w ich domu w Connecticut. Nawet gdyby Hadley wciąż każdego ranka siadała naprzeciwko niego w piżamie przy śniadaniu i co wieczór wołała przez korytarz dobranoc przed położeniem się do łóżka, nawet wtedy rozmawiałyby o pewnych rzeczach tylko z mamą. Bez względu na obecność czy nieobecność ojca, siedzenie przy córce, gdy płacze z powodu chłopaka, jest kategorycznie i zdecydowanie działką mamy.

A oto siedzi przy niej tata, w tym momencie jedyna i najlepsza osoba. Hadley wyrzuca z siebie całą historię jak długo skrywaną tajemnicę. Tato podsunął sobie krzesło do łóżka i siadał na nim okrakiem z rękoma wspartymi na oparciu, Hadley jest wdzięczna, że przynajmniej tym razem nie ma tej swojej profesorskiej miny, kiedy to przekrzywia głowę na bok i jego wzrok staje się beznamiętny, a twarz nabiera wyrazu czegoś, co przypomina uprzejme zainteresowanie.

Nie, w sposobie, w jaki teraz na nią patrzy, jest coś głębszego. Tak patrzył na nią, gdy jako dziecko zdarła sobie skórę z kolana po upadku z roweru, jak tamtego wie-

czoru, kiedy upuściła słoik wiśni na kuchenną podłogę i wdepnęła w odłamek szkła. I coś w tym jego spojrzeniu poprawia jej samopoczucie.

Tuląc do siebie jedną z wielu ozdobnych poduszek leżących na eleganckim łożu, Hadley opowiada o poznaniu Olivera na lotnisku i o tym, jak zamienił się ze starszą panią miejscami w samolocie. Opowiada, jak pomógł jej poskromić klaustrofobię, odwracając jej uwagę głupimi pytaniami, ratując ją przed jej własnymi myślami, tak jak niegdyś czynił to tato.

- Pamiętasz, jak mówiłeś, żebym wyobrażała sobie niebo? - pyta, a tato przytakuje skinieniem głowy.

- Nadal działa?

- Aha - odpowiada Hadley. - To jedyne, co nigdy nie zawodzi.

Tato pochyla głowę, lecz Hadley zauważa, jak zaczynają drgać mu usta, jak rodzi się uśmiech.

Tuż za drzwiami czekają goście weselni, jest tam panna młoda, są butelki z szampanem i jest też harmonogram, którego należy się trzymać, porządek dnia. Kiedy jednak ojciec siedzi tak i słucha, sprawia wrażenie, jakby znajdował się we właściwym miejscu. Jakby nie mogło istnieć nic ważniejszego. Nic ważniejszego od niej. A zatem Hadley opowiada dalej.

Mówi o rozmowie z Oliverem, o długich godzinach, kiedy nie mieli nic innego do roboty, o tym, jak siedzieli ramię przy ramieniu ponad bezkresnym oceanem. Mówi o absurdalnych projektach badawczych Olivera i o filmie z kaczkami, i o tym, jak głupio założyła, że on także leci na ślub. Mówi mu nawet o whisky.

Nie wspomina o pocałunku przy odprawie celnej.

Zanim dociera do momentu, jak zgubiła go na lotnisku, opowiada tak szybko, że aż płacze jej się język. Jakby otworzyła się w niej jakaś śluza i nie była w stanie powstrzymać potoku słów. Kiedy mówi o pogrzebie w Paddington i o tym, że jej najgorsze przypuszczenia okazały się prawdziwe, ojciec wyciąga rękę i kładzie ją na jej dłoniach.

- Powinnam była ci powiedzieć - mówi Hadley i ociera nos wierzchem dłoni. - Właściwie w ogóle nie powinnam była tam jechać.

Tato milczy, a Hadley jest mu za to wdzięczna. Nie bardzo wie, jak ubrać w słowa dalszy ciąg opowieści, tamten wyraz oczu Olivera, tak poważny i mroczny jak nadciągająca z oddali burza. Tuż za drzwiami rozlega się wybuch śmiechu, po którym rozbrzmiewają pojedyncze oklaski. Hadley robi wdech.

- Staralam się pomóc - oznajmia cicho, ale wie, że to nie jest do końca prawda. - Chciałam znów go zobaczyć.

- To urocze - odpowiada tata, a Hadley kręci głową.

- Wcale nie. Przecież znałam go zaledwie od kilku godzin. To idiotyczne. Bez sensu.

Tato się uśmiecha, po czym poprawia przekrzywioną muchę.

- Tak to już działa, dzieciaku - kwituje. - Miłość nie musi mieć sensu. Jest całkowicie pozbawiona logiki.

Hadley zadziera głowę.

- No co? - pyta tato.

- Nic - odpowiada. - Tylko że mama powiedziała dokładnie to samo.

- O Oliverze?

- Nie, tak ogólnie.

- Inteligentna kobieta z tej twojej mamy - komplementuje, a sposób, w jaki to robi - bez cienia ironii, bez krztyny zadufania - skłania Hadley do zadania jedyne pytania, którego starała się nie wypowiadać na głos od ponad roku.

- Dlaczego więc ją opuściłeś?

Tato otwiera usta, a potem odchyła się w tył, jakby słowa były jakimś fizycznym ciosem.

- Hadley - zaczyna przyciszonym głosem, lecz ona gwałtownie kręci głową.

- Mniejsza o to - mówi. - Nieważne.

Jednym ruchem tato zrywa się na równe nogi i Hadley sądzi, że pewnie ma zamiar wyjść z pokoju. Tymczasem on siada obok niej na łóżku. Ona przesuwa się tak, by siedzieli bok przy boku, by nie musieli na siebie patrzeć.

- Nadal kocham twoją mamę - odzywa się spokojnym głosem i Hadley już chce mu przerwać, lecz on nie dopuszcza jej do głosu. - Teraz oczywiście to uczucie wygląda inaczej. I dochodzi do tego spore poczucie winy, lecz ona wciąż wiele dla mnie znaczy. Musisz to wiedzieć.

- Więc jak mogłeś...

- Odejść?

Dziewczyna kiwa głową.

- Musiałem - odpowiada po prostu - ale nie zamierzałem opuszczać ciebie.

- Przecież przeprowadziłeś się do Anglii.

- Wiem - wzdycha. - To nie z twojego powodu.

- Pewnie - mówi Hadley, czując w środku znajomą iskrę gniewu. - Miałeś inny powód.

Chce, żeby się spierał, odpowiedział na atak, odegrał rolę samolubnego faceta przeżywającego kryzys wieku

średniego, takiego, jakiego obraz budowała sobie w wyobraźni przez wszystkie te dni, tygodnie i miesiące. Zamiast tego on po prostu siedzi ze zwieszoną nisko głową, z rękoma złożonymi na kolanach, z absolutnie zgnębionym wyrazem twarzy.

- Zakochałem się - wyznaje bezradnie. Muszka znów przekręciła mu się na bok i Hadley przypomina sobie, że mimo wszystko jest to przecież dzień jego ślubu. Ojciec z roztargnieniem pociera brodę, utkwivszy wzrok w drzwiach. - Nie oczekuję od ciebie zrozumienia. Wiem, że dałem plamę. Wiem, że jestem najgorszym ojcem na świecie. Wiem, wiem, wiem. Uwierz mi, wiem.

Hadley zachowuje milczenie, czekając na ciąg dalszy. Bo cóż ma powiedzieć? Wkrótce urodzi mu się kolejne dziecko, będzie miał szansę zacząć wszystko od nowa. Tym razem może lepiej wywiąże się z zadania. Tym razem może znajdzie się na właściwym miejscu we właściwym czasie.

Ojciec przyciska palce do nasady nosa, jakby chciał odegnąć ból głowy.

- Nie oczekuję od ciebie przebaczenia. Wiem, że nie można cofnąć czasu, ale chciałbym zacząć jeszcze raz, jeśli tylko będziesz gotowa dać mi szansę. - Ruchem głowy wskazuje sąsiedni pokój. - Wiem, że wszystko się zmieniło i że zajmie to trochę czasu, ale naprawdę chciałbym, żebyś była częścią także mojego nowego życia.

Hadley spuszcza wzrok na sukienkę. Zmęczenie, z którym walczy od wielu godzin, zaczyna zakradać się niepostrzeżenie jak dobijająca do brzegu fala, spowijająca ją jak naciągnięty koc.

- Nasze dawne życie całkowicie mi odpowiadało - zauważa ze zmarszczonym czołem.

- Wiem, ale teraz też cię potrzebuję.
- Mama również.
- Wiem.
- Chciałabym tylko...
- Co?
- Żebyś nie odchodził.
- Wiem - odpowiada po raz setny. Hadley czeka, aż zacznie ją przekonywać, że tak jest lepiej dla nich wszystkich, co zawsze powtarza jej mama podczas takich rozmów.

On jednak tego nie robi.

Hadley zdmuchuje z twarzy luźny kosmyk włosów. Co mówił wcześniej Oliver? Że jej tato miał odwagę odejść. Zastanawia się teraz, czy to rzeczywiście prawda. Trudno wyobrazić sobie, jak wyglądałoby ich życie, gdyby po prostu przyjechał do domu na Boże Narodzenie, tak jak było w planach i zostawił Charlotte samą. Czy tak byłoby lepiej? Czy przypominaliby raczej rodzinę Olivera, w której ciężar nieszczęścia przytłaczałby każdego z nich, dławiąc ich i tłamsząc w upiornym milczeniu? Hadley zdaje sobie doskonale sprawę, że zwykłe przemilczenie może rozdać się do większych rozmiarów niż same słowa, tak jak stało się to między nią a tatą, tak jak mogło stać się między nim a mamą, gdyby sprawy potoczyły się inaczej. Czy rzeczywiście było to lepsze dla wszystkich? Nie wiadomo.

Wiadomo za to jedno: tato jest w tej chwili szczęśliwy. Widać to na jego twarzy, nawet teraz, gdy siedzi skulony na skraju łóżka jak kupka nieszczęścia, bojąc się spojrzeć jej w twarz. Nawet teraz w jego oczach płonie światło, które nie chce zgasnąć. To jest takie samo światło, jakie Hadley widzi w oczach mamy, kiedy jest w towarzystwie Harrisona.

To samo światło, które, jak się jej wydaje, ujrzała w oczach Olivera w samolocie.

- Tato? - mówi, a jej głos rozbrzmiewa cichutko. - Cieszę się, że jesteś szczęśliwy.

Ojciec nie potrafi ukryć swego zaskoczenia.

- Naprawdę?

- No pewnie.

Milczą przez chwilę, a potem on znów rzuca jej spojrzenie.

- Wiesz, co uszczęśliwiłoby mnie jeszcze bardziej? Hadley wyczekująco unosi brwi.

- Gdybyś czasem nas odwiedziła. - Nas?

On uśmiecha się szeroko.

- Tak, w Oksfordzie.

Hadley próbuje sobie wyobrazić, jak może wyglądać ich dom, lecz potrafi jedynie przywołać obraz jakiegoś wiejskiego angielskiego domku, który zapamiętała z filmu. Zastanawia się, czy jest tam dla niej pokój, ale nie umie zebrać się w sobie i o to zapytać. Nawet jeśli jest, i tak wkrótce zostanie pewnie przerobiony na pokój dziecięcy.

Zanim zdąży odpowiedzieć, ktoś puka do drzwi i oboje oglądają się za siebie.

- Proszę! - woła tato i w progu ukazuje się Violet. Hadley z rozbawieniem patrzy, jak kobieta kołysze się leciutko na obcasach z pustym kieliszkiem w ręku.

- Zostało pół godziny - oznajmia, wymachując w ich stronę zegarkiem. Za jej plecami Hadley dostrzega Charlotte usadowioną wygodnie na wyściełanym fotelu i otoczoną pozostałymi druhami.



- Nie śpieszcie się! - woła do nich. - Przecież nie mogą zacząć bez nas. Tato zerka na Hadley, potem wstaje i delikatnie klepie ją po ramieniu.

- Myślę, że i tak już wszystko tutaj załatwiliśmy - mówi, a kiedy Hadley rusza za nim, kątem oka dostrzega w lustrze swoje odbicie, zapuchnięte powieki i całą resztę.

- Chyba przydałaby mi się mała...

- Załatwione - wtrąca Violet, biorąc ją pod ramię. Daje znak pozostałym kobietom, które odstawiają kieliszki i jak jeden mąż pędzą do łazienki. Gdy cisną się wokół lustra, każda z jakimś przyborem w rękę - szczotką do włosów lub grzebieniem, tuszem do rzęs albo lokówką - Violet rozpoczyna przesłuchanie:

- No więc o co te łzy?

Hadley chciałaby pokręcić głową, ale boi się poruszyć, tyle dookoła poszturchujących ją i trącających osób.

- O nic - odpowiada sztywno, podczas gdy Whitney stoi przed nią, trzymając szminkę w pogotowiu.

- O tatę? -Nie.

- Tak czy siak, to musi być trudne - konstatuje Hillary. - Być świadkiem jego powtórnego ożenku.

- Pewnie - przyznaje Violet. - Ale to nie były łzy z powodów rodzinnych.

Whitney przeczesuje palcami włosy Hadley.

- No to z jakich?

- To były łzy z powodu chłopaka - wyjaśnia Violet z uśmiechem.

Jocelyn stara się wywabić plamę z sukienki jakąś zdumiewającą miksturą złożoną z wody i białego wina.

- Cudownie - mówi. - No to kawa na ławę. Hadley czuje, że wściekle się rumieni.

- Nie, to nic z tych rzeczy - odpowiada. - Słowo daję. Kobiety wymieniają spojrzenia i Hillary wybucha śmiechem.

- Kim jest ten szczęściarz?

- Nikim - obstaje przy swoim Hadley. - Naprawdę.

- Nie wierzę ci ani przez sekundę - oznajmia Violet, a następnie przygina głowę Hadley w taki sposób, że jej twarz zrównuje się z odbiciem dziewczyny w lustrze. - Ale powiem jedno: kiedy już się z tobą uporamy i ten chłopak zbliży się do ciebie na odległość trzech metrów, marny jego los.

- Spokojna głowa - mówi z westchnieniem Hadley. - Nie zbliży się.

Dokonanie drugiego tego dnia cudu zajmuje im zaledwie dwadzieścia minut, a kiedy kończą, Hadley czuje się zupełnie inaczej niż dziewczyna, która godzinę temu przykuśtykała z pogrzebu. Reszta druhen zostaje dłużej w łazience, skupiając się na własnej powierzchowności i gdy Hadley wyłania się samotnie zza drzwi, zastaje w apartamencie jedynie tatę i Charlotte. Pozostali goście powrócili do swoich pokojów, by przygotować się do kolacji.

- No, no - mówi Charlotte, leciutko okręcając palec. Dziewczyna posłusznie się obraca, a tato kilkakrotnie klaszcze w dłonie i komplementuje:

- Wyglądasz przepięknie!

Hadley uśmiecha się do Charlotte, stojącej w sukni ślubnej, z obrączką na palcu rzucającą świetlne refleksy.

- To ty wyglądasz przepięknie - Hadley mówi do Charlotte, ponieważ jest to prawda.

- Dobrze, ale to nie ja jestem od wczoraj w podróży -prostuje. -  
Musisz być kompletnie wykończona.

Hadley czuje, jak serce tłucze się jej w piersi na dźwięk tego słowa, które tak wyraźnie przypomina jej o Oliverze. Od wielu miesięcy brzmienie akcentu Charlotte wystarczało, by przyprawić Hadley o potężny ból głowy, lecz nagle przestaje ją drażnić. Hadley sądzi wręcz, że byłaby w stanie do niego przywyknąć.

- Jestem wykończona - przyznaje z uśmiechem znużenia - ale warto było przyjechać.

Charlotte błyszczy oczy.

- Miło mi to słyszeć. Miejmy nadzieję, że ta podróż jest pierwszą z wielu. Andrew właśnie mi mówił, że może odwiedzić nas już wkrótce?

- Och - odpowiada Hadley - nie wiem...

- Koniecznie - nalega Charlotte, powracając do salonu, gdzie znów chwyta za komputer i niesie go jak tacę z przystawkami, a następnie odsuwając na bok kilka serwetek i podkładek pod szklanki, robi mu miejsce na barze. - Tak bardzo chcielibyśmy się z tobą zobaczyć. I właśnie przeprojektowaliśmy mieszkanie. Wcześniej pokazywałam wszystkim zdjęcia.

- Kochanie, teraz już naprawdę czas... - zaczyna mówić tato, ale Charlotte mu przerywa.

- Oj, zajmie mi to tylko chwilę - mówi, uśmiechając się do Hadley. Stoją przy barze ramię przy ramieniu, czekając na załadowanie się zdjęć. - Tutaj jest kuchnia - informuje Charlotte, gdy pojawia się pierwsza fotografia. - Z wyjściem do ogrodu.

Hadley pochyla się do przodu, by lepiej widzieć, stara się dostrzec jakiegokolwiek pozostałości po dawnym życiu

taty, jego kubek do kawy albo płaszcz przeciwdeszczowy albo stare kapcie, których wyrzucenia kategorycznie odmówił. Charlotte przeskakuje od zdjęcia do zdjęcia, a myśli Hadley galopują, by nadażyć z wyobrażeniem sobie w tych pokojach taty i Charlotte, jak jedzą jajka na bekonie przy drewnianym stole albo opierają parasol o ścianę w sieni.

- A tutaj jest pokój gościnny - oznajmia Charlotte, spoglądając na tatę, który stoi oparty o ścianę za ich plecami, ze skrzyżowanymi ramionami i nieprzenikniętą miną. - Twój pokój za każdym razem, gdy przyjedziesz do nas w odwiedziny.

Następne zdjęcie przedstawia gabinet taty i Hadley mruży oczy, by się lepiej przyjrzeć. Choć wszystkie swoje stare meble zostawił w Connecticut, ta nowa wersja gabinetu wygląda prawie tak samo: podobne biurko, podobne regały na książki, nawet wyglądający znajomo stojak na ołówek. Rozkład jest identyczny, aczkolwiek ten pokój wydaje się nieco mniejszy i okna rozmieszczone są inaczej.

Charlotte mówi coś o szczególnych wymaganiach taty co do gabinetu, ale Hadley nie słucha. Jest zbyt pochłonięta studiowaniem oprawionych w ramki fotografii na ścianach.

- Zaczekaj - prosi w chwili, gdy Charlotte ma właśnie kliknąć następne zdjęcie.

- Poznajesz? - pyta tato z drugiej strony pokoju, lecz Hadley się nie odwraca. Ponieważ owszem, poznaje. Oto na zdjęciach w zdjęciu widzi ich ogródek w Connecticut. Na jednej z fotografii dostrzega fragment starej huśtawki, której nigdy nie zdemontowali, karmnik dla ptaków, który nadal wisi tuż za oknem gabinetu ojca, żywopłoty, które zawsze tak obsesyjnie podlewał podczas najsuch-

szych lat. Na innej widzi krzewy lawendy i starą jabłoń o poskręcanych gałęziach. Kiedy tato zasiada w skórzanym fotelu przy swoim nowym biurku i spogląda na te zdjęcia, pewnie mu się wydaje, że znów jest w domu, tylko że wygląda przez całkowicie inne okna. Nagle tato staje obok niej.

- Kiedy je zrobiłeś?

- Podczas pakowania rzeczy.

- Dlaczego?

- Ponieważ... - odpowiada spokojnie. - Ponieważ zawsze uwielbiałem patrzeć przez okna, jak się bawisz. I nie potrafiłem sobie wyobrazić jakiegokolwiek pracy w gabinecie bez tych okien.

- Ale to przecież nie okna. Tato się uśmiecha.

- Nie jesteś jedyną osobą, która radzi sobie dzięki wyobraźni - mówi i Hadley parska śmiechem. - Czasem lubię udawać, że jestem znowu w domu.

Charlotte, która obserwuje ich z zachwytem, ponownie kieruje uwagę na komputer i robi zbliżenie fotografii, żeby mogli zobaczyć ją w powiększeniu.

- Macie piękny ogród - chwali Charlotte, wskazując na rozpixselowane krzaczki lawendy na ekranie.

Hadley przesuwa palec o kilka centymetrów, zatrzymując go na prawdziwym oknie, które wychodzi na niewielki ogródek z kilkoma rzędami kwitnących roślin.

- Wy także - mówi i Charlotte się uśmiecha.

- Mam nadzieję, że wkrótce ujrzysz go na własne oczy. Hadley odwraca się do taty, który ściska ją za ramię.

- Ja również - odpowiada Hadley.

## **ROZDZIAŁ 16**

**13:48 CZASU WSCHODNIOAMERYKAŃSKIEGO**

**18:48 CZASU GREENWICH**

Później, gdy godzina koktajlowa dobiega końca, otwierają się drzwi do sali balowej i Hadley przystaje tuż za nimi z szeroko otwartymi oczami. Wszystko jest srebrne i białe, ozdobione lawendowymi kwiatami ułożonymi na stołach w ogromnych szklanych wazonach. Na oparciach krzeseł są zawiązane wstążki, czteropiętrowy tort wieńczę maleńkie figurki młodej pary. Kryształki żyrandoli zdają się lśnić blaskiem sreber stołowych, błyszczących półmisek oraz maleńkich płonących świeczek i instrumentów zespołu opartych na stojakach, w oczekiwaniu, aż przyjdzie czas na tańce. Nawet fotograf, którego wprowadzono do środka tuż przed Hadley, opuszcza aparat i rozgląda się wokół z aprobatą.

Kwartet smyczkowy przygrywa cicho z boku, kelnerzy w muchach i frakach zdają się sunąć przez salę z tacami szampana, nie dotykając podłogi. Monty puszcza oko do Hadley, przyłapując ją, jak sięga po kieliszek.

- Z umiarem - przestrzega i Hadley się śmieje.
- Spokojna głowa, tato zaraz się tu zjawi i powie dokładnie to samo.

Tato i Charlotte są jeszcze na górze, szykując się do wielkiego wejścia, a godzina koktajlowa w całości upłynęła Hadley na odpowiadaniu na pytania i towarzyskich pogawędkach. Wszyscy mają coś do powiedzenia na temat Ameryki, jak to marzą o zobaczeniu Empire State Building (często bywa w pobliżu?) albo planują poważną wyprawę do Wielkiego Kanionu (mogłaby polecić, co warto tam robić?) bądź mają kuzyna, który właśnie przeprowadził się do Portlandu (może przypadkiem go zna?).

Gdy pytają o podróż do Londynu, wydają się rozczarowani, że nie widziała pałacu Buckingham ani nie zwiedziła galerii Tate Modern, ani nawet nie wybrała się na zakupy na Oxford Street. Teraz, kiedy już się tu znalazła, trudno wyjaśnić, dlaczego postanowiła przyjechać tylko na weekend, mimo że nie dalej jak wczoraj - a w zasadzie dzisiaj rano - najważniejsze wydawało się wpaść na ślub i wpaść najszybciej, jak się da, jakby obrabowała bank i uciekała ile sił w nogach.

Starszy mężczyzna, który okazuje się szefem wydziału taty w Oksfordzie, pyta ją o lot przez ocean.

- Prawdę mówiąc, spóźniłam się na samolot - odpowiada. - Cztery minuty. Ale złapałam następny.

- Co za pech - komentuje, gładząc posiwiałą brodę. - To musiała być katorga.

Hadley się uśmiecha.

- Nie było aż tak źle.

Kiedy nadchodzi czas zasiadania do stołu, Hadley przebiega wzrokiem kartoniki z imionami, by zorientować się, gdzie ją posadzono.

- Głowa do góry - mówi Violet, doganiając ją. - Nie umieszczono cię przy stole dla dzieci.

- Co za ulga - odpowiada Hadley. - No a gdzie siedzę? Violet lustruje stół, po czym wskazuje kartonik.

- Przy najbardziej odjazdowym stole - informuje z uśmiechem. - Ze mną. I z młodą parą, oczywiście.

- Ja to mam fart.

- No jak, poprawił ci się nastrój? Hadley ze zdziwieniem unosi brwi.

- W związku z Andrew i Charlotte, ślubem...

- Aha - Hadley zaczyna rozumieć. - W sumie tak.

- To dobrze - kwituje Violet - ponieważ liczę na twój ponowny przyjazd, kiedy będziemy pobierać się z Montym.

- Z Montym? - dziwi się Hadley, wlepiwszy w nią wzrok. Bez skutku próbuje sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek widziała, żeby choć ze sobą rozmawiali. - To wy jesteście zaręczeni?

- Jeszcze nie - odpowiada Violet i rusza w stronę sali jadalnej. - Nie rób takiej zbaraniałej miny. Mam co do tego przeczucie.

Hadley zrównuje z nią krok i idą obok siebie.

- Tylko tyle? Przeczucie?

- Tylko tyle - przyznaje. - Myślę, że jest to nam pisane.

- Jestem absolutnie pewna, że to tak nie działa - mówi Hadley ze zmarszczonym czołem, lecz Violet jedynie się uśmiecha.

- A jeśli tak?

W sali balowej goście zaczęli już zajmować miejsca, upychać torebki pod krzesłami i rozkładać serwetki na kolanach. Wsuwając się na krzesło, Hadley dostrzega, jak Violet uśmiecha się przez stół do Monty'ego, a on odwzajemnia spojrzenie i wpatruje się w nią o chwilę za długo,



po czym znów spuszcza głowę. Zespół stroi instrumenty, z trąbki wyrywa się od czasu do czasu zbląkana nuta, kelnerzy krążą z butelkami wina. Kiedy zamieszanie cichnie, lider zespołu reguluje mikrofon i chrząka.

- Panie i panowie - mówi, a pozostali goście przy stole: rodzice Charlotte oraz jej ciotka Marilyn, Monty i Violet od razu odwracają się w stronę wejścia do sali balowej. - Mam zaszczyt przywitać jako pierwszy państwa Sullivanów!

Podnosi się wielka owacja i następuje seria jaskrawych błysków fleszy, gdyż wszyscy chcą uwiecznić ten moment. Hadley obraca się na krześle i wspiera brodę na oparciu w chwili, gdy tato i Charlotte zjawiają się w progu ze splecionymi dłońmi. Oboje uśmiechają się jak gwiazdy filmowe, jak członkowie rodziny królewskiej, jak małeńka para na szczycie tortu weselnego.

„Państwo Sullivanowie”, myśli sobie Hadley i oczy jej błyszczą, gdy obserwuje, jak tato delikatnie unosi ramię, Charlotte wykonuje leciutki obrót, a dół jej sukni furkocze. Piosenka jest nieznana, na tyle żywa, by pozwoliła na kilka tanecznych kroków po dotarciu młodej pary na środek parkietu, ale nic szczególnie fantastycznego. Hadley zastanawia się, jakie może mieć dla nich znaczenie. Czy grano ją, kiedy się poznali? Podczas ich pierwszego pocałunku? W dniu, kiedy tato powiedział Charlotte, że postanowił osiąść w Anglii na dobre?

Na widok pary na parkiecie cała sala zamiera, lecz oni równie dobrze mogliby tańczyć w pustym pokoju. Zachowują się tak, jakby kompletnie nikt na nich nie patrzył. Wpatrują się w siebie bez najmniejszego skrępowania. Charlotte uśmiecha się, wtulając twarz w ramię taty, a on

poprawia ich złączone dłonie, splatając palce. Wszystko w nich do siebie pasuje, niemal lśnią w złotawym świetle, wirując i płynąc pod spojrzeniami całej sali.

Kiedy piosenka dobiega końca, wszyscy klaszczą, a lider zespołu wzywa pozostałych gości weselnych do przyłączenia się do młodej pary na parkiecie. Rodzice Charlotte podnoszą się z miejsca, do jej ciotki podchodzi mężczyzna z sąsiedniego stolika, a Hadley patrzy zaskoczona, jak Monty podaje rękę Violet, która szczerzy do niej zęby, gdy oboje się oddalają.

Goście jeden po drugim wychodzą na środek sali, aż roi się tam od lawendowych sukien, a państwo młodzi nikną pośród nich. Hadley siedzi sama przy stole, w zasadzie zadowolona, że nie znajduje się tam, gdzie pozostali, lecz nie potrafi zignorować małego przyływu osamotnienia, który ją ogarnia. Miętosi w rękach serwetkę, gdy kelner kładzie bułkę na jej talerzu. Kiedy dziewczyna znów podnosi wzrok, obok stoi tato z wyciągniętym ku niej ramieniem.

- Gdzie żona? - pyta Hadley.

- Pozbyłem się jej cichaczem.

- Tak szybko?

Tato uśmiecha się i chwyta Hadley za rękę.

- Gotowa na płasy?

- Nie jestem pewna - odpowiada, gdy tato prawie ciągnie ją na środek sali, skąd Charlotte - która tańczy teraz z własnym ojcem - posyła im promienny uśmiech. W pobliżu Monty wykonuje coś w rodzaju staroangielskiej gigi z Violet, która śmiejąc się, odrzuca w tył głowę.

- Moja droga - mówi tato, podając rękę, którą Hadley przyjmuje.

Okręca ją zartobliwie kilka razy, po czym zwalnia i poruszają się dalej w niezdatnych obrotach, ich kroki są kanciaste i nie do rytmu.

- Przepraszam - mówi tato, nadepnawszy po raz drugi na palec Hadley. - Taniec w gruncie rzeczy nigdy nie był moją mocną stroną.

- Z Charlotte prezentowałeś się naprawdę nieźle.

- To wszystko jej zasługa - mówi z uśmiechem. - Przy niej wyglądam lepiej niż w rzeczywistości.

Milczą oboje przez dłuższą chwilę, Hadley wodzi wzrokiem po sali.

- Ładnie tu - stwierdza. - Wszystko pięknie wygląda.

- *Zadowolenie i pogoda ducha cudownie upiększają .*

- Dickens? Tato kiwa głową.

- Wiesz, zaczęłam wreszcie *Naszego wspólnego przyjaciela*.

Jego twarz się rozpromienia. -No i?

- Całkiem całkiem.

- Wystarczająco dobre, żeby dobrnąć do końca? - pyta i Hadley przypomina sobie miejsce, w którym zostawiła książkę na masce czarnego samochodu.

- Być może - odpowiada.

- Wiesz, Charlotte była rozanielona, kiedy powiedziałaś, że może nas odwiedzić - mówi cicho tato z nisko opuszczoną głową. - Mam nadzieję, że naprawdę rozważysz ten pomysł. Pomyślałem sobie, że może pod koniec lata, jeszcze przed rozpoczęciem szkoły. Mamy pokój gościnny, który moglibyśmy dla ciebie przygotować. Może

\* Przekład B. Hrycak.

nawet przywiozłabyś kilka swoich rzeczy i je tam zostawiła, żeby wyglądał bardziej swojsko i...

- A co z dzieckiem?

Tato opuszcza ręce wzdłuż boków i cofa się o krok, wpatrując się w córkę z tak zaskoczoną miną, że nagle Hadley przestaje być taka pewna co do tego, co wcześniej usłyszała. Piosenka się kończy, lecz zanim w sali balowej wybrzmiały ostatnie nuty, zespół przechodzi do następnego kawałka, głośnego i szybkiego. Stoliki zaczynają pustoszeć, ponieważ wszyscy tłoczą się na parkiecie, zostawiając kelnerów serwujących półmiski sałatek przy pustych krzesłach. Wszędzie wokół goście zaczynają tańczyć, kręcić się i śmiać, podskakują, nie przejmując się specjalnie rytmem. A pośród całego tego poruszenia Hadley i tato stoją w całkowitym bezruchu.

- Z jakim dzieckiem? - pyta tato, jego słowa są przemyślane i wyważone.

Hadley nerwowo rozgląda się dokoła. Kilka metrów dalej Charlotte wychyla się zza Monty'ego, wyraźnie ciekawa, dlaczego tak stoją na środku.

- Usłyszałam coś o tym w kościele - zaczyna tłumaczyć Hadley. - Charlotte coś napomknęła, a ja pomyślałam...

- Tobie? -Co?

- Powiedziała coś tobie?

- Nie, fryzjerce. Albo makijażystce. Komuś. Przypadkiem podsłuchałam.

Mięśnie jego twarzy rozluźniają się w widoczny sposób, bruzdy wokół ust wiotczeją.

- Posłuchaj, tato - mówi. - Wszystko w porządku. Nie mam nic przeciwko temu.

-Hadley...

- Nie ma sprawy. To znaczy, nie oczekiwałam, że zadzwonisz i mi powiesz ani nic takiego. Wiem, że niewiele ze sobą rozmawiamy. Chcę tylko powiedzieć, że fajnie byłoby przy tym być.

Ojciec ma zamiar coś powiedzieć, teraz jednak zmienia zdanie i przygląda się córce.

- Nie chciałam, żeby znów mnie coś ominęło - mówi Hadley w pośpiechu. - Nie chcę, żeby to dziecko dorastało, myśląc o mnie jak o jakiejś dawno niewidzianej dalekiej krewnej. O kimś, kogo się nigdy nie widuje i potem zamiast iść razem na zakupy albo poprosić o radę czy choćby się posprzeczać, kończy się na drętwej uprzejmości i niekłej się rozmowie, ponieważ ludzie się nie znają, ani trochę, nie tak jak powinni się znać bracia czy siostry. Dlatego chcę być obecna.

- Naprawdę - mówi na to tato, lecz nie jest to pytanie. Brzmi jak błaganie, czy wręcz nadzieja, jak zbyt długo tłumione pragnienie.

- Naprawdę.

Utwór znów się zmienia, tempo zwalnia i ludzie wokół nich znów zaczynają sunąć ku stolikom, gdzie podano już sałatki. Charlotte wyciąga rękę i przechodząc obok, delikatnie ściska tatę za ramię, a Hadley jest jej wdzięczna, że ma dość taktu, by im w tej chwili nie przeszkadzać.

- No i Charlotte też nie jest taka straszna - przyznaje Hadley, gdy nowa żona taty się oddala.

Tato wygląda na rozbawionego.

- Cieszę się, że tak to widzisz.

Są teraz sami na parkiecie, po prostu stoją tam na oczach całej sali. Hadley słyszy stukanie kieliszków

i brzęk stołowych sreber, gdy goście zaczynają jeść, lecz wciąż doskonale zdaje sobie sprawę, że cała ich uwaga nadal skupiona jest na nich.

Po chwili tato prostuje ramiona.

- Nie wiem, co powiedzieć.

Hadley wpada właśnie do głowy nowa myśl. Coś, co wcześniej jej nie zaświtało. Wypowiada ją powoli, serce łomocze jej w piersi.

- Nie chcesz, żebym w tym uczestniczyła.

Tato kręci głową i przysuwa się do niej o krok, kładąc jej dłonie na ramionach, zmuszając do spojrzenia mu w twarz.

- Oczywiście, że chcę - mówi. - Niczego bardziej nie pragnę. Ale, Hadley...

Dziewczyna podnosi wzrok i napotyka jego spojrzenie.

- Nie ma żadnego dziecka. -Co?

- Będzie - mówi niemal z zawstydzeniem. - Pewnego dnia. Przynajmniej mamy taką nadzieję. Charlotte się martwi, ponieważ w rodzinie były z tymi sprawami kłopoty. No i nie jest taka młoda, jak była twoja mama. Ale pragnie tego ogromnie i prawda jest taka, że ja również. Jesteśmy więc dobrej myśli.

- Przecież Charlotte powiedziała...

- Ona już taka jest - tłumaczy tato. - Należy do tej kategorii ludzi, którzy dużo o czymś mówią, gdy bardzo tego chcą. Niemal jakby próbowała sprawić coś siłą woli.

Hadley nie potrafi się powstrzymać, wykrzywia twarz w grymasie.

- I jak jej to wychodzi?

Tato uśmiecha się szeroko i machnięciem ręki wskazuje salę.

- Cóż, dużo rozprawiała na mój temat. No i proszę, spójrz na nas.  
- Domyślałam się, że to bardziej twoja zasługa niż wszechświata.  
- Fakt - przyznaje. - Ale tak czy siak, jeśli kiedyś rzeczywiście będziemy spodziewać się dziecka, obiecuję, że dowiesz się jako pierwsza.

- Serio?

- Oczywiście. Hadley, dajże spokój.

- Pomyślałam, że skoro masz tutaj tylu nowych znajomych...

- Dajże spokój, dziecko - powtarza, a jego twarz rozciąga się w uśmiechu. - Nadal jesteś w moim życiu najważniejsza. A poza tym, kogo mam poprosić o zajęcie się dzieckiem i zmianę pieluszek?

- Pampersów - poprawia Hadley, przewracając oczami. - To są pampersy, tato.

Ojciec wybucha śmiechem.

- Jak zwał, tak zwał, bylebyś była na miejscu i pomogła mi je zmieniać, gdy nadejdzie ten moment.

- Będę - obiecuje, zaskoczona lekkim drżeniem swego głosu. - Będę na posterunku.

Nie bardzo wie, co jeszcze można po tym dodać. Z jednej strony ma ochotę go przytulić, rzucić mu się w ramiona, jak wtedy, kiedy była małym dzieckiem. Z drugiej strony jednak w tej chwili wydaje się ją to przerastać. Wciąż szokuje ją ta sytuacja, ogrom drogi przebytej w ciągu jednego dnia po tak długim tkwieniu w miejscu.

Tato najwyraźniej to rozumie, ponieważ rusza jako pierwszy, otaczając ją ramieniem i prowadząc do stolika. Wtulona w niego tak samo jak dawniej niezliczoną ilość

razy - kiedy szli do samochodu po meczu piłki nożnej albo wychodzili z dorocznych skautowskich potańcówek córek z ojcami - Hadley uświadamia sobie, że choć wszystko inne się zmieniło, choć nadal dzieli ich ocean, to, co naprawdę istotne, pozostało bez zmian. On nadal jest jej tatą. Reszta to tylko geografia.



## **ROZDZIAŁ 17**

**18:10 CZASU WSCHODNIOAMERYKAŃSKIEGO**

**23:10 CZASU GREENWICH**

Tak samo jak wskutek klaustrofobii Hadley potrafią kurczyć się choćby i największe przestrzenie, tak coś w przyjęciu weselnym - muzyka albo tańce, a może tylko sam szampan - sprawia, że godziny zdają się zaledwie garścią minut. Jak w montażu filmowym, gdzie wszystko dzieje się w przyśpieszonym tempie, sceny zamieniają się w migawki, rozmowy trwają ledwie ułamek chwili.

Podczas kolacji Monty i Violet wygłaszają toasty - jego przerywany śmiechem, jej przerywany łzami - i Hadley przygląda się, jak Charlotte i tato słuchają tych mów, jak błyszczą im oczy. Później, gdy tort zostaje już pokrojony, a Charlotte udaje się przetrwać bez szwanku czynione przez tatę próby zrewanżowania się za biały lukier, którym wysmarowała mu nos, nadchodzi czas na kolejne tańce. Kiedy podają kawę, wszyscy siedzą już zmęczeni przy stoliku, mają zaróżowione policzki i obolałe stopy. Tato wciąż jest wciśnięty między Hadley i Charlotte, która - pomiędzy łyčkami szampana i maleńkimi kęsami tortu - cały czas posyła mu spojrzenia.

- Coś mi się przykleiło do twarzy? - pyta w końcu tato.

- Nie, mam tylko nadzieję, że między wami wszystko w porządku - zdradza swe obawy Charlotte. - Po tej waszej dyskusji na parkiecie.

- Wyglądało to na dyskusję? - pyta tato, szczerząc zęby. - To miał być walc. Pomyliłem kroki?

Hadley przewraca oczami.

- Nadepnął mi na palce dobre kilkanaście razy -Hadley zwierza się Charlotte. - Ale poza tym wszystko w porządku.

Tato otwiera usta z udawanym oburzeniem

- Nic podobnego, najwyżej dwukrotnie.

- Przepraszam, skarbie - wtrąca Charlotte. - W tym wypadku jestem zmuszona trzymać stronę Hadley. Moje biedne posiniaczone palce mówią same za siebie.

- Jesteś moją żoną ledwo od kilku godzin i już się ze mną sprzeczasz? Charlotte się śmieje.

- Obiecuję, będę się z tobą sprzeczać, póki śmierć nas nie rozłączy, mój drogi.

Po drugiej stronie stołu Violet unosi kieliszek i delikatnie stuka weń łyżeczką, a pośród kolejnych frenetycznych brzęków szkła tato i Charlotte pochylają się ku sobie do kolejnego pocałunku, rozłączając się dopiero wtedy, gdy dociera do nich, że tuż za ich plecami czai się kelner i czeka na zabranie talerzy.

Gdy zostaje uprzątnięte nakrycie Hadley, dziewczyna odsuwa krzesło i schyla się po torebkę.

- Chyba przyda mi się trochę świeżego powietrza -oznajmia.

- Dobrze się czujesz? - pyta Charlotte, a Monty puszcza do Hadley oko znad kieliszka z szampanem, jak gdy-

by chciał wtrącić, że przecież ostrzegał, by nie przesadzała z alkoholem.

- Dobrze - odpowiada pośpiesznie. - Wrócę za kilka minut.

Tato rozpięta się na krześle ze znaczącym uśmiechem.

- Pozdrów ode mnie mamę. -Co?

Wskazuje głową torebkę.

- Przekaż jej ode mnie pozdrowienia.

Hadley uśmiecha się z zakłopotaniem, zaskoczona, że tak łatwo ją rozszyfrował.

- Tak, tak, nadal go mam - mówi tato. - Rodzicielski szósty zmysł.

- Nie jesteś taki sprytny, jak ci się wydaje - droczy się z nim Hadley, a następnie zwraca się do Charlotte: - Będiesz w tym lepsza. Słowo.

Tato obejmuje swoją nową żonę ramieniem i uśmiecha się do Hadley.

- Tak - przyznaje, całując włosy Charlotte. - Nie wątpię. Odchodząc, Hadley słyszy, jak tato zaczyna raczyć

swoich współbiedniaków historyjkami z jej dzieciństwa, opowiadać o tych wszystkich razach, kiedy przybył jej na ratunek, o tych wszystkich wypadkach, kiedy wyprzedzał niebezpieczeństwo o krok. Hadley się odwraca, a tato, zauważywszy ją, przerywa opowieść - z rękoma uniesionymi w powietrzu, jak gdyby demonstrował wielkość złowionej ryby albo długość pola czy też przytaczał jakąś inną popisową historię z przeszłości - i mruga do córki.

Tuż za drzwiami sali balowej Hadley zatrzymuje się na chwilę, stając plecami do ściany. Jakby otrząsała się ze snu, widząc pozostałych gości hotelowych w dżin-

sach i tenisówkach, świat wyciszony za sprawą wciąż dźwięczącej jej w uszach muzyki, wszystko zbyt jaskrawe i odrobinę nierzeczywiste. Przechodzi przez drzwi obrotowe i znalazłszy się na zewnątrz, robi głęboki wdech, z zadowoleniem witając chłodne powietrze i nieustępliwy wiaterek, który niesie ciężką woń rzeki.

Kamienne schody ciągną się na całej długości hotelowej fasady, absurdalnie okazałe, niczym wejście do muzeum. Hadley usuwa się na bok i znajduje wolne miejsce. Kiedy siada, uświadamia sobie, że głowa ją łupie, a nogi pulsują. Czuje się cała ocieźzała i po raz kolejny usiłuje przypomnieć sobie, kiedy ostatnio spała. Gdy przymyka powieki i spogląda na zegarek, próbując obliczyć, która jest teraz godzina u niej w domu i od jak dawna nie zmrużyła oka, cyfry zacierają się, a wzrok odmawia współpracy.

Telefon sygnalizuje kolejną wiadomość od mamy i na jej widok Hadley raduje się serce. Odnosi wrażenie, jakby były z dala od siebie o wiele dłużej niż jeden dzień, i chociaż nie ma pojęcia, która jest teraz godzina w Connecticut, wybiera numer i zamyka oczy, wsłuchując się w głuchy dźwięk dzwonka.

- No wreszcie - mówi mama, zgłaszając się w słuchawce. - Bawiłam się z tobą w głuchy telefon.

- Mamo - mamrocze Hadley, podpierając czoło dłonią. - Na serio.

- Nie mogłam się doczekać rozmowy z tobą - wyznaje mama. - Jak się masz? Która tam u ciebie godzina? Jak ci idzie?

Hadley bierze głęboki oddech, a potem wyciera nos.

- Mamo, naprawdę przepraszam za to, co ci wcześniej nagadałam. Zanim wyjechałam.

- W porządku - odpowiada po króciutkim milczeniu. - Wiem, że nie miałaś tego na myśli.

- Nie miałam.

- A, słuchaj, tak sobie myślałam... -Tak?

- Nie powinnam była zmuszać cię do wyjazdu. Masz wystarczająco dużo lat, by podejmować tego rodzaju decyzje samodzielnie. Źle, że nalegałam.

- Nie, cieszę się, że to zrobiłaś. Jest niespodziewanie... okej.

Mama wydaje cichy gwizd.

- Doprawdy? Założyłabym się o każde pieniądze, że będziesz do mnie dzwonić i domagać się powrotu wcześniejszym samolotem.

- Ja też - przyznaje Hadley. - Ale nie jest tak źle.

- Opowiadaj.

- Opowiem - obiecuje, tłumiąc ziewnięcie - ale to był naprawdę długi dzień.

- Nie wątpię. No to na razie powiedz tylko jedno: jak sukienka?

- Moja czy Charlotte?

- No, no - mówi mama ze śmiechem. - A więc właśnie awansowała z „tej Brytyjki” na Charlotte?

Hadley się uśmiecha.

- Na to wygląda. Prawdę mówiąc, jest nawet miła. A sukienka śliczna.

- Dogadujesz się z tatą?

- Na początku było różnie, ale teraz jest w porządku. A chyba wręcz dobrze.

- Dlaczego, co się stało na początku?

- To kolejna długa historia. Na pewien czas dałam nogę.

- Wyszłaś?

- Musiałam.

- Daję głowę, że twój tato był wniebowzięty. Dokąd poszłaś?

Hadley zamyka oczy i przypomina sobie, co tato powiedział wcześniej o Charlotte, o tym, jak to rozpowiada o rzeczach, na których ziszczenie się ma nadzieję.

- Poznałam w samolocie pewnego chłopaka. Mama wybucha śmiechem.

- To rozumiem.

- Pojechałam go poszukać, ale wyszła z tego jedna wielka klęska i teraz już go nigdy nie zobaczę.

Po drugiej stronie następuje milczenie, a potem głos mamy staje się odrobinę łagodniejszy.

- Nigdy nie wiadomo - mówi. - Popatrz na mnie i Harrisona. Pomyśl, jak dawałam mu popalić. Ale bez względu na to, jak wiele razy go odpycham, on zawsze wraca. I za żadne skarby nie chciałabym, żeby było inaczej.

- To co innego.

- Nie mogę się doczekać, kiedy opowiesz mi o wszystkim po powrocie.

- Czyli jutro.

- Zgadza się - kwituje. - Będziemy czekać na ciebie z Harrisonem w hali odbioru bagażu.

- Jak na zgubioną skarpetkę.

- Och, kochanie - żartuje mama. - Bardziej przypominasz walizę. No i wcale się nie zgubiłaś.

Głos Hadley brzmi bardzo niepewnie.

- A jeśli się zgubię?

- Odnalezienie będzie jedynie kwestią czasu.

Telefon pika dwa razy i Hadley odsuwa go na chwilę od ucha.

- Zaraz wyładuje się bateria - uprzedza, przykładając go z powrotem.

- Tobie czy twojemu telefonowi?

- Jedno i drugie. No i co beze mnie porabiasz?

- Harrison chce mnie zabrać na jakiś głupi mecz bejsbolowy. Gadał o tym przez cały tydzień.

Hadley się prostuje.

- Mamo, on znowu poprosi cię o rękę.

- Co? Nie.

- Tak, absolutnie tak. Założę się, że nawet wyświetli to na tablicy wyników albo coś w tym stylu.

Mama jęczy.

- Nie ma mowy. Nie odważyłby się.

- Owszem, tak - upiera się Hadley ze śmiechem. - To właśnie w jego stylu.

Teraz obie chichoczą, żadna nie jest w stanie dokończyć zdania pomiędzy wybuchami śmiechu i Hadley całkowicie poddaje się wesołości, połykając łzy. To cudowne uczucie, taki upust emocji. Po takim dniu cieszy się z jakiegokolwiek powodu do śmiechu.

- Czy można sobie wyobrazić większy kicz? - pyta wreszcie mama, łapiąc oddech.

- Definitywnie nie - odpowiada Hadley i milknie. - Ale mamó?

- Tak?

- Myślę, że powinnaś powiedzieć tak.

- Co?! - woła mama głosem o kilka oktaw za wysokim. - Co ci się stało? Idziesz na jeden ślub i ni z tego, ni z owego zamieniasz się w Kupidyna?

- On cię kocha - mówi z prostotą Hadley. - A ty kochasz jego.
- To nieco bardziej skomplikowane.
- Wcale nie. Wystarczy powiedzieć tak.
- A potem żyć długo i szczęśliwie? Hadley się uśmiecha.
- Coś w tym stylu.

Telefon znowu pika, tym razem bardziej natarczywie.

- Kończy się nam czas - mówi, a mama znów parska śmiechem, ale tym razem pobrzmiwa w nim jakieś znużenie.

- Czy to aluzja?
- Jeśli tylko pomoże przekonać cię do zrobienia tego, co słuszne.
- Kiedy tak dojrzałaś? Hadley wzrusza ramionami.
- Ty i tato odwaliliście kawał dobrej roboty.
- Kocham cię - mówi cicho mama.

- Ja ciebie też - odpowiada Hadley, a potem, niemal jakby to zaplanowały, telefon się rozłącza. Hadley siedzi jak skamieniała przez kolejną minutę, po czym opuszcza komórkę i patrzy na kamienne domy po drugiej stronie ulicy.

Gdy obserwuje budynki, w jednym z okien na górze zapala się światło i widać sylwetkę mężczyzny układającego synka do snu, nakrywającego go kołdrą i pochylającego się, by pocałować go w czoło. Tuż przed wyjściem z pokoju mężczyzna dotyka ręką ściany, żeby pstryknąć wyłącznik i w pokoju znów robi się ciemno. Hadley rozmyśla o historii opowiedzianej przez Olivera i zastanawia się, czy i ten chłopiec nie potrzebuje czasem lampki nocnej albo czy



pocałunek ojca na dobranoc wystarczy, by zapadł w sen, sen bez koszmarów, bez potworów i duchów.

Hadley wciąż spogląda w ciemne okno, patrzy na mały domek, wybiega wzrokiem poza jarzące się latarnie uliczne i skrzynki pocztowe powleczone warstwą zaschłego po deszczu kurzu, poza podjazd prowadzący do hotelu, gdy wtem pojawia się jej własna zjawa.

Jest tak zaskoczona jego widokiem, jak zapewne był on sam, kiedy wyrosła przed kościołem. To jego nagłe i nieoczekiwane przybycie wytrąca ją z równowagi, wywraca jej żołądek na lewą stronę, roztrzaskuje w drobny mak resztki opanowania. On zbliża się powoli, ciemny garnitur niemal niknie w otaczającym mroku, póki chłopak nie wkroczy w krąg światła rzucany przez hotelowe latarnie.

- Cześć - mówi, znalazłszy się dostatecznie blisko, i po raz drugi tego wieczoru Hadley zaczyna płakać.

## **ROZDZIAŁ. 18**

**18:24 CZASU WSCHODNIOAMERYKAŃSKIEGO**

**23:24 CZASU GREENWICH**

Nadchodzi jakiś mężczyzna z nakryciem głowy w ręku. Nadchodzi kobieta w szokująco wysokich botkach. Nadchodzi mały chłopiec z kieszonkową grą wideo. Matka z płaczącym dzieckiem. Mężczyzna z wąsami jak szczotka. Starsza para w takich samych swetrach. Chłopak w niebieskiej koszuli bez żadnego okruszka po pączku.

Wszystko mogło potoczyć się inaczej, na tyle różnych sposobów.

„A gdyby to był ktoś inny”, duma Hadley, a jej serce kołacze na samą myśl. Ale proszę:

Podchodzi chłopak z książką w dłoni.

Podchodzi chłopak w przekrzywionym krawacie.

Podchodzi chłopak i siada obok niej.

Na niebie widać gwiazdę, która nie chce świecić w jednym miejscu, i Hadley konstatuje, że to samolot, że jeszcze wczorajszej nocy oni sami byli taką gwiazdą.

Z początku żadne z nich się nie odzywa. Oliver siedzi w odległości kilkunastu centymetrów, patrząc prosto przed siebie, i czeka, aż ona przestanie płakać i już choćby

za to Hadley jest mu wdzięczna, ponieważ wyczuwa się w tym jakieś zrozumienie.

- Zdaje się, że czegoś zapomniałaś - odzywa się wreszcie Oliver, pukając w książkę na kolanach. Ponieważ ona nie odpowiada, tylko ociera oczy i pociąga nosem, on w końcu odwraca się w jej stronę. - Nic ci nie jest?

- Aż trudno uwierzyć, ile razy dzisiaj płakałam.

- Ja też - mówi chłopak i Hadley natychmiast czuje się parszywie, bo przecież oczywiście to on ma większy powód do płaczu.

- Przykro mi - odpowiada półgłosem.

- Nie żeby nas nie ostrzegano - przyznaje Oliver i lekko się przy tym uśmiecha. - Zawsze wszyscy powtarzają, żeby na śluby i pogrzeby zabierać chustki do nosa.

Hadley śmieje się mimo woli.

- Jestem absolutnie pewna, że w życiu nikt nie zasugerował mi zabrania chustki do nosa - mówi. - Co najwyżej kleeneksów.

Znowu milkną, lecz tym razem milczenie nie ciąży im tak jak wcześniej, pod kościołem. Pod wejście do hotelu podjeżdża kilka samochodów, opony dudnią, reflektory omiatają ich sylwetki, tak że są zmuszeni przymrużyć oczy.

- Jak się czujesz? - pyta Hadley, a on kiwa głową.

- Będzie dobrze.

- Dobrze poszło?

- Chyba tak - odpowiada. - Jak na pogrzeb...

- Racja - mityguje się Hadley, zamykając oczy. - Przepraszam.

On lekko odwraca się w jej stronę, jego kolano ociera się o jej nogi.

- Ja też przepraszam. Wszystkie te rzeczy, jakie naopowiadałem o ojcu...

- Byłeś roztrzęsiony.

- Byłem zły.

- Byłeś przygnębiony.

- Byłem - przyznaje. - I wciąż jestem.

- To przecież twój tato. Oliver ponownie kiwa głową.

- Z jednej strony żałuję, że nie postąpiłem raczej tak jak ty. Że nie miałem odwagi powiedzieć mu, co myślę, zanim było za późno. Może wtedy byłoby inaczej. Wszystkie te lata milczenia... - urywa, potrząsając głową. - Straszne marnotrawstwo.

- To nie twoja wina - mówi Hadley, zerkając w jego stronę. Nagle dociera do niej, że nawet nie wie, jak umarł ojciec Olivera, choć musiała to być nieoczekiwana śmierć. - Powinieneś mieć szansę spędzenia z nim więcej czasu.

Oliver sięga do krawata, by rozluźnić węzeł.

- Nie jestem pewien, czy zrobiliby to jakąś różnicę.

- Zrobiliby - twierdzi Hadley z naciskiem, czując gulę w gardle. - To nie fair.

On odwraca wzrok, intensywnie mrugając powiekami.

- To tak jak z nocną lampką - ciągnie Hadley i choć Oliver zaczyna kręcić głową, ona brnie dalej - Może sedno nie leży w tym, że on z początku nie chciał pomóc. Może istotne jest to, że w końcu zmienił zdanie. - Ostatnie słowa dopowiada półgłosem. - Może obydwaj potrzebowaliście po prostu więcej czasu, by się wzajemnie dotrzeć.

- Wiesz, ona wciąż tam stoi - wyznaje Oliver po chwili. - Ta nocna lampka. Kiedy wyjechałem na studia, zamienili mój pokój w sypialnię dla gości i większość mo-

ich gratów wynieśli na poddasze. Ale zauważyłem ją tam dziś rano. Założyłem się, że nawet już nie działa.

- A ja założę się, że działa - mówi Hadley, a Oliver się uśmiecha.

- Dzięki.

- Za co?

- Za to - odpowiada. - Cała reszta rodziny jest w domu, ale ja czułem się tam tak, jakbym miał się udusić. Potrzebowałem odrobiny świeżego powietrza

Hadley przytakuje.

- Ja też.

- Potrzebowałem... - znów milknie, rzucając jej spojrzenie. - Nie masz mi za złe, że przyszedłem?

- Jasne, że nie - zapewnia, odrobinę zbyt skwapliwie. - Zwłaszcza po tym...

- Po czym?

- Kiedy wparowałam na pogrzeb - wyjaśnia, krzywiąc się lekko na to wspomnienie. - W końcu nie brakowało ci towarzystwa.

Chłopak marszczy czoło, wbija wzrok w ziemię i wydaje się, że zaskoczył.

- Aha - mówi. - To moja była dziewczyna. Znała mojego tatę. I martwiła się o mnie, ale przyszła tam tylko w charakterze przyjaciółki rodziny. Serio.

Hadley czuje błyskawiczną ulgę. Aż do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jak usilnie pragnęła, by okazało się to prawdą.

- Cieszę się, że mogła być przy tobie - mówi zupełnie szczerze. - Cieszę się, że ktoś był przy tobie.

- Tak, ale to nie ona podrzuciła mi coś do czytania -mówi, waląc ręką w książkę.

- Jasne, ale pewnie nie zmuszała cię do rozmowy.
- Ani nie nabijała się z mojego akcentu.
- Ani nie zjawiała się bez zaproszenia.
- To dotyczy nas obojga - przypomina, spoglądając przez ramię na wejście do hotelu, skąd podejrzliwie obserwuje ich boy hotelowy. - A tak w ogóle, dlaczego nie jesteś w środku?

Hadley wzrusza ramionami.

- Klaustrofobia?
- Właściwie nie - odpowiada. - Nie było wcale tak strasznie.
- Wyobrażałaś sobie niebo? Patrzy na niego z ukosa.
- Myślałam o nim przez caluśki dzień.
- Ja też - wyznaje Oliver, odchylając do tyłu głowę. Jakimś cudem, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, przysunęli się do siebie na stopniach i choć nie siedzą o siebie oparci, trudno byłoby wcisnąć między nich szpilkę. W powietrzu zaczyna unosić się zapach deszczu i mężczyźni palący nieopodal papierosy gaszą je i kierują się do wejścia. Boy hotelowy spogląda na niebo spod daszka czapki, markiza nad wejściem drży i łopocze, jakby próbowała odfrunąć.

Na kolanie Hadley siada mucha, ale dziewczyna nie kwapi się jej pacnąć. Zamiast tego oboje obserwują, jak owad wierci się przez chwilę, a następnie odlatuje, tak szybko, że prawie niedostrzegalnie.

- Ciekawe, czy udało się jej zobaczyć Tower of London - mówi Oliver.

Hadley patrzy na niego skonsternowana.

- Naszej przyjaciółce z samolotu - wyjaśnia z uśmiechem. - Pasażerze na gapę.

- A, no tak. Na pewno. Teraz prawdopodobnie wybiera się obcykać nocne życie miasta.

- Po pracowitym dniu w Londynie.

- Po długim dniu w Londynie.

- Najdłuższym z długich - zgadza się Oliver. - Nie wiem jak ty, ale ja ostatnio spałem w trakcie tamtego głupawego filmu o kaczkach.

Hadley parska śmiechem.

- Nieprawda. Później też kimnąłeś. Na moim ramieniu.

- Akurat. Nic podobnego.

- Uwierz mi, kimnąłeś - powtarza Hadley, trącąc go kolanem. - Wszystko pamiętam.

Chłopak się uśmiecha.

- W takim razie pamiętasz także, jak wdałaś się w awanturę z tamtą kobietą w hali odlotów?

Teraz kolej na oburzenie Hadley.

- Wcale nie. Poproszenie kogoś o przypilnowanie walizki to całkowicie uzasadniona prośba.

- Albo potencjalne przestępstwo, w zależności, jak na to spojrzeć. Masz szczęście, że pośpieszyłem ci na ratunek.

- To prawda - przyznaje ze śmiechem. - Mój rycerz w lśniącej zbroi.

- Do usług.

- Dasz wiarę, że to było ledwie wczoraj?

Kolejny samolot przecina skrawek nieba nad nimi i Hadley opiera się o Olivera, gdy śledzą wspólnie maszynę, utkwivszy wzrok w jasnych punkcikach. Po chwili Oliver delikatnie szturcha ją, wstając, po czym podaje jej rękę.

- Zatańczmy.

- Tutaj?

- Prawdę mówiąc myślałem o wnętrzu. - Rozgląda się dokoła, jego wzrok przeskakuje od wyściełanych chodnikiem schodów do zniecierpliwionego boya hotelowego i samochodów ustawionych jeden za drugim przed wejściem, a następnie kiwa głową. - Ale właściwie czemu nie?

Hadley podnosi się i wygładza sukienkę, Oliver układa ręce jak zawodowy tancerz, jedną na plecach dziewczyny, drugą wyciągniętą w powietrzu. Postawę ma idealną, twarz poważną, a Hadley wsuwa się w jego rozpostarte ramiona z uśmiechem zakłopotania.

- Nie umiem tańczyć w ten sposób.

- Pokażę ci - uspokaja Oliver, lecz wciąż nie ruszają się z miejsca nawet o centymetr. Stoją tak nieruchomo i w pełnej gotowości, jakby czekając na pierwsze takty muzyki, oboje niezdolni do powściągnięcia uśmiechu. Jego dłoń na plecach dziewczyny jest jak naelektryzowana i zastygnięcie w tej pozycji, w tak nagłej bliskości, wystarcza, by przyprawić ją o zawrót głowy. To takie uczucie jak podczas upadku, jak nagłe ulatywanie z głowy słów piosenki.

- Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś - mówi Hadley cicho. - Nie mogę uwierzyć, że mnie odnalazłeś.

- Ty znalazłaś mnie pierwsza - zauważa, a kiedy pochyla się, by ją pocałować, czyni to powoli i cudownie, i Hadley wie, że ten pocałunek zapamięta na zawsze. Ponieważ o ile poprzednie dwa pocałunki zapowiadały koniec, o tyle ten jest niewątpliwie początkiem.

Zaczyna siąpić deszcz, ukośna mżawka, która delikatnie osiada na nich. Gdy dziewczyna znów podnosi wzrok, widzi, jak kropla wody ląduje na czole Olivera i spływa na sam czubek nosa, a wtedy bez namysłu odrywa rękę od jego ramienia i ją ociera.



- Powinniśmy wejść do środka - proponuje, on zaś przytakuje ruchem głowy, biorąc ją za rękę. Ma kropelki deszczu na rzęsach i patrzy na nią tak, jakby była rozwiązaniem jakiejś łamigłówki. Wchodzą razem do wnętrza, jej sukienka jest już upstrzona drobinkami wody, jego marynarka przybrała ciemniejszy odcień na ramionach, lecz oboje uśmiechają się, jakby był to problem, któremu nie sposób zaradzić, jak atak czkawki.

Przed drzwiami do sali balowej Hadley przystaje, ciągnąc go za rękę.

- Na pewno masz w tej chwili ochotę na wesele? Oliver patrzy na nią badawczo.

- Przez cały lot nie zdawałaś sobie sprawy, że właśnie umarł mi ojciec. A wiesz dlaczego?

Hadley zastanawia się, co odpowiedzieć.

- Ponieważ byłem z tobą - mówi. - Kiedy jestem z tobą, czuję się lepiej.

- Cieszę się - odpowiada, a potem zaskakuje samą siebie, wspinając się na palce i cmokając go w szorstki policzek.

Słyszą muzykę za drzwiami, Hadley bierze głęboki oddech, zanim decyduje się je otworzyć. Większość stolików świeci w tej chwili pustkami, wszyscy są na parkiecie, kołysząc się w rytm starej piosenki o miłości. Oliver ponownie podaje jej rękę i prowadzi przez labirynt stolików, przemykając obok talerzyków z na wpół zjedzonym tortem, lepkich kieliszków i pustych filiżanek po kawie, póki nie docierają na sam środek sali.

Hadley rozgląda się dokoła, już nie wstydzi się wpatrzonych w nią oczu. Druhny pokazują ją sobie nawzajem i chichoczą, bynajmniej nie subtelnie, a tańcząca z Montym

Violet, z głową wspartą na ramieniu partnera, puszcza do niej oko, jakby chciała powiedzieć: „A nie mówiłam?”.

Po drugiej stronie sali tato i Charlotte zwalniają i niemal zatrzymują się w tańcu, oboje patrzą szeroko otwartymi oczami. Kiedy jednak tato napotyka spojrzenie córki, posyła jej porozumiewawczy uśmiech, a Hadley rozpromienia się w odpowiedzi.

Tym razem Oliver przyciąga Hadley blisko do siebie.

- Gdzie się podziały te twoje maniery? - mówi do jego ramienia. - Czy wszyscy porządni angielscy dżentelmeni tańczą w ten sposób?

Hadley słyszy w jego głosie rozbawienie.

- Przeprowadzam letni projekt badawczy i analizuję różne style tańca.

- Czy to oznacza, że następne będzie tango?

- Jeśli tylko dasz radę.

- Co naprawdę studiujesz?

Chłopak odchyła się do tyłu, by spojrzeć jej w oczy.

- Statystyczne prawdopodobieństwo miłości od pierwszego wejrzenia.

- Bardzo śmieszne - kwituje Hadley. - A na serio?

- Mówię serio.

- Nie wierzę.

Oliver śmieje się, a potem zniża głowę i szepcze jej prosto do ucha.

- Ludzie, którzy poznają się na lotniskach, są o siedemdziesiąt dwa procent bardziej podatni na zakochanie się w sobie niż ci, którzy poznają się w jakimkolwiek innym miejscu.

- Gadasz głupoty - stwierdza, kładąc mu głowę na ramieniu. - Czy ktoś ci to kiedyś powiedział?

- Owszem - Oliver odpowiada ze śmiechem. - Tak się składa, że ty. Około tysiąca razy w ciągu dzisiejszego dnia.

- Dziś prawie się skończyło - mówi Hadley, spoglądając na złocony zegar po przeciwnej stronie sali. - Zostały jeszcze tylko cztery minuty. Jest dwudziesta trzecia pięćdziesiąt sześć.

- To znaczy, że poznaliśmy się dwadzieścia cztery godziny temu.

- Wydaje się dłużej.

Oliver szczyrzy zęby w uśmiechu.

- Wiedziałaś, że ludzie, którzy spotykają się przynajmniej trzy razy w ciągu dwudziestu czterech godzin, mają o dziewięćdziesiąt osiem procent większe szanse na ponowne spotkanie?

Tym razem Hadley nie zadaje sobie trudu, by go poprawiać. Ten jeden jedyny raz chciałaby wierzyć, że Oliver się nie myli.